

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/31

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

OSTATNIA WOLA PIŁSUDSKIEGO ♦ J. BURNHAM —
Walka o świat (dok.) • M. SŁOBODANIN — W żelaznym
pierścieniu • T. TERLECKI — Moralność w teatrze ♦ *ARKU-
SZE POETYCKIE* ♦ *SPRAWY KRAJOWE: W.-Z.* — Droga
krzyżowa • Ł. MAŁECKI — Światła i cienie przy odbudowie
stolicy ♦ *ARCHIWUM POLITYCZNE* ♦ *NAJNOWSZA
HISTORIA POLSKI: S. ŻOCHOWSKI* — Narodowe Siły
Zbrojne ♦ *PROBLEM MŁODEGO POKOLENIA* ♦ *KSIĄŻKI*
♦ *BIBLIOGRAFIA* ♦ *LISTY DO REDAKCJI*

SPIS RZECZY

—	<i>Ostatnia wola Piłsudskiego</i>	5
James Burnham:	<i>Walka o świat</i> (dok.). Autoryzowany przekład J. Ursyna..	7
M. Słobożanin:	<i>W żelaznym pierścieniu</i>	33
Tymon Terlecki:	<i>Moralność w teatrze</i>	44

ARKUSZE POETYCKIE

Józef Łobodowski:	<i>Pieśń o Krzysztofie</i>	49
Józef Łobodowski:	<i>Sen nocy wołyńskiej</i>	51
Józefa Radzymińska:	<i>Milczenie serca</i>	53
Józefa Radzymińska:	<i>Motyw osobliwy</i>	54

SPRAWY KRAJOWE

W.-Z.:	<i>Droga krzyżowa</i>	55
W. Szyszkowski:	«Scaleniówka» administracyjna.	62
W. Szyszkowski:	«Bumelanctwo» a «proguty» . .	65
Ł. Małecki:	<i>Światła i cienie przy odbudowie stolicy</i>	66

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leon Furatyk:	<i>Sytuacja międzynarodowa widziana z Genewy</i>	75
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z wyspy</i>	85
H. S. Dominik:	<i>Opinie amerykańskie</i>	93

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

S. Żochowski:	<i>Narodowe Siły Zbrojne</i>	100
---------------	--	-----

PROBLEM MŁODEGO POKOLENIA

Zygmunt Nagórski, jr.:	<i>Sami musimy znaleźć rozwiązanie</i>	127
------------------------	--	-----

KSIĄŻKI

Józef Ursyn:	<i>Dysonans zachodu</i>	134
Józef Ursyn:	<i>Walka zachodu ze wschodem nie jest tylko rewolucją</i>	138
Włodz. Sznarbachowski:	<i>Włoszka w służbie polskiego podziemia</i>	143
Maria Czapka:	<i>Pamięci Bernanosa</i>	148
I. S.:	<i>Dwie powieści o ziemi</i>	151
—	<i>Nowości francuskie i angielskie</i> . .	153

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie</i> (c.d.)	154
--------------	---	-----

LISTY DO REDAKCJI

—	<i>List do Redakcji</i>	159
---	-----------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Mai - Maj

1950

INSTYTUT



LITERACKI

Zawiadamy naszych czytelników, iż londyńskim korespondentem „Kultury” został p. Juliusz MIEROSZEWSKI. — Adres p. Mieroszewskiego: 21, Fentiman Road, London SW 8, tel. REL 4133.

Redakcja KULTURY posiada jeszcze na składzie kilka-
naście egzemplarzy Nru 16/17, zawierającego powieść
Arthura KOESTLERA pt.:

Ciemność w południe

Numer ten można nabyć w Redakcji pisma

(1, Av. Corneille, Maisons Laffitte, S. et O.)

lub zamawiać w przedstawicielstwach.

Cena 1 egz. 200 frs plus 20 frs na koszty przesyłki.

Redakcja KULTURY zawiadamia, że posiada jeszcze na
składzie kilka kompletów pisma za rok 1949. Roczniki te
można nabywać w Redakcji, bądź zamawiać
w przedstawicielstwach.

Cena kompletu za r. 1949: we Francji — 1.600 frs; w W.
Brytanii i na terenie bloku sterlingowego — £. 2;
w U.S.A. i Kanadzie — 10 dolarów, łącznie z przesyłką
poleconą i opakowaniem.

*Numer poświęcony
p. Cecylii Burr*

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Waldorf-Astoria Hotel
New York

Ostatnia wola Piłsudskiego

Jest to kartka urzędowego papieru listowego z nagłówkiem:

Generalny Inspektor

Warszawa dn....192... r.

Sił Zbrojnych

Pierwszy Marszałek Polski

Józef Piłsudski

Nie wiem czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu.

Niech! Niech tylko moje serce wtedy zamknięte schowają w w Wilnie gdzie leżą moi żołnierze co w Kwietniu 1919 roku mnie jako wodzowi Wilno jako prezent pod nogi rzucili.

Na kamieniu czy nagrobku wyryć motto wybrane przezemnie dla życia

Gdy mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niech umie
Spać gdy źrenice czerwone od gromu
I słyhać jęk szatanów w sosen szumie *)

Tak żyłem.

A zaklinam wszystkich co mnie kochali sprowadzić zwłoki mojej matki z Sugint Wilkomirskiego powiatu do Wilna i pochować matkę (*parę słów nieczytelnych*) Niech dumne serce u stóp dumnej matki poczywa Matkę pochować z wojskowemi honorami ciało na lawecie i niech wszystkie armaty zagrzmią salwę pożegnalną i powitalną, tak by szyby w Wilnie się trzęsły. Matka mnie do tej roli jaka mnie wypadła chowała. Na kamieniu czy nagrobku Mamę wyryć wiersz z Wacława Słowackiego zaczynający się od słów

Dumni nieszczęściem nie mogą **)

Przed śmiercią Mama mi kazała to po kilka razy dla niej czytać.

Pismo atramentem jest nierówne i nie zbyt wyraźne, poważnie bez znaków przestankowych. Sprawia ono wrażenie pisanego w pozycji leżącej, w łóżku, a więc prawdopodobnie w ostatnim okresie choroby. Tekst bez daty. Na odwrocie kartki, w jej górnej części, wypisane ołówkiem ręką Marszałka słowa:

Na wypadek nagłej
śmierci!

Ta ostatnia wola Marszałka Piłsudskiego, która dziś publikowana jest po raz pierwszy, a o której wspomnieli przed rokiem Mieczysław Lepecki, znaleziona została w biurku Marszałka nazajutrz po Jego śmierci. Nie została wtedy ona ogłoszona publicznie. Miała ona bowiem charakter czysto osobisty i nie zawierała żadnych momentów politycznych. Wobec zaś szeroko rozpowszechnionego wówczas oczekiwania, że Marszałek pozostawił po sobie testament polityczny i wymienił nazwisko tego, w kim chciałby widzieć swego następcę, rząd premiera Sławka postanowił nie publikować tego testamentu. Walery Sławek stanął na stanowisku, że w razie wydrukowania tego tekstu mogą powstać różne przypuszczenia, a nawet podejrzenia, iż tekst ogłoszony jest niepełny, że Marszałek Piłsudski pozostawił po sobie pełny testament, zawierający również wskazania polityczne i że jakieś czynniki chcą część polityczną ukryć.

Marszałkowa Piłsudska zgodziła się na zachowanie tego testamentu w tajemnicy. Kazała tylko sprawdzić w Słowackim cytaty i wryć je na kamieniu nagrobnym na Rossie. Dokument został sfotografowany i zrobiono z niego pięć odbitek. Jedną z nich zachowała wraz z oryginałem Marszałkowa Aleksandra Piłsudska, drugą złożono w Muzeum Wojska czy też w Instytucie Najnowszej Historii Polski. Trzecią miał śp. Walery Słowek, czwartą śp. Aleksander Prystor. Fotografia piątej odbitki znajduje się obecnie w Bibliotece Mazarin (w Bibliotece Instytutu Francuskiego) w Paryżu; z niej pochodzi cytowany tekst.

Fragment tej ostatniej woli wypisany został na akcie o złożeniu serca Marszałka w urnie, znajdującej się w grobowcu na cmentarzu wileńskim. Oto treść tego aktu, który został wypisany na pergaminie przed Adama Połtawskiego: ... "niech tylko moje serce wtedy zamknięte schowają w Wilnie, gdzie leżą moi żołnierze co w kwietniu 1919 roku mnie jako wodzowi Wilno jako prezent pod nogi rzucili ... Niech dumne serce u stóp dumnej matki spoczywa".

*) Motto cytowane jest wyraźnie z pamięci i zawiera dwa błędy. Jest to ustęp z XII pieśni "Beniowskiego":

KTO mogąc wybrać, wybrał zamiast domu

Gniazdo na skałach: NIECHAJ umie

**) Drugi cytat jest z XXVI pieśni "Wacława". Pierwsze wiersze tej pieśni brzmią:

Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą

Za innych śladem iść tą samą drogą.

Walka o świat

ROZDZIAŁ VI.

Imperium światowe i równowaga sił

Jak już stwierdziliśmy, federacja światowa stworzona i kierowana przez Stany Zjednoczone byłaby imperium światowym. W tej federacji imperialnej Stany Zjednoczone, dzięki monopolowi nad bronią atomową posiadałyby decydującą przewagę materialną w stosunku do reszty świata. To znaczy, że w polityce światowej nie istniałaby "równowaga sił".

Tego rodzaju perspektywa winnaby przeciągnąć na stronę omawianej tutaj polityki tych wszystkich, którzy wyobrażają sobie, że oskarżając "równowagę mocarstw" składają dowody swej cnoty politycznej. Ci zaś, którzy mniej są wrażliwi na retoryczną stronę polityki będą mniej zadowoleni.

Równowaga ta stanowi jednak jedyną skuteczną ochronę wolności indywidualnych i zbiorowych na wszystkich poziomach życia społecznego, poczynając od najmniejszej wspólnoty aż do całego świata. Skoro bez władzy obejść się nie możemy, przed polityką stoi na prawdę tylko możliwość wyboru między równowagą różnych sił, a monopolem władzy. Albo jedna z potęg wyprzedza wszystkie inne, albo oddzielne mocarstwa przeciwstawiając się sobie, wzajemnie się kontrolują. Jeżeli jedno z mocarstw panuje nad innymi, to nie istnieje skuteczna gwarancja, zabezpieczająca przed nadużyciami, dokonywanymi przez grupę, władzę tę mającą w swym ręku. Grupie tej wydawać się będzie rzeczą pożądaną i konieczną dalsze wzmacnianie swego panowania, wydawanie zarządzeń, kierowanych przeciwko ewentualnym niebezpieczeństwom, ucinanie u źródeł najmniejszych możliwości powstawania opozycji. I ludzie dysponujący tą kolosalną władzą uważać będą, iż proporcjonalnie do zasięgu tej władzy słusznie należeć się im będą odpowiednie przywileje materialne. Tylko władza hamować może władzę i zabezpieczać nas przed nadużyciami. Z chwiejnej równowagi, będącej wynikiem konfliktu współzawodniczących mocarstw powstaje wolność, której istnienie w przeciwnym wypadku jest zawsze niepewne.

Czyż wobec tego przywiązywanie większej wagi do światowej Federacji, kierowanej przez Stany Zjednoczone i mającej rozwiązać współczesny nam kryzys światowy, niż do komunistycznego imperium światowego nie wydaje się pozbawione obiektywnych podstaw? Moglibyśmy odpowiedzieć, bez zbytecznego cynizmu, że nawet jeżeli wybór nasz ma dotyczyć tylko dozorców,

pod których strażą przebywać mamy we wspólnym więzieniu, to także wybór ten nie jest pozbawiony dla nas znaczenia. Lecz czyż nie chodzi tutaj o coś innego? Czy Stany Zjednoczone, gdy staną się kierownikami świata nie zamienią się także z biegiem czasu w tyranów świata?

Odpowiemy tak jak mówiliśmy już nieraz: to jest zupełnie możliwe. Nie mamy żadnej pewności, iż byłoby odwrotnie. Musimy nawet powiedzieć więcej. W życiu amerykańskim tkwi pewna doza brutalności. W Stanach Zjednoczonych wyraża się ona w lynchach i gangsterstwie, zagranicą zaś w arogancji i wulgarności żołnierzy i turystów. Prowincjonalizm amerykański znajduje swój wyraz w braku wyczucia innych narodów i innych kultur. U wielu Amerykanów istnieje pełna ignorancja pogarda dla idei, tradycji i historii i zadowolenie z siebie, gdy chodzi o sukcesy odniesione na polu czysto materialnym. Kto z nas po kilkugodzinym słuchaniu radia amerykańskiego potrafi zapanować nad dreszczem niepokoju na myśl, że ceną naszego przetrwania będzie zamerykanizowanie świata?

2.

Stwierdziliśmy uprzednio, że ze słowem "imperium" wiąże się zwykle całą serią beładnych idei, mających tylko odległy związek z doświadczeniem historycznym. Istniało już wiele imperiów o odrębnych gatunkach różniących się między sobą pod wszelkimi możliwymi względami z punktu widzenia socjalnego i politycznego. Jedynym stałym czynnikiem, powodującym, że dany agregat polityczny nazywamy "imperium" jest przewaga — czasami bardzo nieznaczna — jednej z jego części nad resztą.

Jest nieprawdą, że wszystkie imperia są tyranami. Imperium ateńskie z piątego wieku przed Chrystusem było przez prawie cały przeciąg swej historii zaledwie wzmocnioną federacją. W łonie państwa imperialnego, w samych Atenach, kwitła najsilniejsza demokracja polityczna świata antycznego, a pod pewnymi względami i wszystkich czasów, mimo, że Ateny kontrolowały politykę zagraniczną sfederowanych miast i wysp używały w wielu wypadkach swoich wpływów, by wywołać zmiany, w sensie demokratycznym, w podległych im reżimach.

Ręka Anglii ciążyła bardzo w Indiach, Malajach, Ceylonie, lecz nie można postawić jej zarzutu, że zniszczyła wolność, która nigdy tam nie istniała. A w jakich niezależnych państwach znajdziemy więcej wolności niż w luźno związanych zależnych od niej Dominiach?

Imperialne panowanie Rzymu porównane szczególnie z istniejącymi uprzednio reżimami na terytoriach, na które imperium to stopniowo się rozciągało, było dalekie od czystego despotyzmu; poprzez wieki opierało się na państwie, które samo było republiką. Wiele miast i państw, zagarniętych siłą, czy też przy pomocy manewru politycznego, zostało scementowanych z Imperium nie na podstawie niewolnictwa, lecz na podstawie przyznania obywatelstwa rzymskiego. Trudno bardzo byłoby udowodnić, że panowanie Rzymu zmniejszyło wolność mieszkańców Egiptu, Tracji czy Partii.

Nie staram się oczywiście wywołać wrażenia, iż stworzenie imperium jest najlepszym sposobem zabezpieczenia wolności.

Imperia Mongołów, Egipcjan, Inków, Azteków, imperium babilońskie i Hittitów nie mogą być zaliczane do przyjaciół wolności. Wydaje się tym niemniej, iż wyraża związek przyczynowy między imperium a wolnością nie istnieje. Nie ponoszą odpowiedzialności za brak wolności u Indian And i Meksyku, Egipcjan, Mongołów i Hittitów struktury imperialnej, w których ramy społeczeństwa te były politycznie włączone w różnych epokach. W ich cywilizacjach, bez względu na to czy były one zorganizowane w imperia czy nie, nie istniały nigdy wolności polityczne i socjalne w dzisiejszym rozumieniu. Stopień wolności, istniejący w imperium, wydaje się niezależny od politycznej super-struktury imperialnej.

Rozszerzenie się imperium, już chociażby z tytułu samej jego istoty, oznacza w każdym razie zmniejszenie niezależności czy suwerenności narodów i ludów, włączonych w jego skład. Narody te cierpią czasami nad tymi stratami, lecz zawsze najbardziej boleją nad tym klasy rządzące, będące przedtem panami — a może nawet tyranami tych narodów. To częściowe pozbawienie niezależności danego narodu nie pociąga za sobą z konieczności utraty jego konkretnych wolności. Może przyczynić się do potężnego jego rozwoju i może dostarczyć cywilizacji i politycznemu porządkowi świata poważnych korzyści. Nieograniczona niezależność narodowa jest wątpliwym błogosławieństwem. Żyje ona w zgodzie z despotyzmem wewnątrz narodu i wywołuje anarchię międzynarodową, będącą właśnie skutkiem separatystycznej niezależności.

Nie próbowałem oprzeć wniosku stwierdzającego istnienie totalitarnej tyranii światowego imperium komunistycznego jedynie na fakcie, że byłoby ono imperium. Wniosek mój oparłem na analizie istoty komunizmu, którą ukazuje nam jego ideologia, organizacja i praktyka historyczna. Mimo, iż zgodzić się musimy z możliwością, że imperialna federacja światowa, kierowana przez Stany Zjednoczone także zamienić się może w tyranie, fakt, że to będzie imperium i w tym wypadku nie uzasadnia takiego wniosku.

3.

Rozwój gospodarki przemysłowej na skalę światową, rozkład międzynarodowego porządku politycznego i istnienie broni atomowych stanowią, jak to ustaliliśmy na początku niniejszej książki, elementy kryzysu światowego i stwarzają okoliczności, uzasadniające próby konstruowania światowej federacji imperialnej. Utworzenie federacji światowej staje się możliwe dzięki warunkom materialnym i socjalnym, konieczne zaś dzięki katastrofalnej ostrości kryzysu, który tylko ona może rozwiązać. Istoty tej federacji nie określi sama jej nazwa; musi być ustalona w oparciu o okoliczności historyczne, które mogą ją powołać do życia.

Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych i w ogóle niekomunistycznego świata, utworzenie światowej federacji jest konieczne po to, by spełniła ona dwa ściśle ze sobą związane zadania, których bez niej nie można wykonać: to jest przeprowadzenie kontroli nad bronią atomową i zapobieżenie wybuchowi

masowej, totalnej wojny światowej. Pod kierownictwem Stanów Zjednoczonych, i tylko pod ich kierownictwem, można by stworzyć jeszcze na czas, federację, zdolną do wykonania tych zadań. Wykonując je federacja spełniłaby to, co można by nazwać jej "historycznym zadaniem"; uczyniłaby zadość wymaganiom, które przyspieszyły jej powstanie. "Amerykańskie imperium światowe" ograniczałoby się więc w swym minimum do ochronnego związku narodów i ludów utworzonego w specjalnie określonym celu, w którym władza specjalna — władza nad bronią atomową — powierzona zostałaby, na początku, jednemu z członków tego związku.

Na początku konstrukcja federacji oparta byłaby tylko na tym minimum, które mimo wszystko nie zadałoby niepowetowanego ciosu wolnościom ludzkości. Nie należy jednak przypuszczać iż przez czas dłuższy poprzestałaby ona na tej skromnej roli; minimum rozwinęłoby się, zyskałoby na znaczeniu i trudno z góry przewidzieć w jakim kierunku by poszło. Mógłby to być kierunek tyranicznego despotyzmu, stosowany przez uprzywilejowany na początku naród; tym niemniej nie ma podstaw do przypuszczenia, że rozwój nie mógłby pójść w kierunku diametralnie przeciwnym, w kierunku pełnych wolności, prawdziwego państwa światowego i światowego społeczeństwa.

Niebezpieczeństwem dla wolności byłaby uprzywilejowana władza Stanów Zjednoczonych na początku istnienia Federacji. Na szczęście dla wolności obiektywne czynniki o dużej wadze przeciwstawiłyby się wszelkiej próbie Stanów Zjednoczonych zmierzającej do wprowadzenia światowej tyranii totalitarnej.

Wśród tych czynników, nie jest bez znaczenia, historyczna tradycja, którą stanowi społeczna przeszłość Stanów Zjednoczonych. Wspomniłem nieco wyżej o brutalności, prowincjonalizmie i braku kulturalnego wyczucia, które często dostrzegamy w postępowaniu Amerykanów. Są to cechy charakterystyczne, których obecność nie powinna nas dziwić w młodym i "na poły barbarzyńskim nadpaństwie kulturalnej peryferii", by użyć terminologii Toynbee'ego. Nie ma w nich nic totalitarnego. Ich manifestacje o charakterze raczej anarchicznym, wybuchowym, w skutkach swych nieopanowanym, są w gruncie rzeczy antytotalitarne. Większość Amerykanów pogardza ideami; lecz pogarda ta daje im pewną nietykalność w stosunku do integralnych ideologii z gatunku totalitarnego. Narodowi znacznie trudniej jest wyzwolić się ze swej przeszłości niż to mogą przypuszczać pesymiści i optymiści. Przyszłość może być zarówno kamieniem młyńskim na szyi jak i kotwicą, gwarantującą bezpieczeństwo. Jest rzeczą możliwą, że Stany Zjednoczone staną się totalitarne, lecz wydaje się mniej prawdopodobne, by nastąpiło to na skutek naturalnej ewolucji wewnętrznej. Totalizm musiałby być wniesiony z zewnątrz, jak to miało miejsce gdyby Niemcy hitlerowskie odhosiły światowe zwycięstwo i jak to może mieć miejsce, gdy komunistom zezwoli się na dalszą ich aktywność.

Drugim czynnikiem działającym na korzyść wolności jest niewystarczający zasób sił Stanów Zjednoczonych. Stany Zjednoczone są dzisiaj potęgą ogromną, większą niż samym ich obywatelom się to wydaje, dostatecznie dużą by móc wznieść

gmach federacji światowej, by pobić komunizm i zapewnić kontrolę nad bronią atomową. Lecz potęga ta nie jest dostatecznie duża, by umożliwić im narzucenie reszcie świata reżimu totalitarnego. Nawet gdyby Stany Zjednoczone umiały stworzyć wystarczającą siłę czysto wojskową, zabrakło by im jednak ludzi i doświadczenia politycznego.

Wynika z powyższego, że Stany Zjednoczone mogą kierować federacją tylko w oparciu o partnerów przy pomocy łączenia metody ugód i koncesji z metodami siły przestrzegając jednocześnie praw innych, również zazdrośnie jak własnych przywilejów. Gdyby Stany Zjednoczone odrzuciły ten sposób panowania i gdyby stały się światowym despotą, to posługując się groźbą bomby atomowej udałoby się im zapewne podporządkować sobie świat na czas krótki, lecz szybko i niezaprzeczalnie doprowadziłoby to do odwetu ludzkości i zniszczenia Stanów Zjednoczonych. Powstaje pytanie czy przy tej okazji nie runęłaby cała cywilizacja.

Twierdzenie to wskazuje, że w projektowanej federacji światowej zasada równowagi sił byłaby w dalszym ciągu utrzymana. Tylko na planie czysto wojskowym równowagę zastąpiłoby przewagą Stanów Zjednoczonych. Ale siła militarna, szczególnie w znaczeniu technicznym, którego jedyną stawką jest kontrola nad bronią atomową — nie jest na pewno jedyną formą władzy socjalnej. W takich dziedzinach jak bogactwo w ludziach zasoby materialne, poziom uzdolnień kulturalnych i doświadczenie, Stany Zjednoczone nie wyprzedzałyby innych członków federacji. W ramach federacji poszczególne mocarstwa kontynuowałyby swą aktywność; hamowałyby się i równoważyły wzajemnie, utrudniając w ten sposób totalitarne skryształowanie się całej władzy.

Trzecią ochroną, ironiczną ochroną wolności byłaby niechęć Stanów Zjednoczonych do kierowania światem. Nigdy dotąd jeszcze ludzie pchani siłami niepodlegającymi ich kontroli — nie wchodzili na drogę, prowadzącą do panowania nad światem z równym brakiem zainteresowania dla czekającej ich podróży i z równą nostalgią patrzący w przeszłość. Niechęć ta jest w rzeczywistości tak głęboka, iż ma ona większe znaczenie jako tragiczny handicap utrudniający odpowiednie użytkowanie władzy, niż jako zabezpieczenie przed nadużyciem tej władzy przez Stany Zjednoczone.

W końcu, jeszcze jeden, czwarty z kolei czynnik przeciwstawi się ewentualnym despotycznym aspiracjom Stanów Zjednoczonych. W dzisiejszym świecie miliony kobiet i mężczyzn wiedzą — często dzięki straszliwym bezpośrednim doświadczeniom — co znaczy totalitarna tyrania i zdecydowali się do zwalczania jej, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja. Ludzie ci znajdują się tak w Stanach Zjednoczonych jak i we wszystkich innych krajach, a ci, których jarzmo komunistyczne zmusza obecnie do milczenia nie są na pewno najmniej zdecydowani. Utrata wolności uczy może najlepiej doceniania jej wartości. Mimo, iż po tylu zdradach i złudnych nadziejach nieszczęśliwcy ci są obecnie bliscy rozpaczki, gotowi są jednak do podjęcia akcji na nowo.

Gotowi są do przyjęcia — z braku innych możliwości —

kierownictwa Stanów Zjednoczonych, lecz pod warunkiem, iż będą mieli podstawy do wierzenia, że kierownictwo to przyniesie im jednocześnie siłę i sprawiedliwość: siłę by mieć szansę wygrania i sprawiedliwość, by warto było zwycięstwo to odnieść. Pójdą oni za Stanami Zjednoczonymi nie jako obywatele Stanów, lecz jako świadomi obywatele świata. Wszystkie rządy i wszystkie władze wydają się im podejrzanę. Będą oni — już są — surowymi sędziami Stanów, znając symptomy tyranii; dostrzegą każdy zamach na wolność i będą się jemu przeciwstawiać. Jeżeli doświadczenie wskaże im, że nadzieje, pokładane w Stanach były bezprzedmiotowe, to Stany Zjednoczone porzucą.

Stany Zjednoczone nie mogą współzawodniczyć z tyranią komunistów; komuniści, produkując ten towar polityczny, zawiądnęli rynkiem. Ludy świata powiedzą sobie, że jeżeli totalitaryzm czeka ich nieuniknienie, to lepiej już, by to był totalitaryzm o wypróbowanej i sprawdzonej marce. Narody nie staną po stronie Ameryki — walka ostatecznie toczy się dla nich i nie jest to walka czysto wojskowa — o ile kierownictwo nie będzie antytotalitarne i o ile Stany nie potrafią wzbudzić w ludzkości nadziei zamiast strachu.

4.

Przypuśćmy, iż słuszne jest moje twierdzenie, że dwiema jedynymi możliwymi alternatywami w obecnej politycznej sytuacji światowej jest organizacja światowa, kierowana przez komunistów, i organizacja światowa, kierowana przez Stany Zjednoczone.

Konsekwentny w stosunku do siebie samego komunizm nie odczuwa bynajmniej zażenowania z powodu istnienia widocznych różnic, występujących między poszczególnymi postaciami, które przybiera jego propaganda na arenie światowej. Jedną z postaci tych mówić nam będzie, że wszystko idzie jak najlepiej w Związku sowieckim i wśród komunistów we wszystkich krajach oraz że wszelkie opowiadanie o bezecnościach komunizmu jest faszystowskim oszczerstwem i kontrrewolucyjnym kłamstwem. Gdy deklaracjami tymi nafaszerowano nas tak, że gotowi jesteśmy w nie wierzyć, inna tuba propagandy komunistycznej mówić nam będzie: oczywiście i wśród komunistów zdarzają się od czasu do czasu ekscesy, w Rosji sowieckiej miały miejsce niepokoje, lecz czyż nie jest tak na całym świecie? Jak mogą Stany Zjednoczone nie dostrzegać w oku swym belki i wypominać Rosji te źdźbła słomy? Jeżeli komuniści nie są bez zarzutu, to w każdym razie Amerykanie nie są więcej warci.

Ten zręczny manewr, grający przebiegle na strunach naszego poczucia winy, wywołuje paraliżujące skutki jeżeli chodzi o umysł i wolę ludzi uczciwych. Czyż nie jest prawdą, że ciemiężymy niższe od nas rasy, zagarniamy bazy militarne, że żołnierze nasi gwałcą i kradną, iż istnieją u nas niedopuszczalne dzielnice mieszkaniowe, że propaganda nasza jest często fałszywa i pełna hipokryzji, że większa część naszej prasy jest na usługach ludzi złych i bogatych, że istnieją u nas nieuczciwi politykierzy, nie robiący obszarnicy i wyzyskiwacze? Jakże prawo mamy więc do krytykowania komunizmu, do przeciwstawiania mu naszego sposobu życia? Czyż można między nami wybierać? Lecz przede wszystkim, co upoważnia nas do żądania, by świat wybierał?

Ponieważ nie starałem się ukrywać obecnych błędów naszego społeczeństwa ani groźby zbliżającego się niebezpieczeństwa, lecz mówiłem o nich otwarcie, chciałbym obecnie zaopatrzyć pewnym komentarzem ową pseudo-pokorną i subtelną postawę.

Prawda polega na tym: nasz sposób życia nie jest sposobem życia komunistów. Istnieje między nimi różnica, istnieje konieczność wyboru, poważniejszego od wszelkich wyborów dokonanych kiedykolwiek na przestrzeni historii. W historii nigdy nie mamy możliwości wyboru między dwoma absolutami, między Dobrem a Złem, między Bogiem a Szatanem. Świat jest mieszaniną dobra i zła; Szatan o ile nie zasiada na tronie, to jednak uczestniczy zawsze na światowych zgromadzeniach. Nasz wybór dotyczy zawsze barw szarych, które są mieszaniną dobra i zła i nasz najlepszy wybór zapewnić nam może tylko mniejsze zło. Ważne więc jest zdanie sobie sprawy ze składu mieszaniny, jej stopnia i wymiarów.

Jest prawdą, że wprowadzamy rozróżnienia, jeżeli chodzi o murzynów; lecz w Stanach Zjednoczonych najgorzej ciemnony murzyn posiada dziesięć razy więcej wolności niż dziewięć dziesiątych osób, podlegających władzy komunistów. Jest prawdą, że istnieją w naszych wyborach pewne nadużycia, lecz w Rosji sowieckiej cały system wyborczy jest wielkim nadużyciem i farsą. Jest prawdą i rzeczą bardzo złą, że prasa nasza deformuje czasami wiadomości dla dobra samolubnych właścicieli; lecz cała prasa sowiecka jest po prostu organem totalnego kłamstwa. Niektórzy z naszych robotników i rolników żyją źle w tandetnych domach; lecz w reżimie komunistycznym wszyscy robotnicy żyją w nędzy w tandetnych domach; wszyscy pilnowani są przez tajną policję, związani z państwem swymi książkami pracy i piętnaście do dwudziestu milionów z nich wchodzi w skład niewolniczych grup pracy N.K.W.D. Żołnierze nasi, gdy okupują jakiś kraj, są czasami brutalni; lecz komuniści, gdy kraj jakiś okupują wyciągają z niego wszystkie żywotne soki, niszczą jego niezależność, wysyłają setki tysięcy jego mieszkańców do niewolniczych obozów pracy, torturują i zabijają wszelkich, ewentualnych nawet, przeciwników. Zdarza się policji naszej obić pałkami strajkujących, lub brutalnie przyprowadzić do porządku nieszkodliwego pijaka; lecz policja komunistyczna torturuje, oskarża, zsyła i morduje miliony niewinnych mężczyzn i kobiet oraz przemienia, przy pomocy szpiegów i prowokatorów do każdej fabryki, fermy i domu. Nasi pracodawcy i nasze władze usiłują czasami złamać strajk; w reżimie komunistycznym zwykle wspomnienie o strajku karane jest śmiercią. Karzemy czasami człowieka biednego, który w rozpacz kradnie, na przykład biżuterię bogatemu nierobowi; w Rosji sowieckiej, umierający z głodu chłop, który weźmie drobną ilość pszenicy, by nakarmić swe dzieci może być legalnie skazany na wygnanie czy śmierć za to, co nabożnie nazwane zostało "kradzieżą socjalistycznej własności". Prawo i praktyka komunistyczna w niespełnieniu obowiązku donosicielstwa widzi zbrodnię, trzeba swych przyjaciół, swą żonę i swą rodzinę zdradzać. U nas słabi i biedni nie posiadają równych szans w walce z bogatymi i potężnymi; w reżimie komunistycznym biedni i słabi muszą nie tylko panów swych słuchać, lecz ich chwalić i płaszczyć się przed nimi.

Jestem daleki od tego, by szeregując te porównania starać

się wywołać uczucie wyrozumiałości w stosunku do nas samych; nasze błędy pozostają błędami, nawet gdyby istniały błędy gorsze. I obowiązkiem naszym jest wykrywać je i zwalczać; każdy z nich bowiem jest nową bronią, którą dostarczaemy komunistom. Lecz jest rzeczą konieczną przestrzec przed obojętnością, która jest w rzeczywistości cynizmem i która unika odpowiedzialności wyboru pod pretekstem, iż wszystkie drogi są takie same i wszystkie prowadzą do katastrofy. Jest dobrze przypomnieć, iż mimo wszystko, coś stracić możemy.

Byłoby wskazane danie jakiejś nazwy polityce, którą sformułowałem. Nie jest ona ani "imperialna" ani "amerykańska" w znaczeniu, które zwykle nadaje się tym słowom. Funkcje kierownicze, które przyznają Stanom Zjednoczonym, nie są wynikiem nastawień nacjonalistycznych, lecz wypływają z możliwości i istoty światowych stosunków między istniejącymi obecnie mocarstwami. Ponieważ polityka ta jest jedyną odpowiedzią na komunistyczny plan uniwersalnego totalizmu, ponieważ stanowi jedyną możliwość zachowania odpowiedzialnego stopnia wolności w tym pełnym niepokoju okresie i ponieważ okazuje nam jedyną otwartą drogę, prowadzącą w kierunku wolnej społeczności światowej, nazywać ją będą od tej chwili, *polityką demokratycznego porządku światowego*.

ROZDZIAŁ VII

Czy wojna jest nieunikniona?

Jest w pewnym sensie absurdem zapytywać czy wybuchnie nowa ogólna wojna, trzecia wojna światowa. Mówiliśmy już o tym, że trzecia wojna światowa rozpoczęła się wiosną 1944, toczy się więc ona już od kilku lat. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi w wojnie tej już poległo w Chinach, Persji, Jugosławii, Tryście, Niemczech i gdzie indziej. Wśród poległych znajdują się także żołnierze Stanów Zjednoczonych.

Żadne z przyszłych wydarzeń nie ma charakteru nieuniknionego, dlatego też nie możemy twierdzić z całą pewnością, że nowa wojna totalna wybuchnie. Jest rzeczą do pomyślenia i możliwą, iż nie dojdzie skutku. Zmuszeni jednakże jesteśmy przyznać, — o ile mamy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy — że nowa wojna w znaczeniu totalnym jest bardzo prawdopodobna i że wybuchnąć może w stosunkowo niedługim czasie. Ogólnie biorąc jest ona prawdopodobna, chociaż prawdopodobieństwo to nie jest takie same w każdym, poszczególnym wypadku i to bez względu na to, jaka będzie polityka Stanów Zjednoczonych i innych narodów. Żyjące mikroby wypełniają krew, a wiedza polityczna nie jest jeszcze w posiadaniu cudownego środka leczniczego.

Nie mało dowodów na istnienie tych mikrobow znajduje się na stronach tej książki. Wiemy, iż cywilizowani ludzie toczyli liczne i częste wojny; nic nie wskazuje na to, że ich odwieczne przyzwyczajenia mogłyby ulec szybkiej zmianie. W przeszłości, maksymalne osiągnięcia rozsądnej polityki ograniczały się jedynie do zmniejszenia częstotliwości wojen i ich zniszczeń, oraz do zredukowania, dzięki przewidywaniom i umiejętności lawirowania zarówno kosztów zwycięstw jak i przegranych. Wiemy,

iż w dzisiejszym świecie podział i zachwianie równowagi, zastrzone niezmiernie istnieniem broni atomowych, są tak poważne, iż dalsze trwanie w obecnym stanie napięcia bez powzięcia jakiejś zasadniczej decyzji — jest niemożliwe. Wiemy, iż tego rodzaju decyzje wywołują zwykle wojny.

Nie jest naprawdę konieczne zgłębianie przyczyn aż do ich korzeni, by stwierdzić, że wojna jest prawdopodobna; fakt ten wypisany jest ogromnymi literami na powierzchni wydarzeń codziennych. A w historii, znacznie mniej ważne konfliktki i starcia od wypadków lat ostatnich, wywoływały wojny.

A dalej, wydarzenie, które w naszym skomplikowanym świecie współczesnym powoduje wybuch wojny ma zwykle charakter przypadkowy; może to być źle przetłumaczony telegram, morderstwo, lub jakieś zajście graniczne, wśród wielu innych zajęć na granicy. Znacznie poważniejsze trudności mogły poprzedzać to wydarzenie, nie wywołując jednak wojny. Lecz w pewnym momencie stosunki między przyszłymi wojującymi krajami osiagają napięcie tak bliskie wybuchu, iż w stanie tym mała iskierka, którą uprzednio łatwo by ugaszono, spowodować może masową eksplozję. Czasami jedna ze stron walczących świadomie iskierkę tę wznieca, mając nadzieję, iż tego rodzaju inicjatywa przyniesie jej korzyści. Innym razem, ogień zapala się, że się tak wyrażę — spontanicznie, na skutek przypadkowego starcia, którego żaden z kierowników politycznych nie przygotował świadomie. Z chwilą, gdy osiągnęło się stan wybuchowego napięcia wojna rozpoczyna się w każdej chwili. Wybuch jej może się odraczać przez kilka lat; lecz o ile dzięki jakiemuś nadspodziewanemu szczęściu substancja eksplozująca nie ulegnie przekształceniu, groźba wojny jest stała i beśpośrednia.

W odniesieniu do otwartego i pełnego stadium trzeciej wojny światowej, świat osiągnął dzisiaj ów stan wybuchowego napięcia. Oznacza to, że wojna nie jest możliwością, dla przyszłego pokolenia o której można by dyskutować w wolnych chwilach. Wybuch jej ulec może odroczeniu na cztery, pięć lat, prawdopodobnie jednak nie na dziesięć. Ale także rozpocząć się ona może w każdej chwili, dzisiaj, jutro. Zestrzelenie samolotu, zbombardowanie portu przez okręt wojenny, wkroczenie armii do sąsiedniego kraju, rzucenie bomby atomowej na jakieś wielkie miasto czy rafierie naftowe, zaaresztowanie i przetrzymanie jakiejś osoby, każde wydarzenie nieposiadające znaczenia większego od setek wydarzeń w przeszłości — może być przyczyną rozpoczęcia się wojny. Lub odwrotnie, wojna ta wybuchnąć może jako wynik długiego, powolnego i postępującego etapami przygotowania, które przybierać może formę rozszerzającej się wojny domowej, buntu czy przenikania przez granicę.

Stany Zjednoczone w warunkach tych nie mogą prowadzić poważnej polityki zagranicznej, a tym bardziej polityki demokratycznego porządku światowego — chyba, że byłyby gotowe do rozpoczęcia wojny w każdej chwili. Nie mam tutaj na myśli szczegółów, dotyczących przygotowania wojskowego. Jakkolwiek są one istotne, mają one jednak charakter drugorzędny i są wynikiem zasadniczej gotowości politycznej, są wynikiem zrozumienia faktu, że politykę trzeba, o ile to jest konieczne — wesprzeć siłą i wesprzeć ją do końca.

Polityka musi być pierwsza i powtarzam — pokój nie może być jej najwyższym celem praktycznym. W obecnym światowym kryzysie politycznym nie można liczyć na to, iż uda się zablufować przeciwnika równie zręcznego i dobrze poinformowanego jak komuniści. Konflikty, angażujące konkretne zadania polityki amerykańskiej, mają miejsce codziennie. Gdy konflikty te posiadają charakter poważniejszy, ich rozwiązanie sprowadza się właściwie albo do definitywnego cofnięcia się, albo do posunięcia się naprzód bądź to Amerykanów, bądź komunistów w stosunku do ich celów zasadniczych: gdy jedna strona posuwa się naprzód, druga musi się cofać. Ani twarde przemówienia, ani stanowcze noty, ani skargi składane Radzie Bezpieczeństwa nie wpłyną w sposób decydujący na te rozwiązania, chyba, gdyby było wiadome, że za słowami znajdują się siła i że kierownicy amerykańscy gotowi są siły tej użyć, by słowa swe poprzeć.

Stany Zjednoczone nie zapobiegą wojnie, pragnąc pokoju. Zresztą jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby udało się wojny tej uniknąć. Jedynym sposobem uniknięcia jej byłoby wprowadzenie w życie polityki, która zniósłaby przyczyny wojny. A to możliwe jest tylko wtedy, gdy się jest stale gotowym do wojny. Gotowość do wojny zaś, ponieważ nie zwiększa prawdopodobieństwa jej wybuchu, jest nieodzownym sposobem zmniejszenia prawdopodobieństwa tego na tyle, na ile pozwalają na to okoliczności. Tym niemniej, jeżeli w niedługim czasie wojna rozpocznie się to Stany Zjednoczone, prowadząc politykę, która na pewno poprawi ich pozycję, będą miały mniej podstaw do obawiania się jej, niż gdyby miała wybuchnąć z opóźnieniem, w chwili, gdy obóz przeciwny dysponować już będzie bronią atomową i gdy stanowisko Stanów Zjednoczonych zostanie nieodwołalnie podminowane na skutek błędnie stosowanej polityki.

2.

W chwili obecnej komuniści gotowi są do wojny, lecz się do niej nie spieszą. W wojsku nie ma defetyzmu i nie ma niechęci do podjęcia walki natychmiast, gdyby okazało się to potrzebne. Zresztą wojsko to toczy walki nieustannie, czasami nawet na dużą skalę w licznych częściach świata. Istnieją podstawy do przypuszczenia, iż komuniści woleliby opóźnić wybuch ogólnej wojny o dziesięć czy piętnaście lat.

Pragnienie to, nie mając charakteru bezwzględnego, uzasadnione jest bardzo zrozumiałymi przyczynami. Części świata, znajdujące się we władaniu komunistów, są w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi i ich ewentualnymi aliantami zacofane pod względem technicznym i ekonomicznym. Mimo, że komuniści koncentrują swój wysiłek na produkcji wojennej, z całkowitym prawie wyłączeniem innych gałęzi produkcji uzbrojenie ich jest niedostateczne zarówno pod względem jakościowym jak i ilościowym. W szczególności brakuje im bomb atomowych i środków do ich produkowania. Gdyby wybuch wojny ulec miał opóźnieniu braki te mogłyby być częściowo uzupełnione. Pięć lat wystarczyłoby na wyprodukowanie przez Sowietów broni atomowej, gotowej do użycia.

Wojna z Niemcami wywołała w Związku sowieckim ogromne zniszczenia materialne, szczególnie w tych okęgach, gdzie w ciągu pierwszych trzech lat planu pięcioletniego najbardziej rozbudowano przemysł. Opowiadania o przesunięciu dużej ilości fabryk za Ural są mocno przesadzone. Zresztą nie można przecież przeniesić kopalni węgla, zapór wodnych, pieców gazowych, pokładów naftowych. Konieczność doprowadzenia do porządku tych zniszczeń przemawia za odroczeniem wojny. Wojna, oraz okres powojenny przyniosły poza zniszczeniami materialnymi poważny rozkład socjalno-polityczny. Wojna stworzyła pierwszą i najbardziej dogodną sposobność dla uzewnętrznienia gwałtownej i nagromadzonej niechęci w stosunku do reżimu komunistycznego. Uzewnętrznienie to przybrało najróżnorodniejsze formy. Dywizje rosyjskie na przykład, które czynnie walczyły po stronie Niemiec pod dowództwem generała A. A. Własowa były jedyną "armią zdraziecką", którą komunikowiek z walczących udało się zorganizować. Po zakończeniu wojny, reżim komunistyczny, powołując się na antykomunistyczne zachowanie się, zlikwidował cały szereg tak zwanych "republik autonomicznych" (Republiki Czeceńsko-Inguska, Krymska, Kałmucka, Niemiecko-Nadwołżańska), których istnienie było jakoby zagwarantowane "najbardziej demokratyczną na świecie konstytucją" i zniósł "okręg autonomiczny" Karaszewo. Gdy armia czerwona znajdowała się poza granicami Związku sowieckiego często następowało u prostych żołnierzy silne rozluźnienie dyscypliny i notowano wielokrotne wypadki dezercji. Ponadto, podczas wojny utrzymanie w porządku skomplikowanej sieci scentralizowanego aparatu partyjnego było bardzo trudne.

Z tych powodów rządowi potrzebny jest pewien okres czasu na ponowne skonsolidowanie swego bezwzględnego panowania nad partią, armią i masami; zadanie to wypełnia posługując się swymi zwykłymi metodami, głównie przy pomocy zakrojonej na wielką skalę i rozpoczętej w 1946 roku, czystki.

Z drugiej strony komuniści są głęboko przekonani, że "imperializm kapitalistyczny", to znaczy świat niekomunistyczny, wszedł w stadium swego ostatecznego upadku i że toczy się w nim nieodwołalny proces wewnętrzny rozkładu. Zdaniem ich, za kilka lat, świat niekomunistyczny opanuje kryzys ekonomiczny o rozmiarach znacznie bardziej katastrofalnych, niż kryzys w latach 1929 - 33. Wierzą też w możliwość przyspieszenia rozkładu kapitalizmu przy pomocy działalności własnych organizacji, funkcjonujących w łonie państw kapitalistycznych. Odroczenie więc wojny obiecuje przynieść komunistom podwójne korzyści, wywołane z jednej strony pozytywnym rozwojem komunizmu, a z drugiej rozkładem kapitalizmu.

Rozważania te nadają kierunek pewnemu prądowi opinii wśród komunistów, który jednak nie znajduje oficjalnego potwierdzenia w hasłach i postępowaniu obecnego lewicowego "okresu siódmego"³⁷⁾. Ci, którzy podlegają wpływom owego prądu opinii, wypowiadają się za bardziej spokojną i ostrożną polityką oraz za zainaugurowaniem nowego prawicowego okre-

37) Patrz część pierwsza, Rozdział IV.

su z jego normalną formułą frontów zjednoczonych i współpracy. Poglądy te wyraził publicznie Earl Browder w swych sześciu artykułach, opublikowanych latem 1946 roku w "The New Republic", po powrocie z podróży do głównego maga w Moskwie³⁸⁾. Artykuły te były pułapką dla rządu Stanów Zjednoczonych. Mówiły one: pozwólcie nam tylko na wykonanie naszych skromnych planów w Europie, Chinach, Środkowym Wschodzie, a obiecujemy być grzeczni. Stany Zjednoczone i komuniści dzięki "pacyfistycznej kolaboracji" kierować będą wspólnie światem i zapewnią sobie wzajemnie szczęście i dobrobyt.

Różnica między tym poglądem, a poglądami wysuwanymi przez obecny okres siódmy jest wyłącznie — nie należy chyba tego powtarzać — natury taktycznej. Jedynie ważną sprawą jest stwierdzenie, jakie byłyby najlepsze środki ułatwiające przygotowanie i jaki byłby najlepszy okres do rozpoczęcia wojny, która — zdaniem komunistów — jest nieunikniona. Mówiłem już o tym, że nie jest wykluczony nowy zwrot w kierunku prawicowym. Pod wieloma względami byłaby to decyzja taktycznie inteligentna, szczególnie jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone. Stany Zjednoczone nieomal patetycznie tęsknią za możliwością, która ułatwiałaby im zapadnięcie w sen polityczny.

Nie należy jednak widzieć w pragnieniu opóźnienia wybuchu wojny jakiejś oznaki braku zaufania komunistów do siebie samych. Zaufanie to, wzmocnione wiarą w kapitalistyczny rozkład, zwiększyło się jeszcze na podstawie dostarczonych przez wojnę dowodów, stwierdzających jak silnie z punktu widzenia geograficznego i strategicznego jest ich obecne położenie. Z punktu widzenia ideologicznego, zaufanie to wsparte jest niedającym zaatakować się dogmatem o nieuniknionym światowym triumfie komunistycznym. Przekonanie komunistów o ich własnej wyższości politycznej ma przede wszystkim wpływ na ich obecną taktykę. Negatywna strona tego przekonania mówi im że, "imperializm" jest tak dalece zdegenerowany i rozdarty "wewnętrznymi sprzecznościami", iż świat niekomunistyczny w każdej swej części i jako całość nie jest zdolny do ustalenia i przeprowadzenia jakiegokolwiek poważnej linii politycznej. Pogląd ten znajduje, jak dotychczas, liczne potwierdzenia w rzeczywistości. Pozytywnie przekonanie to prowadzi do stwierdzenia faktu, iż podczas wojny i po wojnie, mimo trudności materialnych inicjatywa publiczna znajdowała się zawsze w ich ręku. Nawet gdy bluffowali, na podobieństwo gracza pokerowego, mającego w kartach jedną tylko parę, nikt bluffu tego nie demaskował. W Polsce, Argentynie, Persji, Włoszech, Niemczech, w sprawie Tito, Franco, Borysa — wszędzie oni pierwsi podejmowali akcję. Narody niekomunistyczne albo machinę swą w ruch puszczają z opóźnieniem, albo nieśmiało tylko protestują prze-

³⁸⁾ To samo stanowisko, wyrażone z punktu widzenia komunistycznego przez Browder'a, znalazło swe ujęcie z punktu widzenia amerykańskiego w wypowiedziach Wallece'a. Różnica między Browder'em a Wallace'm polega na tym, że Browder wie co robi.

ciwko biegaczowi, który wystartował zanim padł strzał z pistoletu.

Rozważania te pomagają nam w zrozumieniu obecnie obowiązującej, lewicowej, "błyskawicznej" i dynamicznej polityki komunistycznej. Podobnie jak gracz, któremu dopisuje szczęście mówią oni sobie: grajmy dalej dopóki szansa jest z nami. Przenikajmy przez każdy otwór, wypełniajmy każdą pustkę, rozszerzajmy każdą szczelinę; innymi słowy, posuwajmy naprzód, w granicach, o ile tylko będzie to możliwe, przygotowania do wojny, zanim rozpocznie się ona na dobre. Gdybyśmy rozgniewali imperialistów, to i tak ich sytuacja polityczna jest tego rodzaju, iż nie wiele będą mogli przeciw nam zdziałać. Nawet gdyby spróbowali, nawet gdyby taktyka nasza miała przedwcześnie wywołać wojnę, to w międzyczasie wygramy już tyle, że podjęcie tego ryzyka, warte było zachodu.

3.

Podstawą struktury planów komunistycznych jest polityka. Jeżeli chodzi o komunistów wszystko uzależnione jest od tego czy potrafią oni utrzymać swą wyższość i swą inicjatywę polityczną. Jeżeli utrzymają to zapewnią sobie zyski bez względu na to, czy wojna wybuchnie czy nie i czy rozpoczęcie jej zostanie odłożone czy przyspieszone. Cokolwiek jednak się stanie polityka ich, zmierzająca do podboju świata, posuwać się będzie stale naprzód.

Struktura planów komunistycznych rozpadnie się, jeżeli podstawa jej zostanie zachwiana. Jeżeli świat niekomunistyczny zdobędzie się na odpowiednią i odważną politykę, jeżeli inicjatywa w jej przeprowadzeniu spoczywać będzie w jego ręku, to komuniści zmuszeni zostaną do stosowania polityki defensywnej. Wówczas cały szereg ich pozornych korzyści przemieniłby się w przeszkody. Ich "morale", będące funkcją ich poczucia wyższości politycznej, zostanie podminowane. Pustki polityczne, do których starają się dotrzeć zostałyby wypełnione przez ich przeciwników. Mury fortecy eurazyjskiej, które dzisiaj wydają się tak silne dlatego, iż nie podlegają ani naciskom zewnętrznym, ani działaniom sił od wewnątrz, zaczęłyby rozpadać się w gruzy. Powstałyby możliwości powiększenia się wewnętrznych trudności Sowietów, zarówno ekonomicznych jak i socjalnych. Sekcje komunistyczne w łonie państw niekomunistycznych straciłyby swe dobre samopoczucie i wkrótce zlikwidowanie ich stałoby się możliwe.

Polityka światowego porządku demokratycznego zapewnić może szybkie i pewne rezultaty. Przeznaczeniem jej nie jest akcja, która toczyć by się miała w odległej przyszłości, lecz akcja natychmiastowa. Od dnia subskrypcji mogłaby wnieść zmiany do politycznej sytuacji światowej. Ma ona charakter pozytywny, posiada cel i jednocześnie zdolna jest do przeciwstawienia atakom zdecydowanego oporu. Przynosi rozwiązanie, jedynie możliwe niekomunistyczne rozwiązanie dla politycznych problemów światowych. Nie zawierałaby elementów bluffu, gdyż opierałaby się na potrzebnej dla spełnienia wyznaczonego zadania potęgze materialnej. Z tytułu tego faktu posiada szcze-

gólne możliwości zmuszenia komunistów do prowadzenia polityki defensywnej. Dla względów tych tendencja jej nie polegałaby na prowokowaniu komunistów do wojny, lecz na wywołaniu w nich tak silnego uczucia obawy przed wojną, że zmusiliby ich do pójsia na wszelkie koncesje, byleby tylko jej uniknąć. Wojna przestanie być ich ulubioną melodią. Gdyby jednak wojna wkrótce wybuchła komuniści, pozbawieni swej wyższości politycznej, znaleźliby się w bardzo niewygodnym położeniu, które utrudniałoby im walkę; odroczenie rozpoczęcia wojny przyniosłoby w tych warunkach tylko dalsze osłabienie ich pozycji. Wobec aktywnie rozwijającej się polityki światowego porządku demokratycznego nie będą mogli liczyć więcej na pozytywne dla nich działania czasu. Znajdą się oni bowiem w obliczu niezmiernie trudnego dylematu. Albo, widząc stałe pogarszanie się swojej sytuacji obawiać się będą podjęcia walki, co doprowadzi do rozegrania się przed naszymi oczami niepozbawionego ironii spektaklu w którym totalizm prowadzić będzie politykę apeasementu w stosunku do demokracji; albo — doprowadzeni do rozpacz — rozpoczną ostatnią wojnę okopową, która być może nie pociągnie za sobą ani poważnych zniszczeń, ani długiego rozlewu krwi, ale którą przegrają bez wątpienia.

Gdyby jednak wstrzymano wojnę przed doprowadzeniem do ostatecznego rozstrzygnięcia nawet sukcesy polityki światowego porządku demokratycznego nie usunęłyby niebezpieczeństwa nowej wojny, która zniszczyć by mogła całą cywilizację. Tak długo jak elementy wybuchowe będą się nagromadzać, niebezpieczeństwo wybuchu wojny totalnej będzie stałe obecne.

Niebezpieczeństwo wojny zniknie dopiero wtedy, gdy obecny reżim w Sowietach zostanie obalony i komunizm światowy straci na swej sile. Obecność stosunkowo silnej koncentracji komunizmu w społeczeństwie niekomunistycznym wywołuje ową światową polityczną mieszaninę wybuchową. Mieszanina ta ulec może przekształceniu albo na skutek przemienienia się w całkowicie komunistyczną, albo na skutek zredukowania procentu komunistycznego do stopnia, w którym przestanie on być niebezpieczny. Poza tymi dwiema możliwościami innych możliwości nie ma.

Jest rzeczą bardziej pożądaną i tego należy pragnąć, aby komunizm w Związku sowieckim i w innych krajach został zdruzgotany od wewnątrz raczej, niż żeby nastąpiło to na skutek wojny, przychodzącej z zewnątrz. Komunizm jednak rozrósł się do tego stopnia, że siła jego jest większa od siły każdego państwa działającego w odosobnieniu. Pobicie komunizmu w jakimkolwiek punkcie świata stać się musi celem walki niekomunistów, działających na całym świecie. Ludzie zaś znajdujący się w sferze sowieckiej potrzebują najwięcej pomocy. Wtedy gdy pozbędą się oni swych władców komunistycznych i tylko wtedy, rozwiążemy z największą łatwością obecnie nierozwiązalne zagadnienie — "jak porozumieć się z Rosją?".

Cz. IV. To, co będzie zrobione

ROZDZIAŁ I.

Polityka wahań

1.

Każdy z nas wie dzisiaj, iż osiłą całej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych oraz polityki światowej jest problem stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem sowieckim; natomiast mniej ogólnie wiadomo, że zasadnicze znaczenie Związku Sowieckiego nie jest wynikiem jego sytuacji między innymi narodami, lecz wypływa z faktu, iż jest on podstawową bazą komunizmu światowego. Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych w stosunku do tego problemu zajmuje dwa stanowiska o charakterze uczuciowym, ale konsekwentnym jednocześnie, a wyrażające się albo w appeasementie, albo w nowej formie izolacjonizmu.

Stałym źródłem rozwoju appeasementu jest mechanizm propagandy komunistycznej; najbardziej znanymi jego zwolennikami są ludzie tacy jak Henry Wallace, Claude Pepper, Elliot Roosevelt i Joseph E. Davies. Teza appeasementu jest prosta. Rosjanie (których ludzie ci mieszają nieustannie z komunistami), są ludźmi przyjaznymi, pracowitymi, nastrojonymi pokojowo, skłonni do współpracy z Amerykanami, do których zresztą są bardzo podobni. Ich kierownicy wierzą w kilka absurdalnych idei, które są zresztą naleciałością przeszłości i nie dają podstaw do niepokoju. Wierzą oni w prawdziwą socjalną i ekonomiczną demokrację i odnoszą się z pełnym szacunkiem do człowieka z ludu. Jeżeli posiadają nieco odmienne od naszych koncepcje demokracji politycznej, to przecież każdy ma prawo mieć własne zapatrywania, a poglądy ich zresztą zbliżają się nieustannie do naszych. Pragną tylko pokoju i dobrobytu oraz szukają możliwości polepszenia swego losu dla dobra własnego i całej ludzkości. Jeżeli zaś są jeszcze w stosunku do nas trochę podejrzliwi i przewrażliwieni to wynika to z faktu, iż w przeszłości traktowaliśmy ich źle, i że ludzie pragną u nas wojny wywołują nieufność, rozsiewając o nich kłamstwa.

Obowiązkiem więc naszym jest udowodnienie im, iż w stosunku do nich jesteśmy nastawieni lojalnie i życzliwie, co z dokumentować powinniśmy udzielając im tego wszystkiego czego potrzebują dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa politycznego, oraz wysyłając im żywność, towary i maszyny, które umożliwiają im odbudowę kraju; komunikując im sekrety, dotyczące fabrykacji broni atomowej; wprowadzając komunistów do wszystkich rządów, by wszędzie zapewnić demokrację; zaprzestając wrogich manifestacji takich, jak budowa baz, manewry marynarki wojennej i zakazując faszystom amerykańskim prowokowania ich przez wygłaszanie prawd nie na czasie.

Tradycyjny izolacjonizm wyparował pod wpływem działania gorącego słońca dwóch wojen światowych. Nikt już obecnie nie może marzyć o dziewiczych, czystych, pogodnych i zadowolonych Stanach Zjednoczonych, osłoniętych pasmem oceanów i granic kontynentalnych i zabezpieczonych od brudu

starych i schorowanych narodów Europy i Azji. Ale w istocie swej izolacjonizm nie operował nigdy pojęciami geograficznymi; miały one dla niego charakter tylko tymczasowy; związane były z okresem gdy główne zadanie Stanów Zjednoczonych polegało na zdobywaniu ziemi amerykańskiej i stwarzaniu własnej jedności narodowej, z okresem, w którym zasięg broni nie był jeszcze daleki. W geografii izolacjonistycznej tkwiła zawsze pewna idea historyczna i moralna, w myśl której Stany Zjednoczone są odmienne od wszystkich innych narodów i która mimo swego błędnego założenia nie pozbawiona jest pewnej wielkości. Jest to naiwna i dosłowna wizja nowego świata, pełnego obietnic i nadziei, który powstał z zasiania nowych ziaren na dziewiczej ziemi, świata nie sięgającego korzeniami w przeszłość, w którym zielska nie głąszą plonu tak, jak dzieje się to w innych krajach. Ameryka musi czerpać swe siły z własnej bogatej i niezanieczyszczonej ziemi; musi unikać wszelkich kontaktów, które mogłyby zarazić ją starymi chorobami. Stąd, pojęcie Ameryki odrębnej i jedynej, samotnej gwiazdy bez konstelacji, której los odmienny jest od losu całej ludzkości.

Uczucia, z których narodziła się ta wizja, przybierają nowe i odmienne kształty, deformują się i deprecjonują pod wpływem bezwzględного nacisku rzeczywistości historycznej, w której nie znajdują naturalnego ujścia. Wulgarną formę tych nowych aspektów znajdujemy na łamach "Chicago Tribune" i "Daily News" z New Yorku; w sposób bardziej uczciwy występują one w nieudolnej polityce La Follette czy Burton K. Wheelera; przybierają zaś kształt pełen nostalgii i wyrafinowania u Charles A. Beard'a.

Nowy izolacjonizm rozciąga granice Stanów Zjednoczonych na obie Ameryki i na poważną część Pacyfiku, lecz uczucie swe w stosunku do sprawy odrębnej istoty Stanów Zjednoczonych pozostawia nietknięte, tak samo zresztą jak swe przekonanie, iż Stany Zjednoczone kroczyć winny swobodnie i samotnie swą własną drogą. Winny one również odnosić się z nieufnością do wszystkich organizacji międzynarodowych i — o ile jest to możliwe — ich unikać; nie powinny zawierać alian-sów, żadnych związków, ani dopuszczać "obcych koncepcji filozoficznych".

Jeżeli chodzi o skutki polityczne nowy izolacjonizm ma w praktyce charakter nacjonalistyczny i wojowniczy; zdaniem jego Stany Zjednoczone muszą iść tylko własną drogą i dążyć do zabezpieczenia własnych interesów. Niech inne narody wybierają sobie drogę, która im odpowiada i która zaprowadzi je może do zguby: komunizm, socjalizm, imperializm, faszyzm, są to kierunki, które Stanów Zjednoczonych nie obchodzą, o ile nie mieszają się do spraw Stanów. Lecz w świecie obecnym interesy St. Zjednoczonych rozciągają się na całą ziemię i przenikają wszędzie. Z tego powodu nowy izolacjonizm zmuszony jest nie tylko do zajęcia pełnego obojętności stanowiska w stosunku do reszty świata, tak jakby tego pragnął, lecz do czynnej ksenofobii. Nie chce on uznać całej obecnej współzależności naszej ziemi oraz niemożności oddzielenia Stanów Zjednoczonych od losów politycznych świata. Nie chce podejmować pozytywnych i nacechowanych sympatią in-

terwencji w sprawie ważnych problemów międzynarodowych, które decydują o politycznym zdrowiu świata, w skład którego wchodzi i problemy St. Zjednoczonych i zagadnienie Indyj, Bałkanów, komunizmu, Persji, Europy Zachodniej, czy Palestyny... Lecz decyzje w tych sprawach, mimo, że się nie chce tego uznać, dotyczą w sposób jak najbardziej bezpośredni St. Zjednoczonych. W konsekwencji, izolacjonizm prowadzi do oderwania St. Zjednoczonych od reszty świata w tym sensie przede wszystkim; iż zmierza do przeciwstawienia reszty świata St. Zjednoczonym. Z chwilą gdy odmawia poszukiwania czy przyjęcia bardziej korzystnych związków, sprowadza stosunki międzynarodowe do ich najbardziej bezpłodnego minimum, to znaczy do siły samej. Oskarżając wszystkie inne stanowiska pod pretekstem, że prowadzą do wojny przez okrażenie, izolacjonizm — odmawiając uznania jakiegokolwiek innej metody poza wojną, dla rozwiązywania zagadnień krytycznych, które wbrew jego poczynaniom na pewno będą powstawać — czyni tę wojnę bardziej prawdopodobną.

W oczach opinii publicznej appeasement i izolacjonizm są kierunkami diametralnie przeciwnymi, zajmującymi się analogią polityki zagranicznej St. Zjednoczonych. Nie ulega wątpliwości, że zwolennicy tych ruchów obrzucają się nawzajem najbardziej wymyślnymi inwektywami. Pogardliwym karykaturą Wallace'a, publikowanym w "Chicago Tribune" dorównać mogą tylko gorzkie sarkazmy Wallace'a, których nie szczędzi temu pismu. Jeżeli ograniczymy się do obserwacji tej słownej powierzchni, to rzeczywiście wydawać się nam będzie, że oba te stanowiska są niemożliwe do pogodzenia. Jeżeli jednak zbliżymy słowa do faktów, jeżeli przeanalizujemy te pozornie sprzeczności w ramach historii i w odniesieniu do ich konsekwencji politycznych, to stwierdzimy, że różnice między nimi zmaleją i znikają.

Mimo, iż obraz świata w którym żyjemy przedstawiają odmiennie, obie te doktryny są równie fałszywe, a wnioski, które wysnuwają one, opierając się na tej fałszywej wizji świata, są równie niemożliwe do wprowadzenia w życie. Są one identyczne, zarówno w swych konsekwencjach politycznych jak i w możliwościach wpływu na kluczowy problem obecnej sytuacji światowej. Zwolennicy appeasementu i izolacjonistów swym postępowaniem pozostawiają — z odmiennych zresztą przyczyn — pełną swobodę komunizmowi. Gdyby kierowali polityką Stanów Zjednoczonych to zarówno jedni, jak i drudzy, nie przeszkadzaliby komunistom w realizacji ich polityki, zmierzającej do opanowania świata; izolacjonisci — nie stawiając im przeszkód, zwolennicy appeasementu — wspomagając ich czynnie. Celem specyficznym obecnej polityki komunistycznej jest strategiczne i polityczne przygotowanie trzeciej wojny światowej, w której komunizm walczyć będzie ze St. Zjednoczonymi o panowanie nad światem. Praktyczne znaczenie appeasementu oraz izolacjonizmu wyraża się po prostu nieinterweniowaniem w stosunku do komunistów. Trudno wyobrazić sobie pewniejszą gwarancję wojny i to wojny, która będzie klęską dla St. Zjednoczonych.

Z drugiej strony ani appeasement, ani izolacjonizm, nawet gdyby osiągnęły pewne sukcesy, nie przynoszą pozytywnego rozwiązania problemowi współczesnego kryzysu światowego

oraz problemowi broni atomowej. Mimo wzajemnej wymiany obelg, popełniają ten sam grzech, który wywołują zarówno swoją akcją jak i brakiem akcji. Nie mówią one o tym, co jest konieczne, a propozycje ich są rozpaczliwie błędne.

2.

Na początku 1946 roku nastąpił w postępowaniu dyplomatycznym Stanów Zjednoczonych pewien pozorny zwrot, który wielu obserwatorów wzięło za pełną energię politykę w stosunku do Rosji sowieckiej. Zwrot ten nazwałem "retorycznym". Nazywając politykę "retoryczną" rozumiem przez to, że jej słowa nie odpowiadają jej akcji. W polityce zaś znaczenie mają nie słowa lecz akty, albo raczej słowa mają znaczenie o tyle tylko, o ile wyrażają wiernie i dokładnie linię postępowania.

Charakter retoryczny energicznego zwrotu w początkach roku 1946 wystąpił na jaw w epizodzie irańskim, który był przyczyną tego zwrotu. Związek sowiecki pogwałcił traktaty i konwencje z Persją, układ teherański i Kartę Narodów Zjednoczonych. Sowiety rozpoczęły proces wciągania Persji do systemu kół koncentrycznych, ustanawiając na północy marionetkowe państwo i uzyskując decydujące wpływy w całej Persji. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych na Radzie Bezpieczeństwa i w całym szeregu deklaracji publicznych dali wyraz swemu żywemu oburzeniu i napiętnowali tego rodzaju postępowanie. Zamiast zwykłych grzecznych formułek retoryki appeasementu, będących w obiegu od przeszło czterech lat, użyli twardych słów. Lecz komuniści wiedzieli, że Stany Zjednoczone nie noszą się zupełnie z zamiarem użycia jakichkolwiek środków politycznych, ekonomicznych czy wojskowych w sprawie Persji. Wszyscy wiedzieli o tym, łącznie z rządem perskim.

Rezultat nie powinien być więc wywołać u nikogo zdziwienia. Twarda retoryka odbiła się od wytrzymałej skóry Gromyki i została zignorowana. Komuniści nie przerwali systematycznego wykonywania swego planu; oddziały armii czerwonej wycofano dopiero wtedy, gdy pozycje komunistów zostały dostatecznie umocnione wewnątrz Persji. A jednocześnie Persowie przekonali się na jakiego rodzaju pomoc Stanów Zjednoczonych mogą liczyć. Persja wchodzić też zaczęła w orbitę pola grawitacyjnego komunistów. A obecnie, by od pola tego ją oderwać, trzeba będzie użyć znacznie większej siły, niż to było potrzebne w styczniu 1946.

Retoryczna energia nie stworzy polityki, bo substancją polityki jest działanie. Retoryczna energia jest w rzeczywistości pewnym rodzajem przyprawy, którą dolewa się do sosu appeasementu. Zbyt wyrozumiała matka, gdy jej zepsute dziecko zachowuje się w towarzystwie w sposób niewłaściwy mówi do niego łagodnie, grożąc mu od czasu do czasu z daleka palcem — niegrzeczny — lecz mimo tej pogroźki nie zmienia swego zachowania. A tym bardziej dziecko.

Jest rzeczą jednak możliwą, że ta słowna energia zmieni się w stosunku do Rosji w energię rzeczywistą. Należy zaznaczyć, iż "Polityka ograniczająca się tylko do energii w stosunku do Rosji" nie zbiega się z polityką demokratycznego porządku

światowego. Tak, jak słowna stanowczość jest wariantem polityki appeasementu, prawdziwa stanowczość mogłaby być wariantem izolacjonizmu.

Polityka demokratycznego porządku światowego zawiera — to prawda — pewną dozę stanowczości, lecz stanowczości skierowanej w stronę komunizmu raczej, niż Rosji. Stanowczość ta wchodzi w skład pewnej bardziej skomplikowanej orientacji, która nie jest nacjonalistyczna, a ma charakter międzynarodowy, w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jeżeli przyznaje się Stanom Zjednoczonym funkcję kierowniczą, to decyzja ta pobrana jest nie dlatego, że posiadają one wartości moralne, lecz dlatego, że istniejące stosunki w układzie sił pozwalają na wypełnienie wyznaczonego zadania międzynarodowego tylko wtedy, o ile kierownictwo spoczywać będzie w rękach Stanów Zjednoczonych. Polityka demokratycznego porządku światowego zmierza nie do pobicia Rosji, lecz do jej uwolnienia, do ułatwienia zwycięstwa ludu rosyjskiego nad jego totalitarnymi władcami. Wysuwa ona konieczność pobicia komunizmu światowego, lecz jest to tylko negatywna i mniej ważna strona zadania, którego celem pozytywnym jest konstrukcja światowego porządku politycznego, w którym cywilizacja mogłaby znowu swobodnie oddychać. Polityka demokratycznego porządku światowego nie zmierza do pogłębienia politycznej polityki, lecz do jego zjednoczenia i do związania Stanów Zjednoczonych z resztą świata.

Tymczasem, sama tylko energia byłaby po prostu wytworem narodowego izolacjonizmu; zamiast łączyć dzieliłaby jeszcze wyraźniej. Oderwałaby Stany Zjednoczone od reszty narodów i oparłaby stanowisko Stanów wyłącznie na zasadzie siły. Jej maksymalne powodzenie miałyby charakter bezpłodny i negatywny. Jest rzeczą możliwą, że doprowadziłaby do rozbicia armii czerwonej w walce, lecz nie wpłynęłaby na zmianę warunków światowego kryzysu politycznego i kryzys ten pozostałby nie rozwiązany; i na pewno nie doszłoby na świecie do ustalenia jakiegoś praktycznego porządku politycznego.

Polityka, za którą nie stoi siła jest pusta, lecz siła, którą nie kieruje polityka jest bezpłodna. Zasada ta jest prawem politycznym, którego potwierdzenie znalazły Stany Zjednoczone w niezbyt odległej przeszłości. Potęga Stanów Zjednoczonych zmanifestowała się niejednokrotnie w Niemczech, Austrii, Włoszech, Francji, lecz to ujawnienie się siły nie przyniosło korzyści ani Stanom, ani tym narodom, ani światu. A stało się to dlatego, że siłą tą nie kierowała polityka, która umiałaby użyć jej w owocnym działaniu.

3.

Jeżeli oprzemy się na dotychczasowych obserwacjach i doświadczeniach, to przypuszczenie, że Stany Zjednoczone mogą przyjąć jakąś konsekwentną i obliczoną na dłuższą metę politykę — wydaje się mało prawdopodobne. Mało prawdopodobne wydaje się nie tylko to, że przyjmą i wprowadzą w życie jedynie odpowiednią politykę — to znaczy politykę demokratycznego porządku światowego — lecz i to, że potrafią przyjąć i utrzymać przez jakiś czas jakąkolwiek, nawet fałszywą linię postępowania politycznego.

Członkowie rządu podlegają dwóm rodzajom nacisków: tym, które płyną z wewnątrz, i tym, które idą z areny międzynarodowej. Politycy amerykańscy są zwykle oportunistami w najbardziej absolutnym znaczeniu tego słowa; starają się utworować sobie drogę w tym labiryncie krzyżujących się nacisków, czy to ustępując im, czy unikając ich, czy też stawiając im czasami opór, a wszystko to w zależności od potrzeb dnia. Rzadko bardzo potrafią wznieść się ponad te presje i wyrobić sobie wizję całego ich systemu, co umożliwiłoby im stworzenie niezależnej siły, mogącej kierować energią wytwarzaną przez ten system. Są bardziej skłonni do oceniania zmiany w polityce zagranicznej pod kątem widzenia utraty czy zdobycia miliona głosów w przyszłych wyborach, niż pod kątem widzenia skutków wywołanych przez nią w układzie sił politycznych na arenie światowej, mimo że skutki te kosztować ich mogą, w bardzo krótkim czasie, znacznie więcej, niż wybory.

Należy więc spodziewać się, iż rząd nasz w prowadzeniu spraw światowych postuluje się będzie mieszaniną kilku niedających pogodzić się ze sobą polityk — na przykład trzy czwarte appeasementu i jedna czwarta stanowczości; lub w połowie izolacjonizm, a w drugiej połowie rząd światowy itd. W każdym z kolejnych okresów będziemy świadkami zmieniającej się przewagi, czy to jednej, czy drugiej z opisanych polityk. O ile oczywiście otwarta wojna nie przerwie tej serii — energia, appeasement, izolacjonizm, internacjonalizm i szowinizm będą się wzajemnie krzyżowały i ustępowały sobie miejsca.

Krótko mówiąc, wszystko wskazuje na to, że w sprawach światowych Stany Zjednoczone stosować będą politykę wahań.

Polityka wahań jest chyba najgorszą ze wszystkich polityk. Nawet polityka pośredniego gatunku, stosowana konsekwentnie, da wyniki lepsze, niż polityka wahań, tak, jak w nauce wysunięcie hipotezy fałszywej może być bardziej pożyteczne, niż nie wysunięcie żadnej hipotezy w ogóle. Gdy w polityce występują wahania nie osiąga się żadnych rezultatów, gdyż akcji zmierzającej w pewnym kierunku przeciwstawia się natychmiast akcja idąca z kierunku odwrotnego. Wywołuje to w obozie zwolenników dezorientację i demoralizację, a wśród przyjaciół, którzy liczyć nie mogą na jakąś stałą pomoc — zniechęcenie; wiedzą oni bowiem, że wszelkie złożone im obietnice, następująca nagle zmiana pozostawi w zawieszaniu. Przekiwnicy zaś, o ile potrafią zachować spokój, będą mogli wykonywać swój plan, pełni radości i pogardy.

Stanowisko pełne wahań w stosunku do widniejącej na horyzoncie burzy — które raz nakazywać będzie rozwijanie żagli, by przed burzą uciekać, następnie zaś zwijanie tych żagli, by na nią czekać, a w chwilę potem nakaże zarzucenie kotwicy — takie stanowisko na burzę nie wpłynie i rozpętaniu się jej nie zapobiegnie. Tego rodzaju zachowanie się da w rezultacie tylko to, że gdy burza nadejdzie nie będziemy gotowi do stawienia jej czoła.

ROZDZIAŁ II.

Rozwiązanie.

Dałem powyżej wyraz memu głębokiemu przekonaniu, że polityka demokratycznego porządku świata okaże się skuteczna. Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych skuteczność polityki tej, jak i innych polityk, oznacza pewność przetrwania. Z punktu widzenia negatywnego — doprowadzi do niewykonania komunistycznego planu podboju świata i zredukowania potęgi komunistycznej do pozbawionego znaczenia minimum. Biorąc jednak pod uwagę obecne położenie polityki światowej trzeba by skuteczność ta zapewniła inne jeszcze korzyści. Powinna ona wysunąć metodę kontroli broni atomowych, która jak wiemy przeprowadzana być tylko może przez ustanowienie bezwzględnego monopolu ich produkcji i posiadania. Powinna stworzyć polityczny i praktyczny system organizacji świata, który wyeliminowałby możliwość wojny totalnej. Obu tym wymaganiom, które w równej mierze dotyczą Stanów Zjednoczonych jak i reszty świata, polityka ta może uczynić zadość. Ponadto, mimo, iż wybiegamy w tej chwili poza obecny okres historyczny, któremu polityka ta jest bezpośrednio przeznaczona, wypełnienie tych specyficznych zadań stworzyć by mogło pomost, umożliwiający wybudowanie prawdziwego rządu światowego.

Wszystko to jest nie tylko logicznie możliwe; dysponując odpowiednimi środkami można by to przeprowadzić. Gdyby zaś Stany Zjednoczone podjęły się kierownictwa — zostałyby to przeprowadzone. Nie mam zamiaru wywoływać wrażenia że będzie to łatwe i mało kosztowne. Obecna sytuacja światowa, widziana nawet oczami optymisty, nie pozbawiona jest bardzo ciemnych barw. I najlepsza droga, która wyprowadziłaby nas z kryzysu, będzie ciężka, bolesna i prawdopodobnie krwawa.

Jest rzeczą możliwą, iż w odpowiedzi na apel świata dojdzie do powstania zdecydowanego kierownictwa. Lecz jakie czekają nas możliwości o ile kierownictwo takie nie powstanie?

Nie potrzebne jest zgłębienie tajnych archiwów po to, by wiedzieć, że dowództwo wojskowe Stanów Zjednoczonych zdaje sobie sprawę z możliwości, a nawet prawdopodobieństwa wybuchu wojny i że militarnie do niej się przygotowuje. Lecz przygotowania wojenne są tylko instrumentem polityki, a nieprzygotowana polityka czyni bezużytecznymi najbardziej doskonałe zarządzenia wojskowe. Rozpatrzmy pokrótce możliwości wojny w perspektywie stosowanej polityki wahań.

Ponieważ w hipotezie naszej przeciwnik dysponować będzie licznymi zasobami w ludziach i lepszym położeniem strategicznym, dowództwo wojskowe opierać będzie musiało swe kalkulacje głównie na wyższości technicznej i w mniejszym stopniu na przewadze ilościowej uzbrojenia. Wydaje się więc, że najbardziej wskazanym planem strategicznym byłoby niespodziewane i paraliżujące zaatakowanie przy pomocy broni atomowych kaukazkich pokładów naftowych, Moskwy i tuzina lub więcej sowieckich i kontrolowanych przez Sowiety, miast i koncentracji przemysłowych. Niektórzy z dowódców wojskowych są zdania, że atak ten zakończyłby właściwie woj-

nę i że Związek Sowiecki pozbawiony swego potencjału wojennego zmuszony by został do wycofania się z walki po upływie kilku tygodni.

Jest rzeczą wątpliwą, by obecnie istniały środki techniczne, które umożliwiłyby zadanie decydującego ciosu sercu Eurazji. Przypuśćmy jednak, iż ten techniczny problem został rozwiązany tak, jak to zapewne będzie wkrótce miało miejsce. Nawet gdyby rozwiązanie problemu tego było nie całkowite, można by wywołać kolosalne zniszczenia materialne.

Lecz jeżeli w tym momencie Związek Sowiecki będzie także posiadał broń atomową, to Stany Zjednoczone zaatakowane zostaną równocześnie. O ile weźmiemy pod uwagę politykę wahań w Stanach Zjednoczonych z jednej strony, oraz totalitarną niezależność w stosunku do opinii publicznej z drugiej, to fakt, że komuniści atak swój przeprowadzą pierwszy jest rzeczą prawie pewną. Stany Zjednoczone umieściły prawdopodobnie swe instalacje atomowe w ten sposób, że przetrzymają one atak i że odwet będzie możliwy; gdyby tak nie było Stany Zjednoczone przegrałyby spotkanie przed rozpoczęciem rozgrywek.

Wspomnieliśmy już o tym, że przemysł amerykański, jako bardziej rozwinięty, bardziej skoncentrowany i scalony jest dla tych właśnie przyczyn bardziej na niebezpieczeństwo ataku bronią atomową wystawiony niż przemysł sowiecki. Jednocześnie, socjalna struktura amerykańska jest bardziej zależna od przemysłu, niż struktura sowiecka. Należy się więc liczyć z tym, że szkody wyrządzone Stanom Zjednoczonym pierwszym atomowym atakiem komunistycznym będą większe niż szkody wywołane w Związku Sowieckim odpowiedzią amerykańską.

Tym niemniej w ogólnej tendencji ataki te mniej lub więcej równoważyłyby się, nie doprowadziłyby one do końca wojny, lecz odwrotnie, wojna dzięki nim przeciągnęłaby się niepomiarnie i nabrałaby niespotykanej rozpiętości. Ogromne szkody materialne po obu stronach, tak wielkie, iż w czasie wojny naprawa ich byłaby niemożliwa, w skutkach swych wywołają zmniejszenie znaczenia czynnika technicznego w prowadzeniu wojny. Zasoby w ludziach, "morale", apele do ludu całego świata i ogólne czynniki polityczne będą stawać się coraz bardziej decydujące. Wychodząc z założenia, iż Stany Zjednoczone prowadzić będą niezmiennie politykę wahań ta zmiana charakteru walki przechyliłaby szanse zwycięstwa na stronę komunistów. Ich ogromne rezerwy w ludziach będą uzupełniane ludnością z kolonii i innych zacofanych narodów, które na skutek braku pozytywnej polityki Stanów Zjednoczonych znajdują się w orbicie wpływów komunistycznych. Zachodnia Europa dostałaby się zapewne pod panowaniem komunistów jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Gdyby to jednak nie nastąpiło, to biorąc pod uwagę jej skłócenie narodowe i socjalne, oraz jej podminowanie organizacjami komunistycznymi przypuszczać należy, iż rozpadłaby się pod wpływem pierwszego mocniejszego ataku komunistycznego. W samych Stanach Zjednoczonych i w innych krajach alianckich partie i agenci komunistyczni, którym polityka wahań pozwoliłaby na rozwijanie swej działalności, zainstalowani we wszystkich istot-

nych organizacjach narodowych, podjęłyby akcję sabotażową o charakterze materialnym i psychologicznym, wobec której lojalni obywatele, nieposiadający żadnego przygotowania politycznego, czuliby się bezradni. Koniec, to znaczy porażka Stanów Zjednoczonych uległaby opóźnieniu, lecz byłaby prawie pewna.

Przypuśćmy z drugiej strony, że w chwili gdy wojna się rozpoczyna Związek Sowiecki nie jest jeszcze w posiadaniu wystarczającej ilości broni atomowej. Pierwszy okres wojny byłby więc gigantycznym zwycięstwem amerykańskim. Gdyby zwycięstwo to poparte zostało odpowiednią polityką pozytywną przyniosłoby według wszelkiego prawdopodobieństwa koniec wojny. Nabrałoby w oczach wszystkich narodów ziemi, łącznie z ludami znajdującymi się pod panowaniem sowieckim innego znaczenia niż zwykły pokaz nie mającej procedensu potęgi materialnej. Widziano by w nim, w zestawieniu z przeprowadzanym jednocześnie planem, możliwość rozwiązania światowego kryzysu. Wszyscy, z wyjątkiem samego dowództwa komunistycznego, zrozumieliby, iż szybkie zakończenie wojny mogłoby przynieść tylko korzyści. Polityka ta doprowadziłaby do zneutralizowania komunistycznej penetracji w Chinach, Indiach, Islamie, Indiach Wschodnich, Ameryce Południowej. Skromne zapasy Stanów Zjednoczonych w ludziach, do których dołączyłyby się inne narody na skutek tymczasowego aliansu dla prowadzenia wojny, zastąpione by zostały ludami świata niekomunistycznego i ludami niekomunistycznymi świata komunistycznego, które nie prowadziłyby niepotrzebnej walki, lecz zajęłyby się konstruowaniem ludzkiego politycznego porządku światowego. Komuniści podnieśli by się po fizycznym uderzeniu pierwszego ataku tylko wtedy, gdyby dysponowali możliwościami zastosowania wyższej polityki. Gdyby jednak możliwości tych byli pozbawieni, to mieliby mało szans na wywołanie opóźnienia akcji.

Perspektywy te nabierają natychmiast ciemnych barw, gdy wrócimy do bardziej prawdopodobnej hipotezy polityki wahań. Jest prawdą, iż komuniści nie będą mogli uniknąć strasznej początkowej porażki. Ponieważ jednak ich arsenał polityczny nie uległby uszkodzeniu pod wpływem wybuchu bomby atomowej — nie poddałoby się. Opuściliby wielkie miasta i fabryki, którym groziłoby niebezpieczeństwo tak, jak mieszkańcy Aten, którzy widząc, że miasta nie będą w stanie obronić wydali go hordom perskim. Porzuciliby myśl prowadzenia wojny przy pomocy nowoczesnych środków. Przekształciłoby ją w wojnę polityczną, w "wojnę ludów", prowadzoną we wszystkich częściach świata przez siły nieregularne, partyzantów, guerille, piąte kolumny, szpiegów, donosicieli, morderców, przy pomocy sabotażu, strajków, kłamstw, terroru, dywersji, paniki i buntów. Graliby na uczuciach strachu i przesądach, na poczuciu winy i szlachetności ludności Stanów Zjednoczonych; wykorzystaliby wszystkie podziały rasowe i socjalne; zwiększałyby antagonizmy między ewentualnymi aliantami i niestrudzenie podkopywałyby wolę Stanów Zjednoczonych do kontynuowania dalszej walki.

Mimo, że wynik nie jest tak pewny jak w wypadku posiadania przez komunistów broni atomowej — mam wrażenie —

że komuniści w ostatecznym rezultacie zwyciężą. Ponieważ Stany Zjednoczone nie prowadziłyby pozytywnej polityki, ponieważ nie ukazałaby światu możliwości rozwiązania politycznych problemów, ich przerażająca siła materialna wywołałaby wśród ludów wrażenie niewyzwolonej brutalnej siły mordercy; ich nieumiejętność przeprowadzenia różnicy między reżimem komunistycznym a jego ofiarami złączyłaby ofiary te z ich władcami. Sami Amerykanie czuliby się obrzydzeni i mieliby wyrzuty sumienia na widok tego, co zdnaniem ich będzie pozbawioną sensu, niekończącą się i nieprowadzącą do niczego rzezią. Dowództwo wojskowe zdezorientuje brak skuteczności planów, których kalkulacje oparte były na przewadze technicznej. Nieumiejętność podejścia do walki z punktu widzenia politycznego odda w ręce komunistów wybór środków walki. Cały świat zamieni się dla Stanów Zjednoczonych w jedną ogromną pustynię pełną zasadzek; w czasie długiej nocy nerwy nie wytrzymają napięcia, posterunki wystrzelą w ciemność swe ostatnie ładunki i wszystko zostanie zakończone.

Nie można robić sobie iluzji co do znaczenia przegranej w następnej wojnie totalnej. Dalecy jesteśmy od młodzieńczych wojen z okresu wiosny cywilizacyjnej, gdy były one częścią składową nadmiaru sił bujnego rozrastania się. Do przeszłości należą już wojny, które zawodowo prowadziły nie-liczne, niemające nic innego do roboty klasy społeczeństwa, oraz grzeczne wojny, które po wielu manewrach i niewielu walkach utrwały jakąś dynastię lub wprowadzały drobną poprawkę do granic. Nasze wojny są wojnami punickimi i wojnami domowymi z okresu szczytowego Epoki Niepokojów, wojnami eksterminacyjnymi. W czasie drugiej wojny światowej Roosevelt, pchany przeznaczeniem, którego sam prawdopodobnie nie zrozumiał, rzucił słynne swe hasło, które ujawniło istotę naszej epoki. Po raz pierwszy w historii wojen cywilizacji zachodniej celem stała się kapitulacja bezwarunkowa — czyli całkowite, bezwzględne i ostateczne zniszczenie przeciwnika.

2.

O ile Stany Zjednoczone kontynuować będą swą politykę wahań, to ich porażka i zniszczenie będzie prawdopodobne. Jest rzeczą mniej pewną natomiast, że porażka ta będzie równoznaczna z automatycznym zwycięstwem Związku sowieckiego i komunizmu światowego. Przedłużanie się walki, szczególnie gdy obie strony posiadać będą broń atomową, doprowadzić może w rezultacie do obustronnego wyniszczenia. Wyczerpanie, zniszczenie w ludziach i materiale osiągnąć może tak wielki stopień, że socjalne odzyskanie sił będzie już niemożliwe. Tego rodzaju zjawiska miały już miejsce w historii. W czasie wojen peloponeskich wyczerpanie zwycięskiej Sparty, jak wykazała to bitwa stoczona pod Leuktrą, było nie mniejsze niż pobitych Aten i całą Grecję podbili z łatwością najpierw Macedończycy, a potem Rzym. Podobnie, wyniszczające konflikty wewnętrzne umożliwiły ottomańskim Turkom zagarnięcie Bizancjum; wydarzenia o tym samym charakterze miały miejsce w cywilizacjach Bliskiego Wschodu i w Chinach³⁹⁾.

³⁹⁾ Patrz Arnold J. Toynbee.

Cała cywilizacja zachodnia, to znaczy wszystkie kraje, w których struktura społeczna zależy od wysokiego stopnia przemysłowienia i technologii, zostałyby nadzarpnięta tą totalną porażką. I co dalej? Straszliwy polityczny kryzys światowy, który jest właściwie kryzysem cywilizacji zachodniej z tytułu jej reperkusji światowych istniałby w dalszym ciągu tylko w znacznie poważniejszej formie. Przedwczesną próbą Napoleona i swymi trzema wojnami światowymi zachód ujawnił swą nieumiejętność rozwiązania własnego kryzysu. Wydaje się, że w próbach tych wyczerpał on swe możliwości znalezienia ewentualnego wyjścia z trudności.

Lecz jak zaznaczyliśmy powyżej, cywilizacja zachodnia nie obejmuje całej społeczności ludzkiej. Upadek zachodu naruszyłby tylko cienką warstwę zachodnią, narzuconą innym cywilizacjom. Wytworzoną na zachodzie pustkę wypełnić by mogły nowe prądy, płynące z Chin, Indji czy Islamu. Porządek polityczny uniwersalnego imperium narzucony zostałby z zewnątrz i ludy zachodu weszłyby w ostatnie stadium swej historii w roli imperialnego proletariatu.

3.

Stany Zjednoczone muszą zdecydować się na wybór. Gdy słyszymy krzyk tonącego człowieka zatkanie sobie uszu do niczego nie prowadzi. Nie ma sposobu uniknięcia straszliwej odpowiedzialności wyboru; i wiemy, że Piłat, umywając ręce także dokonał wyboru.

Każdy z nas dzięki działaniu tajemnicy, którą teologowie nazywają łaską bożą, ma zawsze możliwość dokonania aktu skruchy i ponownego wybrania właściwej drogi. Przywilej ten nie jest wyłącznie udziałem historii społeczeństw. Historia wyzwań swych nie powtarza; jedno niepowodzenie, czy jedna odmowa wystarcza na to, by istniejąca możliwość rozwiązała się na zawsze. Babilon, Ateny, Teby, Aleksandria, Madryd, Wiedeń padają, by nigdy już się nie podnieść. I rzuconemu przez historię wyzwaniu nie towarzyszą układy, nie poprzedzają go targi, które mogłyby ustalać wzajemnie warunki.

Jest możliwe, iż ciemności wielkiej tragedii zamkną się nad krótkim i jasnym okresem historii Stanów Zjednoczonych. W marzeniach Nowego Świata była dostateczna ilość prawdy na to, by upadek ich nabrał charakteru tragicznego. Stany Zjednoczone powołane zostały do odegrania wielkiej roli zanim ukończyły swe przygotowania. Ich siła i możliwości nie okrzepły pod wpływem działania czasu i cierpienia. A los powołuje je do panowania nad światem i tylko do tego. Jeżeli należy brać pod uwagę niepowodzenie, to jest to tylko dowodem jak wielkie mogłyby być zwycięstwo.

James BURNHAM.

(Autoryzowany przekład Józefa Ursyna).

Koniec.

Copyright 1947, by James Burnham.
Original publication by the John Day Company, Inc., New York, U.S.A., with the title *The Struggle for the World*.

"ORZEL BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. * W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **Prenumerata:**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

W żelaznym pierścieniu

Urywki ze wspomnień

Miasto przesunęło się ku północy, zagarniając wczorajsze pustki i pola. Na początku NEP-u były tam ziemianki, do których w nocy chowali się dorośli włóczędzy i bezdomne dzieci, za dnia wałęsające się po bazarach i kolejowych dworcach stolicy. Nawet milicjanci bali się zaglądać w te strony w pojedynkę. Teraz tam wznosiła się betonowo-szklana góra budynku Państwowego Przemysłu. Spośród chaosu rozkopanego czarnoziemu i gliny wynurzały się zarysy olbrzymiego Placu imienia Dzierżyńskiego, z racji porywistych charkowskich wiatrów zwanego "wszechzwiązkowym przeciągiem". Jeszcze go nie zabudowano blokami wielkich na wzór amerykańskich drapaczy, i staroświeckie, przysadziste skrzydła Instytutu Weterynarii nadawały mu charakter arakcezejewskiego placu dla wojskowych ćwiczeń. Przez jakiś czas ulice tonęły w niezbrodzonym błocie, aby nieco później przywabiać łatwowiernych "inturistów" doskonałym oświetleniem, czystością i gładkością asfaltu. Nawet stare gmachy zaczęły rosnać do góry o dwa, nieraz trzy piętra. Młodej stolicy Ukrainy było ciasno.

W powietrzu widniała zmora pierwszej pięcioletki. Po kilku latach odpoczynku i dość zasobnego życia zmora ta wprowadzała trwogę, zapowiadając wielkie przemiany. Aż rok 1929 przyniósł ofensywę na wsie. Zamożny chłop przekonał się z rozpaczą, że teraz go ostatecznie chwytają za gardło. Miasto nie zupełnie jeszcze uświadomiło sobie, że zaczyna się tragedia wsi. Pozornie miasto żyło jeszcze NEP-em. Ale i na nie zapadł już wyrok.

W 1929 roku zaczęły się nagle aresztowania wśród ukraińskiej inteligencji. Z początkowej dezorientacji wyprowadziła prasa, w której ukazały się urywki z aktu oskarżenia w procesie Związku Wyzwolenia Ukrainy. Stawało się oczywiste, że od uchwał partyjnych, od rezolucji, przy pomocy których Kompartia usiłowała kierować kulturalnymi zjawiskami, Kreml przechodzi do ataku na prawdziwą, realną Ukrainę, ukrytą pod szyldem USSR. Ukraina nie chciała żyć pod bolszewickim płaszczem, jakim komuniści przykrywali swą akcję w dziedzinie narodowo-kulturalnej. Tym bardziej nie mogła uznać za swo-

ją generalnej linii KP(b)U, choć — nauczona gorzkim doświadczeniem — wyraźnie niby przeciw niej nie występowała.

Sytuacja stawała się jasna. Bolszewicy postanowili sparaliżować starsze pokolenie ukraińskiej inteligencji. Proces Związku Wyzwolenia Ukrainy (Spitka Wyzwolenia Ukrainy) miał przynieść rozwiązanie. W gmachu charkowskiej opery przy ulicy Rymarskiej, przez cały Wielki Post 1930 roku toczył się proces. Związki zawodowe, sowieckie organizacje i fabryczne komitety rozdzielały bilety wstępu do wielkiej sali. Cały czas starano się zapewnić teatr ludźmi, nie mającymi nic wspólnego z sądzonymi. Poruszony sensacją ostatnich tygodni, obywatel szedł przez ożywione wiosennym ruchem ulice na wieczorne posiedzenie sądu w gmachu Akademickiej Opery. Po prawej stronie sceny oglądał ponad czterdziestu dobrze ubranych, wygolonych i uczesanych "wrogów ludu".

Oto podczas przerwy b. minister Ukraińskiej Republiki Ludowej, A. Nikowskyj, wstaje i, jak gdyby nie dostrzegając tysięcznego tłumu widzów, podchodzi do dobrze znanej starszemu pokoleniu pisarki Ludmiły Staryćkiej-Czeriachiwskiej, całuje ją w rękę i przysiada się na chwilę nieprzymuszonej rozmowy. Oto z zakłopotaniem coś mówi do swego sąsiada członek Akademii, Serhij Jefremow, który dzięki swym artykułom i niezmiernie popularnej w latach rewolucji "Historii Ukraińskiej Literatury" uratował od wynarodowienia tysiące Ukraińców, zwracając ich ojczyźnie. Mychajło Iwczenko bierze z przyniesionej tacy szklanke herbaty. Jeszcze tak niedawno jego powieść "Pracownicy siły" przyjęła entuzjastycznie cała krytyka, aby nagle zaatakować go gwałtownie za "nieprzejednanie nacjonalistyczny" stosunek do zagadnienia młodych kadr nowej Ukrainy.

Sesja zostaje wznowiona. Oskarżeni zeznają. Nie o czynach, ale o rozmowach, myślach, marzeniach... Przewodniczący sądu i prokuratorzy, nawet nie Ukraińcy, mówią po ukraińsku. Rosyjskiego języka używają jedynie obrońcy, znani moskiewscy adwokaci. Za przebiegiem rozprawy, nadawanej przez radio, śledzą z uwagą tysiące i miliony. Przysłuchują się, nie wróżąc niczego dobrego. Spoza pozornego spokoju wycierała niespokojna przyszłość. Na tle tego, co już mówiono o "rozkurkułowaniu" (wydziedziczeniu zamożniejszych chłopów), każde słowo oskarżonych nabierało tragicznego dźwięku.

Tej wiosny wszyscy pracownicy telegrafu na głównej poczcie stołecznej zostali nagle odprawieni. Chwilowo zastępowali ich wojskowi telegraficiści, znający język ukraiński. Mój znajomy Sz. został przysłany w tym celu aż z Południowego Kaukazu, gdzie znajdował się jego oddział. Wojskowi pewnie dotrzymują służbowej tajemnicy. Tajemnicę stanowiły wyroki śmierci, przesyłane do zatwierdzenia, oraz podania o łaskę, kierowane na ręce przewodniczącego WUCWK, Petrowskiego. Wyroki te, przesyłane codziennie, świadczyły o innej rozprawie sądowej, bezlitosnej rozprawie w suterynach, bez widzów, bez radia, bez jawnych badań i przemówień obrońców.

Atmosfera tego procesu, atmosfera początku pięćdziesiątki z jej hasłami "industrializacji, likwidacji warstwy bogatych chłopów i całkowitej kolektywizacji", odbiła się niszcząco na literaturze.

W życiu Charkowa, ówczesnej stolicy USSR, literackie wydarzenia w latach 1920-30, wywoływały zawsze gwałtowną reakcję. Przez jakiś kaprys historii to mało poetyckie, stepowe miasto, położone nad zupełnie niepoetyczną Łopanią, wówczas jeszcze zabloconą i nieozdobną, jak później, kamiennym strojem, po raz drugi w ciągu stulecia stawało się ogniskiem romantycznego ruchu.

Skromni poprzednicy Szewczenki, gromadzący się dokoła stworzonego przez uczniów Skworody uniwersytetu, wznoszącego się nad brzegiem rzeki wśród niedostępnych na wiosnę bagnisk, żyli w latach 1830-40 marzeniami o przebrzmiałej sławie poprzedniego stulecia. Po wsiach Słobożańszczyzny, rozrzuconych w nieobjętych stepach, zbierali skarby ludowej mowy. Schodząc się na wykłady do byłego gubernatorskiego pałacu, z którego balkonu Katarzyna II oglądała niegdyś okolice, młodzi profesori i słuchacze rozmawiali przede wszystkim o przeszłości. W ich widzeniu ojczyzna żyła obrazem tej przeszłości, stając się "godne pióra Waltera Scotta". Ukraińska inteligencja na nowo odkrywała ojczyznę. Dokoła uniwersytetu skupiła się charkowska szkoła romantyków — taką nazwę dano jej później — bez której byłoby niemożliwe ukraińskie odrodzenie XIX-go wieku. Ale romantycy ci nie mieli szczęścia jako pisarze. Rosyjska władza, głucha prowincja, beznadziejność zmagania się z oficjalnie popieranymi wpływami Północy — wszystko to głuszyło ich głos. Po przekazaniu swego testamentu następcom, głosy charkowskich romantyków milkły jeden po drugim. Do urzeczywistnienia marzeń było jeszcze daleko.

I oto obecnie, wprawdzie pod innymi hasłami, pod inną maską, nastąpiło ponownie niespodziewane odrodzenie romantyzmu. W swoich nowelach i impresjonistycznych "Niebieskich szkicach" Mykoła Chwyłowij odczuł romantyczność nie tylko w burzliwych dniach rewolucji, gdy "po borach błądziły niedosłyszalne cienie średniowiecznych rycerzy", ale i w takiej dla większości współczesnych nieromantycznej codzienności:

"O czym-że ci mam opowiedzieć? Czy mam ci opowiedzieć, jak śpiewają nasze dziewczęta koło szwedzkich mogił, gdy ta pieśń buraczana, jako żal siwooki, jak genialny Leontowicz w burzanach mego stepowego kraju? Czy opowiem ci, jak wolnym krokiem wloką się z mleczarskiej fermy woły o rozłożonych rogach? Czy mam ci spleść wieniec z polnych dzwoneczków, z wydarzeń: o tym jak grzmiała, jak przeszła, jak rodziła się młoda epoka?"

Ten niespokojny potomek zbiedniałego szlacheckiego rodu, niewielki, śniady, o głębokich oczach pod szeroką i ciemną brwią, stawał się władcą myśli części młodego pokolenia. Innych odrzucała od niego partyjna legitymacja, ale i w tych nie mogły nie wzbudzić sympatii jego szczerość, zapał i świeżość.

Gdy w odważnym pamflecie oświadczył: „...według której z literatur świata powinna orientować się ukraińska literatura? W każdym razie nie według rosyjskiej. Kategorycznie i bez żadnych zastrzeżeń...” — podtrzymali go nawet ci, których dotychczas odrzucał od Chwyłowego jego szynel krasnoarmiejca, impresjonistyczny, „rozchełstany” styl i nowa frazologia sowieckich czasów.

Hasła Chwyłowego: „Precz od Moskwy” i „Dawaj Europę” — wypowiedziane w jaskrawej rewolucyjnej formie, która tak bardzo harmonizowała z powierzchownością wczorajszego krasnoarmiejca, zawsze ubranego w niebieską bluzę, wzburzyły całą Ukrainę. W Charkowie gorączka literackich dyskusyj porwała pisarzy wszystkich kierunków, młodzież uniwersytecką, publicystów, profesorów...

W gmachu przy spokojnej ulicy Kapłuniwskiej, w mieszkaniu zajmowanym niegdyś przez sumskiego wikariusza, a teraz zamienionego na Klub Literacki im. Błakynego, toczyły się namiętne i ostre dyskusje. „Książeczki na stół!” — wołał na publicznym zebraniu w odpowiedzi na partyjną deklamację na gwałt stworzonego do walki z rebeliantami Związku Proletariackich Pisarzy, humorysta Ostap Wysznia, zbliżony do Chwyłowego i jeszcze nie poddany represjom.

W okresie największego napięcia literackiej pracy charkowskich romantyków, w roku 1927, powstała piąta kolumna, której Kompartia poleciła wniesienie rozkładu i ruiny do ukraińskiego środowiska literackiego. Głównymi wrogami świeżo upieczonego Związku Pisarzy Proletariackich byli najzdolniejsi młodzi pisarze, którzy wnosili do literatury pełną narodową treść. Partia komunistyczna, tolerująca dotychczas pewną niezależność kulturalną Ukrainy z uwagi na możliwość nowego wybuchu rozbudzonych w latach 1917-20 sił narodowych, przyglądała się temu procesowi literackiemu z podejrzliwą uwagą. Rebeliancką grupę stanowili: M. Chwyłowyj, M. Jaływyj, M. Kulisz, M. Johansen, O. Slisarenko, A. Lubczenko, zjednoczeni w „Waplite” (Niezależna Akademia Proletariackiej Literatury), którą po przymusowej likwidacji przekształcono na „Jarmark literacki”, a jeszcze później na „Prolitfront”. W Kijowie pod nieustannym ostrzałem znalazła się grupa neoklasyków z M. Zerowym i M. Ryłskim na czele, oraz grupa pisarzy „Łanka”, zwana później „Mars”, do której wchodzili W. Pidmohylnyj, E. Płużnik, M. Iwczenko, B. Antonenko-Dawydowycz, D. Falkiwyj i H. Kosynka.

W smutnej sławy WUSPP-ie (Wszzechukraiński Związek Pisarzy Proletariackich) połączyli się ludzie o różnej wartości literackiej. Kilku starszych pisarzy, którzy z tych czy innych powodów nie znaleźli się w organizacjach o wyraźnym obliczu, przeważnie zaś młodzi partyjni karierowicze, rzadziej — z talentem, najczęściej — bez talentu... Prawie wszyscy milcząco uznawali wyższość tych, przeciw którym kazano im wystąpić

do walki. Ale u wszystkich górowała zaszczerpiona przez partię podejrzliwość w stosunku do Chwyłowego i jego przyznania się do „błędnej działalności”. Dla świadków i uczestników literackich wydarzeń tych lat nieszczerłość wymuszonego „pokajania” Chwyłowego była rzeczą zrozumiałą samą przez się. Pokajanie to było formalnie konieczne, dokładniej: była to ubezpieczająca zbroja. Używano jej, choć pod przymusem, dopóki jeszcze była skuteczna. Tylko ci, co żyli i pracowali ówczesnie w Charkowie, są w stanie zrozumieć podobną sytuację. Nie podrywało to w niczym szacunku i sympatii, jaką cieszył się Chwyłowyj w swym otoczeniu.

Mieli oni wszyscy swój własny styl i sposób bycia, odróżniający gromadę owych romantyków od szarej sowieckiej codzienności. Nieliczna grupa „Waplite”, przekształcona później na „Prolitfront”, nie znała szablonowych sowieckich form organizacyjnych, wtłoczonych w ramy ciągłych konferencji, posiedzeń, plenum itd. Ludzi łączyła wzajemna sympatia i przejęcie się sprawą. Umiano znajdować w otoczeniu rzeczy nowe, głęboko istotne dla tragicznej epoki, a niedostępne dla tych, którzy przyzwyczaili się patrzeć na życie przez sowieckie okulary. Romantycy kochali przyrodę i odznaczali się niezwykłą w stosunku do niej wrażliwością. Nie na próżno Chwyłowyj i jego przyjaciele tak bardzo pasjonowali się polowaniem. Worskła, Doniec i Oskół nie raz jeden budziły się o świcie od ich strzałów. Nikt dotychczas tak nie odczuwał pejzażu Słobożańszczyzny, jak Chwyłowyj i Johansen... Był autentyczny romantyzm, niepodrabiane uczucie i zawzięta praca nad artystycznym wyrazem.

Mimo nawału zajęć, znajdowano jeszcze czas na przekłady i pracę redakcyjną. Oleksa Slisarenko nadawał ton monumentalnemu wydawnictwu „Knyhospiłka”. Dla omawiania nowych planów wydawniczych „chwyłowiści” zbierali się zazwyczaj w gabinecie Arkadiusza Lubczenki. Pisarze tego pokolenia starali się swoją miłość do arcydzieł literatury zachodniej przekazać również ukraińskiemu czytelnikowi, skazanemu dotychczas na poznanie ich w rosyjskich przekładach. W. Pidmohylnyj całymi latami pracował nad przekładami francuskich prozaików XVIII-go i XIX-go wieku; niezwykle płodna i wielostronna była praca tłumaczeniowa Zerowa i Burgharda, Ryłskij przekładał francuskich klasyków, Mickiewicza i Puszkina. W Charkowie Lubczenko pracował nad przekładami z literatury francuskiej; Majk Johansen, zukrainizowany bałtycki Niemiec, filolog i poliglota, wkładał niezwykły wysiłek w przekłady z niemieckiego i zwłaszcza angielskiego. W serii studiów o teorii nowoczesnej noweli, w sposób tak namiętny, że niekiedy prawie komiczny, zwalczał niegdysiejsze bóstwo wielu pokoleń rosyjskiej inteligencji, Iwana Turgieniewa. Oto go widzę, jak — wysoki, chudy i nastroszony, o powierzchowności ruchliwego bursza — siedzi na stole w którymś z pokojów wy-

dawnictwa i ze zjadliwym uśmiechem recytuje z pamięci "Wiersze w prozie" swego "wroga". Rzutki i niespokojny, epatował zarówno starsze pokolenie, jak i bolszewickich ortodoksów, swoim sportowym ubraniem, przejęciem się zagadnieniami techniki literackiej i pociąganiem do eksperymentów w literaturze. Nowele i artystyczne reportaże Johansena, wydrukowane na krótko przed aresztowaniem (1937), już nie zdały się wyostać się zagranicę, a w ojczyźnie, jak zwykle, uległy konfiskacie. Ostry i często niesprawiedliwy, w swojej autobiograficznej powieści "Jugurta" rozprawił się bezlitośnie z profesorskim środowiskiem w Charkowie, z którego sam pochodził, dając szereg jaskrawych i łatwych do odcyfrowania portretów. Ale cenzura nie pozwoliła wydrukować powieści, zarzucając autorowi, że w Charkowie z roku 1910 "nie dojrzał istnienia rewolucyjnego proletariatu".

Dla historyka ukraińskiej literatury zginęły bezpowrotnie teksty rozmów i dyskusyj "chwyłowistów" z ich wyjazdów na polowania, które tak pociągały i samego Chwyłowego, i Doswiłnego. Johansena i ówczesnego Wysznę.

M. Kulisz, M. Chwyłowij, M. Jałowij używali — zanim zeszedli z pola widzenia — ubiorów, które przywoływały lata burz rewolucyjnych i wojen, czym odróżniali się jaskrawo od swych "zeuropeizowanych" przyjaciół, Lubczenki i Slisarenki. Płacili daninę panującemu ówczesnie smakowi, ginąc bez śladu w takim samym tłumie partyjnym. Natomiast różnił ich i odgraniczał od całej reszty zupełny brak "amikoszonerii", tak charakterystycznej dla artystycznego środowiska owych lat. Nikt nie był z Chwyłowym na "ty"... Bardzo specjalne, niekiedy zamaskowane, było ustosunkowanie się do niego przeciwników i wrogów. Jeden z głównych przywódców WUSPP-u, który zawsze ostro występował w obronie "partyjnej linii", rudawy, podziobany ospa K., często mówił: "A jednak ten Mykoła Hryhorowycz, to — wiecie — prawdziwy..." — i nigdy nie kończył zdania. W tym stosunku zaznaczała się mimowoli różnica między pisarzami z prawdziwego zdarzenia i partyjnymi urzędnikami od literatury...

Każdy nowy numer "Prolitfrontu", głównego organu chwyłowistów, wywoływał skwapliwą i podejrzliwą uwagę, w znacznie większym jeszcze stopniu, niż uprzednio "Waplite" czy "Jarmark Literacki". Każda premiera zbliżonego do grupy teatru "Berezil", z niezrównanym Łesiem Kurbasem na czele, ścigała na siebie tę samą niebezpieczną uwagę partii. Z pianą na ustach urzędowi krytycy omawiali sztuki sceniczne Mykoły Kulisza. Podczas gdy jego ostatni i najodważniejszy dramat, "Patetyczną sonatę", wystawiono w Moskwie i Leningradzie, scena ukraińska już go nie zobaczyła. Na niewielkim, zawsze opanowanym Kuliszem skupił się taki ogień przeciwnika, że nie rozumielśmy, jak on to wszystko wytrzymuje. Ale artyści umieli go ocenić. Pamiętam rozmowę, jaką miałem w 1934-tym roku

z pewną wybitną aktorką leningradzką. Mówiła mi o tym, jak wysoko oceniono Kulisza na podstawie samej tylko "Patetycznej sonaty". Leningradzcy aktorzy zostali zachwyceni i oczarowani, odkrywając głębokiego artystę w skromnym, niepozornym Kuliszem.

Dokoła wybitniejszych utworów zrywała się burza. Już i przedtem oficjalna krytyka z WUSPP-u dosłownie szczuła na "Miasto" Pidmohylnego, "Śmierć" Antonenko-Dawydowycza i "Pracownicze siły" Iwczenki, nie mówiąc już o "Waldsznepach" Chwyłowego.

Obecnie pod ostrzał dostawał się każdy nowy numer "Prolitfrontu". Przez cały rok krytyka nie mogła się uspokoić po ukazaniu się "Czterech szabel" Janowskiego. Od pisarzy żądano natychmiastowego przedstawienia "osiągnięć" kolektywizacji. Atak szedł przeciw futurystom i Mykole Bażanowi.

Ale również nie zostawiono w spokoju komunisty Sosiury. Impulsywny i niezrównoważony, coraz to zaskakiwał wszystkich niespodziankami i naiwną bezpośredniością. W poemacie "Dwa Wołod'ky" (1930) Sosiura oświadczył, że współżyje w nim "komunista i czerwony faszysta", za co spotkała go długotrwała nagonka. W kilka miesięcy później Sosiura wydał sensacyjny tomik "Serce", w którym oświadczył, że urzędowi krytycy z WUSPP-u, jak Kowałenko i Koriak, szczują go dlatego, że:

*...nie z duszą niewolniczą
do Edenu komuny wędruje;
że i ból mu i radość podnieta
zawsze były przez życie, i przeto,
że się nie był urodził chołujem.*

Jak na górnika z pochodzenia, czerwonoarmiejca, komunistę i członka popieranej oficjalnie grupy WUSPP, było to więcej, niż zawiele. Urzędowa "opieka" doprowadziła go na początku trzydziestych lat do nerwowej choroby. Podobnie, jak w skonfiskowanym zbiorze "Serce", Sosiura ze łzami w oczach mówił do znajomych o niezrozumieniu poetów przez współczesnych, o losie Byrona, Szewczenki, Franki...

Dopiero po kilku miesiącach leczenia Sosiura wyzdrowiał i ostatecznie poszedł tą smutną drogą, która zaprowadziła go do zeszlatorocznego jubileuszu, hucznie świętowanego w Kijowie.

WUSPP stawał się coraz aktywniejszy, usiłując w ten sposób usprawiedliwić zaufanie, jakim darzyła go partia. Zacieśniał się jego kontakt z moskiewską centralą WOAPP (Wszeczniżniżkowe Zjednoczenie Organizacyj Pisarzy Proletariackich). Z ukraińskich grup literackich należała do WOAPP jeszcze jedynie organizacja komsomolska, "Mołodniak", z której wyszedł później urzędowy dramaturg, Kornijczuk. Organizacje, które nie chciały przystąpić do WOAPP, podejrzewano o zamaskowany

nacjonalizm. Same o wyraźnym charakterze proletariackie, organizacje te zdawały sobie jednak sprawę, że przyjaźń z moskiewskimi pisarzami to sprawa bardzo wątpliwa. W lecie 1930 roku kierownicy WUSPP, powracając z plenum WOAPP, przywieźli ze sobą kolejny epigramat oficjalnego wierszopisa, "małorosa" Demjana Biednego. Stanowiła ona wymowną ilustrację do właśnie ogłoszonego przez Stalina programu tworzenia kultury "o narodowej formie i socjalistycznej treści":

*Raz usłyszałem ukraińską
mowę i wam otwarcie wyznam,
że serce wstrętem wypełniła
ta językowa pstrokaczna.*

Nawet tak ortodoksyjnie-proletariacki krytyk, jak W. Koriak, krzywo uśmiechał się, opowiadając nowinę o "występie" Demjana Biednego.

Żelazny pierścień dokoła ukraińskiej literatury zaczynał zwężać się. Literatura ta za wszelką cenę musiała "zinternacjonalizować się". WUSPP otrzymał rozkaz przygotowania się do przyjęcia drogich gości: Drugiego Międzynarodowego Kongresu Rewolucyjnych Pisarzy.

W listopadzie 1930-go roku, w przeddzień "październikowych świąt", teatr "Berezil" stał się świadkiem uroczystego otwarcia owego Kongresu. Białym płomieniem wybuchał magnez, było co niemiara przemówień i powitań. Oficjalnie witał Kongres prezes Radnarkomu Ukrainy, W. Czubar, którego wkrótce potem wykończono.

Odpowiadał w imieniu gości Bruno Jasiński, wygłaszając przemówienie w języku rosyjskim. Na Kongresie był on bohaterem dnia i najświetszą ozdobą. Najwidoczniej, jeszcze się nie spodziewał, że po tak szybkim wzniesieniu się na proletariacki Olimp, spadnie z niego jeszcze szybciej, oskarżony o szpiegostwo.

Oficjalne wydawnictwa reklamowały gorliwie jego powieść "Palę Paryż", która ukazała się w kilku językach i uznana została za jedną z pereł proletariackiej literatury. Wciąż jednak nie udawało się sprecyzować definicji tej ostatniej. Ledwie wydrukowano artykuł, w którym podnoszono "na tarczy" nowego sojusznika, a już trzeba było wycofywać się; sojusznik okazywał się niepewny; skoczywszy w burżuazyjny owies, trafił proletariacką aureolę, i trzeba było obrzucać go błotem. Jak wiadomo, sprawcą jednego z największych rozczarowań stał się na krótko przedtem Panait Istrati. Wyrzucony z Paryża, Bruno Jasiński reprezentował jednocześnie polską i francuską literaturę "proletariacką". Jednakże André Barbusse, zawsze ciepło przyjmowany, nie przyjechał ze względu na cho-

robę, zaś delikatny Louis Aragon, który przybył w towarzystwie wielce ekstrawaganckiej pani, był bardzo daleki od ideału stu-procentowego proletariusza.

Poczynając od drugiego dnia, posiedzenia odbywały się w Gmachu literatury imienia Błakytnego. Dostać się do środka można było jedynie za przepustką. Dwa razy na dzień przed gmach, spowity listopadowym mrokiem, podjeżdżał, wypełniony gośćmi, autobus "Inturystu". Delegaci na Kongres mieszkali w hotelu "Inturystu", korzystając ze specjalnych za rządzeń, które nie dawały im odczuć kryzysu żywnościowego, jaki w konsekwencji "industrializacji i kolektywizacji" spadł nagle na ośrodek najbogatszego w zboże kraju świata. W klubie mrowiło się od tłumaczy i stenotypistów, przysyłanych z Moskwy przez Wykonawczy Komitet Kominternu i specjalnie trenowanych dla wszechstronnego "obsłużenia" zagranicznych gości.

Na zewnątrz główny ton nadawali przewodniczący zebrania, ogłaszający porządek dzienny w kilku językach: okrągłutki, ambitny sekretarz WUSPP, Iwan Mykytenko, który zleciał z Olimpu bodajże w tym samym czasie, co Bruno Jasiński; Johannes Becher, spokojny i zadowolony ze siebie, zawsze w wojskowym uniformie, dopiero uczący się swej dzisiejszej roli; Łysawy, starannie ubrany Bruno Jasiński, i któryś z węgierskich emigrantów, najczęściej beznadziejnie ponury Bela Illesz, autor rozreklamowanej książki "Cisa w płomieniach", albo kędzierzawy Anatol Gidas. Czasem rolę tę wypełniał przesadkowi, wesoły blondyn w mundurze dowódcy dywizji, Mate Zalka. Były oficer węgierskiej kawalerii, dostał się do obozu jeńców na Syberii i, porwany przez mętny potok bolszewickiej rewolucji, bił się jako dowódca czerwonego oddziału na koczakowskim froncie, wynagrodzony orderami i rangą, odpowiadającą generalskiej. W latach NEP-u wydał kilka opowiadań o wątpliwej wartości literackiej i został uznany oficjalnie za "jedną z gwiazd" proletariackiej literatury, którą starano się stworzyć na gwałt. Ruchliwy Zalka niezmiennie brał udział we wszystkich kongresach i zjazdach, stając się popularną postacią wśród pisarzy "proletariackich". Następne lata gwałtownych "czystek" mało sprzyjały jego działalności. Po wydaniu bardzo prymitywnej powieści, "Wieś za mgłą", poświęconej kolektywizacji na Zachodnim Sybirze, pisał i wydawał bardzo niewiele. Podczas wojny domowej w Hiszpanii Mate Zalka zginął od zabłąkanej kuli, gdy jechał samochodem do swej "międzynarodowej brygady"; ówczesnie występował pod nazwiskiem generała Lukacza.

W Klubie Pisarzy panował duży ruch. Wymusztrowane w Kominternie stenotypistki żwawo hałasowały na maszynach do pisania, biegli fotografowie, wciąż wybuchał zapalony magnez. Ale było nudnie i nieciekawie. Powszechną uwagę przyciągnęły jedynie dwa długie przemówienia: ludowego komisa-

rza oświaty, Mykoły Skrypnyka, i moskowicza, Leopolda Auerbacha. Inni ograniczali się do krótkich szablonowych oświadczeń, albo naiwnych zachwyty, które wywoływały dobrze ukryte kpiny. Z ironią przyglądali się urzędowej galówce ukraińscy pisarze, którzy niekiedy zaglądali do swego klubu. Ci dobrze znali kulisy tej uroczystości.

Wśród pstrokacizny uczestników wyróżniali się: żyłasty, ostry sangwinik, Ludwig Renn, w swoim uniformie "rotfron-towca"; infantylny Franz Weiskopf, naiwny zachwycony wspa-niałością "potemkinowskich wsi"; śniady amerykańin, Maik Gold, redaktor komunistycznego "New Masses". Rzuciła się w oczy elegancka sylwetka Ernsta Glaesera, który, jak się wy-dawało, przyglądał się wszystkiemu ze sceptyzmem, nie szu-kając kontaktu z obecnymi; jego książki wychodziły właśnie wtedy po ukraińsku, w przekładach Jurija Janowskiego. Wi-dać było od pierwszego spojrzenia, że Glaeser znalazł się "w nieswoim sosie". Na podstawie powierzchownej obserwacji łatwo było dojść do wniosku, że obecność paru prawdzi-wych pisarzy zachodnich, była zwykłym nieporozumieniem. Główną masę zjazdowiczów stanowili ludzie, których stosu-nek do literatury był bardziej niż wątpliwy: komunistyczni funkcjonariusze z niemieckiej "Linkskurve", zupełnie już oswojeni ze środowiskiem, mocno zagadkowe postacie komin-ternowskich utrzymanków, jak węgierska grupa, jak zna-ny już z moskiewskiej "Gazety Literackiej", pochmurny Włoch Germanetto, jak "przedstawiciel chińskiej rewolucyjnej lite-ratury", student z Moskwy, Emi-Siao, jak wreszcie Bułgar Bokałow. Kiedyś zaczęłam go na osobności, zapytując o buł-garskie sprawy kulturalne. Bokałow uchylił się od odpowiedzi, oświadczaając mi bez ogródek, że już od wielu lat mieszka w Moskwie.

Podczas któregoś z nudnych porannych posiedzeń zapowie-dziano w trzech językach, co następuje: "Głos ma przedsta-wiciel brazylijskich pisarzy rewolucyjnych, towarzysz Salva-dor Borges; będzie mówił po portugalsku!"

Na trybunie ukazał się dobrze ubrany brunecik o wielkich smutnych oczach. Spiesząc się, odczytał krótkie przemówienie, złożone z samych ogólników. Kominternowska tłumaczka z farbowanymi włosami i wielkimi okularami przełożyła prze-mówienie. Dali brawo, jak należy. Nie wiem czemu, zapamięta-łam go; widocznie, sprawiła to Brazylia i portugalski język. Trzy miesiące później, idąc Sumską ulicą w mroźny lutowy dzień, zauważyłem znajomą postać pisarza. Brazylijczyk siedł z pośpiechem, cały siny z zimna. Wyglądał dość mizernie i miał na sobie skórzaną kurtkę, która stała się dla wszystkich, prócz szoferów, pełnym anachronizmem. Na drugi dzień zobaczyłem znowu zmarzniętego Brazylijczyka w gmachu Państwowego Wydawnictwa. "Borges został tu po kongresie?" — zapytałam przypadkowego rozmówcę, zdolnego żydowskiego

pisarza. "At, nieszczęście z tym Borgesem! — odparł tamten. — Muszę przekładać jego niedołęzną pisaninę dla tygodnicz-ka MOPR-u". "A dlaczego właśnie wy? — "Przecież on pi-sze i to kiepsko, wyłącznie po żydowski. Urodził się w Ber-dyczowie i przez krótki czas mieszkał w Brazylii. Teraz już wiecie..." — mój rozmówca po kpiarsku błysnął rozumnymi oczami spod okularów.

W takim to towarzystwie znaleźli się na Kongresie 1930-go roku Louis Aragon i Ludwig Renn.

Jak zwykle, doskonale czuli się moskiewscy pisarze "prole-tariacy" (inne ośrodki na Kongresie reprezentowane nie by-ły), jak A. Fadiejew, Bezymienskij, Serafimowicz, Panfiorow, Czumandrin i inni.

Ale prawdziwym gospodarzem był karykaturalnie mały, cał-kowicie łysy, ruchliwy i pewny siebie, Leopold Auerbach, ów-czesny "wódz" skrajnie proletariackiej grupy RAPP, który ani się spodziewał, że wkrótce utraci cały swój wpływ. Jego trzy-godzinne przemówienie, wygłoszone w tempie karabinu ma-szynowego, dawało "nastawienia" proletariackiej literaturze.

Inni proletariacy pisarze, jak również krytykowani prze-ciwnicy przysłuchiwali się uważnie tym ostrym wypadom prze-ciw zajmującym inne stanowisko, groźbom pod adresem "bur-żuazyjnego nacjonalizmu" i naukom wygłaszanym przez przy-wódcę Międzynarodowego Biura Rewolucyjnej Literatury. Ci o b c y stali na balkonie wśród publiczności, spokojnie słu-chając aluzji i bezpośrednich oskarżeń. To właśnie do walki z nimi był zwołany Kongres Charkowski. Tymi o b c y m i na "Kongresie Rewolucyjnej Literatury" w stolicy Sowieckiej Ukrainy byli najwybitniejsi ukraińscy pisarze swego pokole-nia...

M. SŁOBOŻANIN.

P O L S K A
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**, **WIADOMOŚCI** i **ORLA BIAŁEGO**.

Moralność w teatrze

Sprawa moralności w teatrze jest niemal tak dawna jak sam teatr — to wolno uznać za pewnik. Ale to może nie złudzenie, że ma ona również sens żywy, aktualny, dzisiejszy. Tak się w tej sprawie i odsłania się szyfrowanym znakiem jedno z najistotniejszych, być może węzłowych zagadnień naszego czasu.

Tak było zawsze, że poprzez teatr zdradzały się ukryte procesy duszy zbiorowej. Był on zawsze i jest jedną ze sztuk najmniej "czystych" — jest jakby uwiązany do ziemi i zamulony ziemią. Można by go nazwać liryką zbiorowości, dochodzą w nim bowiem do głosu najbardziej tajemniczo i nieobliczalnie, najbardziej bezpośrednio, nacocznie ciemne odruchy podświadomości społecznej.

Teatr jest jedną ze sztuk najbardziej czułych na świat i rzeczywistość, na wszystko co ludzkie i żywe. Wśród wszystkich innych jest to sztuka niejako najbardziej jawna i naga. Każda inna przekłada, tłumaczy treści ludzkie na jakieś odpowiedniki pozaludzkie: na barwy, kształty, dźwięki. Teatr jeden, i tylko, on wciela te treści ludzkie — w żywego człowieka. Jego istotą jest inkarnacja, wcielenie, uciłowienie. Ta przejmująca sprawa nie odbywa się w cztery oczy, od duszy do duszy, jak np. przy czytaniu powieści. Tam zjawy stworzone przez pisarza przechodzą z kart książki po wąskiej ścieżce druku w kraj naszej wyobraźni, aby w niej żyć i umierać. W teatrze wszystko jest nie tylko dotykalne, ale publiczne. Jest przeżyciem jawnym, społecznym i zbiorowym. Żywi ludzie jawią się przed żywymi ludźmi. Życie oczami w oczy staje przed życiem.

Ta odrębność, jedyność teatru tłumaczy, dlaczego zagadnienie moralności zbudziło się znowu od światła kinkietów. Ale cokolwiek by się myślało o jej aktualności trzeba stwierdzić, że jest to sprawa niezmiernie złożona i trudna. Aby ją podjąć z pełnym skutkiem, trzeba by się wprzód porozumieć co do pojęcia moralności i co do pojęcia teatru.

Teoria moralności czyli etyka jest nauką olbrzymią, w której się ścierają rozmaite, często skrajne stanowiska. A i wyobrażenie o teatrze nie jest bynajmniej zupełnie jasne, jeśli nawet w publicystyce katolickiej na emigracji, spotyka się pogląd, że teatr jest niczym więcej, niż udaniem dla udania, grą bezinteresowną, zabawą. Gra, zabawa nie jest w tym zastosowaniu pojęciem jednoznacznym: u Platona, Schillera, Huizingi ma ono sens metafizyczny, u Spencera — czysto fizjologiczny. Zacieśnienie teatru do zabawy jest na pewno ubożące i nie publiczności katolickiemu należało by je wytykać. Teatr naszej kultury raz narodził się pod promiennym niebem Grecji, u stóp ołtarza, drugi raz — w cieniu romańskiego kościoła, jako część i dopełnienie liturgii. Pierwsze jego słowa były słowami anioła, zwróconymi do trzech Marii: "Quem queritis in sepulchro?" (Kogo szukacie w grobie).

Aby rzecz uprościć, uwolnić wywód od wyjaśnień wstępnych i zagadnień spornych, podjęta tu będzie próba oświetlenia sprawy z jednej tylko strony, ale może istotnej — ze strony pisarza.

Z tego punktu widzenia sprawa moralności w teatrze sprowadza się do sprawy dydaktyzmu, do odpowiedzi na pytanie: czy teatr uczy i winien uczyć, czy jest tylko *passé-temps*, zabiciem czasu, przyjemnością, "objectified pleasure", jak to określił Santayana, czy teatr jest celem samym w sobie, niczemu i nikomu nie służy, czy też jest instrumentem, środkiem do czegoś, czy teatr jest w życiu, czy — poza nim i ponad nim?

Rozprawa na ten temat zaczyna się u zarania kultury europejskiej i toczy się do dzisiaj. Już Plato chciał wypędzić Homera ze swojej idealnej republiki, ponieważ płaczący Achilles, bohater-mazgaj, nie wydawał mu się wzorem godnym naśladowania. Wokół nas często słyszymy, że sztuka, w szczególności teatr, jest "oreżem w walce klasowej", "instrumentem wychowania mas" itp.

Ta dwoistość jest widoczna ciągle. Pogromca Homera, Plato dopuszcza w marzonym przez siebie państwie widowisko łączące poezję, muzykę i taniec ku radości, odprężeniu, zabawie — "paidia". Ale "paidia" jest jednocześnie w skutku ostatecznym "paideia" czyli wychowywaniem; harmonia zawarta w dziele sztuki, czarodziejstwo jego rytmów kształtują, urabiają duszę człowieka. Genialny uczeń Platona, Arystoteles stał już na czysto estetycznym stanowisku, gdy mówił, że postaci tragedii to nie są wzory do naśladowania, ludzie doskonali, ale że są utkami ze słów, na obraz i podobieństwo ludzi żywych.

Molier w "Krytyce Szkoły Żon" (1663) odrzucił wszystkie skrupowania, uznał tylko jeden kategoriyczny obowiązek: podobania się publiczności. I aby upewnić się czy ten obowiązek dobrze spełnia, przed pokazaniem swoich utworów królowi "słońcu", paniom i panom najświetniejszego dworu w Europie, podobno sprawdzał wprzód ich skutek — na pasztecniku. Ale ledwie cztery lata później ten sam Molier będzie w przedmowie do "Świątoszka" (1667) bronił swego prawa do krytyki społecznej w komedii, prawa do roli moralisty i nauczyciela, nie wesółka, który chce tylko wygodzić jaśniewielmożnej publiczności i zdobyć jej poklask.

W ubiegłym stuleciu to dwoiste napięcie nie zelżało. Przeciwnie nateżyło się jak nigdy dotąd. Edgar Poe chciał uczuciu i cności zamknąć dostęp do poezji, mówił o dydaktyzmie, jako o "kacerstwie". Shelley, autor "Prometeusza rozpiętanego" piętnował dydaktyzm jako "abhorrence" (okropieństwo), ale godził się z Goethem, że wielkie dzieło sztuki wprawdzie niczego nas nie uczy, ale nas przetwarza. Ruskin (zwłaszcza we wczesnym okresie) głosił, że zadaniem sztuki jest pogłębiać uczucia religijne, podnosić stan moralny i niemal jednocześnie powstała słynna, do dziś dnia pokutująca, teoria "l'art pour l'art",

“art for art's sake”, sztuki dla sztuki, wolnej od wszystkiego, tworzonej poza wszystkim co ludzkie. Choć to brzmi paradoksalnie, wydaje się, że na powstanie tego zabobonu wpłynął przykład nauki, z której w tym czasie usunięto sądy wartościujące; sztuka jakby nie chciała zostać w tyle, uznała, że i ją obowiązuje ten heroiczny minimalizm.

Sprzeczność zaznaczona w ubiegłym stuleciu narzuca się ostro i gwałtownie także w naszej epoce. Z jednej strony obserwujemy agresywne zakusy, aby teatr, także w Polsce, odmienić w “propagitkę”, z drugiej brzmia zapóźnione głosy broniące więzy z kości słoniowej.

Właśnie ta sprzeczność tak dawna, głęboka i tak w tej chwili zaogniona leży u podstawy zagadnienia. Czy teatr jest rozrywką i tylko rozrywką i za każdą cenę i każdym sposobem, czy też chodzi w nim jeszcze o coś innego, czy jest absolutnie wolny, czy też jest odpowiedzialny za skutek swego oddziaływania na widza?

W tym pytaniu sprawa przybiera postać niespodziewaną: konfliktu między wolnością a odpowiedzialnością pisarza.

Jest to konflikt rozległy, wykraczający poza granice sceny. Odziedziczyliśmy go po przeszłym wieku. W “Hernanim” Victora Hugo, którego premiera była prawdziwą, rzeczywistą bitwą, wiek ten uwolnił dramat od krepujących więzów. I tak samo pojmował swoje zadanie wobec człowieka. Uderzał we wszystko, co kępowało, co ograniczało jego wolność. Głosił, że poza nią nic nie jest ważne. Pękły od tego uderzenia przestarzałe reguły estetyczne, ale padły także normy etyczne, trwałe, powszechne wartości życia wewnętrznego, zatraciło się to, co Pascal nazywał porządkiem serca.

Ten dziewiętnastowieczny pęd wyzwolicielski prowadził w wielu dziedzinach do skutków nieprzewidzianych i paradoksalnych. Człowiek wyzwolony politycznie, politycznie wolny, nie przestał czuć ucisku niewoli gospodarczej i kulturalnej. Sztuka zwolniona ze wszystkich zobowiązań, wyniesiona ponad życie, znalazła się — poza życiem. Pisarz, artysta, także artysta teatru, stał się dziwotworem społecznym, pokłóconym z rzeczywistością, plującym wzgardliwie na “mydlarzy”, zatopionym w spleenie i absyncie.

Dziś coraz jaśniej zaznacza się odwrót od klęskowych zdobyczy XIX wieku. Coraz jaśniej widzimy, że wolność to nie jest uwalnianie się od obowiązków, że wolność jest to dobrowolne, świadome przyjmowanie odpowiedzialności.

Domierzając to rozeznanie do naszego tematu można powiedzieć, że teatr nie ma sensu artystycznego bez swobody zewnętrznej pisarza, nie ma sensu społecznego bez jego wewnętrznej odpowiedzialności.

Nie jest to bynajmniej pogląd teoretyczny, oderwany, idealny. Jaskrawy przykład, potwierdzający go stanowi zakonnica saksońska z X wieku imieniem Hroswitha (Roswitha), jedna z nie-

licznych scenopisarek, świętobliwa antenanka siedemnastowiecznej Angielki Aphry Behn i naszej Gabrieli Zapolskiej. W benedyktyńskim klasztorze w Gandersheim, wśród wielu innych rzeczy, napisała ona po łacinie sześć komedii, wzorowanych na łacińskim komediopisarzu Terencjuszu. Wszystkie są apoteozą dziewictwa, ale aż w dwu z nich “Abraham” i “Paphnutius” Hroswitha nie zawahała się pokazać na scenie domu publicznego. Więcej: wprowadziła doń swoich bohaterów, co prawda w zbożnym celu. Eremita Pafnucy wchodzi “sub specie amatoris” (pod postacią kochanka) do domu kurtyzany Thais, która “impudens femina meretricio modo vitam instituit” (bezwstydną niewiastą pokierowała swoim życiem na modłę nierządnicę) — aby ją nawrócić. Po to samo Abraham zamyka się w osobnym pokoju z Marią i nim osiągnie swój cel, słyszy od niej obietnicę: “non solum dulcia oscula libabo sed etiam crebris senile collum amplexibus mulcebo” (nie tylko okryję cię pocałunkami, ale będę pieściła starczą szyję szczodrymi uściskami).

Nie wiemy co prawda jakie wrażenie te utwory Hroswithy wywarły na pobożnym audytorium, ani czy w ogóle były grane (“Pafnuceo” wystawiono w Londynie w r. 1914). Ale nie wiemy także o tym, aby zacząć mniszkę z Gandersheim potępiono za ten pomysł, choć literatura patrystyczna zaczynając od traktatu Tertuliana “De spectaculis” z II wieku, czy Aeliusa Donata “De comoedia et tragoedia” z IV wieku, występowała gwałtownie przeciw rozwiązłości schyłkowego dramatu antycznego. Nie potępiono jej, bo nikt nie mógł wątpić w odpowiedzialność moralną Hroswithy.

Zgadywała ona, że teatr istnieje nie po to, aby ukrywać, ale aby odsłaniać życie, tworzyć ludzi na nasze podobieństwo, objawiać życie prawdziwe i tworzyć żywych ludzi, ale jest także po to, by życie i ludzi — sądzić. To, co benedyktynka gandersheimska tylko przeczuwała instynktem, to genialnie, naocznie pokazał Szekspir w “Hamlecie” — przez teatr w teatrze. Królowski przyjuje w Elsinorze wędrownych igrców, mówi zadziwiająco mądre rzeczy o aktorstwie i każe im odegrać w obecności dworu sztukę swego pomysłu. Jest ona pokazaniem zbrodni króla, który zabił Hamletowego ojca, jest zdemaskowaniem zbrodniarza i sądem nad nim. Schiller rozwinął teoretycznie pojęcie teatru-sądu w rozprawie “Das Theater als moralische Anstalt” (jej przekład ukazał się w r. 1817 na łamach “Pamiętnika Lwowskiego” pt. “Teatr uważany jako moralna ustanowa” i wpłynął na kształtowanie się wyobrażeń Fredry o scenopisarstwie). Wyspiański w “Wyzwoleniu” rozszerzył pomysł Szekspira do gigantycznej skali, odmienił cały teatr w “pułapkę na myszy”, pokazał widzom ówczesnym i nam i wszystkim pokoleniom Polaków — Polskę ich nie dość wielkiego, nie dość godnego istnienia.

Nawet jeśli to nie występuje tak “widomie jak w “Hamlecie”,

tak patetycznie jak w "Wyzwoleniu" teatr jest, winien być, nie tylko obrazem życia, ale sądem o życiu, sądem nad życiem. W tym sądzie swobodnie obrany, prawdopodobnie pokazany obraz świata przymierza się do określonych miar, norm, wartości.

To zapewne chciał wyrazić Arystoteles, gdy mówił o "litości i grozie" wzbudzonej przez widowisko teatralne. Do tego odnosi się jeden z najbardziej nadużytych i najsprzeczniej wyjaśnianych terminów jego poetyki, mianowicie "katharsis", czyli oczyszczenie. Jakkolwiek sporny jest ten termin i wyjaśniany na wiele sposobów, oznacza on coś bardzo istotnego dla teatru: instynktowny, nie rozumowany sąd nad światem, a także wyzwolenie nas od drzemających w duszy, potencjalnych pasji, możliwości, które nas uwierają i które nam zagrażają. Można by obrazowo powiedzieć, że jest to rozbieranie niewybuchłych ładunków dynamitu, mogących rozsądzić nasze życie, naruszyć naszą wewnętrzną spójność.

W świetle tych uwag daremnie by było mówić o teatrze (jak i o sztuce w ogóle), że jest celem samym w sobie. Wielki Giotto pierwszy wprowadził góry do malarstwa włoskiego, objawił ich urodę i ich wymowę. Wilde stworzył z tego teorię, mówiącą, że sztuka uczy nas patrzeć na świat, odkrywa go i objawia. Teatr, przez swoją nagość, jawność, przez ludzi scenicznych, którzy nie mają wobec nas tajemnic, wydają się cali obcym oczom — przenika nasze własne życie i przeistacza je, dodaje mu wartości, czyni je bardziej harmonijnym, scala je w coraz pełniejszą jedność.

Dzieje się to za cenę objawień, płynących z wolności sztuki, ze swobody w odsłanianiu zakrytych, nieznanych, nieprzeczuwanych stron życia. Może to być skuteczne tylko pod warunkiem odpowiedzialności rewelatora, tzn. pisarza. Choć pozornie nieobecny, choć bezstronny, ukryty za ludźmi stworzonymi na kształt nas samych, poza wydarzeniami, które są lub mogą być naszym życiem — to on rozkłada światła i cienie, nadaje rytm, tętno ludziom i faktom. Sądzi swoich ludzi i świat przez siebie stworzony. W ten sposób wzbogaca widza i wyzwala go, porządkuje jego wnętrze, kształtuje jego postawy i impulsy.

Najogólniej ujmując sprawę moralności w teatrze można powiedzieć: nie ma tu innej miary jak tylko — wolny i odpowiedzialny pisarz, wolny i odpowiedzialny artysta.

Ta formuła przystaje dokładnie do kręgu, który jest naszym życiem i naszą dolą. Wolność jest dla nas wszystkich sensem, celem, całą treścią istnienia. Odpowiedzialność związana z wolnością jest dla nas normą, prawem, zakonem. Bo tylko ten, kto jest wolny może być odpowiedzialny. Tylko ten, kto dobrowolnie bierze ciężar odpowiedzialności jest naprawdę wolny.

Tymon TERLECKI.

Arkusze poetyckie

Pieśń o Krzysztofie

*Najwyższą płacąc cenę naszym strasznym latom,
niewyzwolony z upadków i walk,
oczekiwałem cię, górna krucjata,
jak chętna struna, dłońmi twych wichrów poddany,
aż otworzyła mi się jasna dal
i wzrok na bezgraniczne niesie oceany.*

*Jak zawsze dotąd wysilone gardła
wołają w mroku imiona fałszywe.
Nie pójdę z nimi. Ta ziemia umarta,
ten ląd już dawno w krwi i groźbie zastygł.
A wojownicy są mi, jak pod cmentarnym żniwem
uginające się słabe niewiasty.*

*Zaprawdę, trza nam innym bitewnym okazjom
powierzać swe ramiona i wolne oręża.
Wichr, który huczy nad Europą i Azją,
oto wypływam z niepodległych płuc;
niech tysiąc ludów wstanie, niech drugi tysiąc poleże,
ani jednego słowa ich śmierć nie rozstrzygnie,
a wszystko jedno kto kogo ma zmóc,
jeśli walczący są w śnie i malignie.*

*Przeciw obydwu te strofy i przeciw
zwycięzcom, równie jak i pokonanym!
Ponad urwiskiem skłębionych stuleci
stojąc, sieczeni wichrem uwodzących łal,
widzimy w chmurach, rwanych jak łachmany,
przebłykający Nowy świat.*

I gdy tutaj popiołem sypią się ku stopom
 miasta i lądy, gdy życie przemija
 w ciągłej wędrówce ku krwawym okopom,
 a śmierć i mór i zguba przechodzą naprzemian,
 tylko nam admirałska *Santa Maria*
 z tamtej strony odkrzykuje się:
 — Ziemia!

Głosy wołają w mroku

Któryś bez lęku Przenajświętsze Dziecię
 przeniósł przez nurty mętne i wezbrane
 i, twarde brzeg uchwyciwszy kolanem,
 poznał ów ciężar, co barki ci gniecie,
 spójrz: oto w nocy nad czarnym Jordanem
 stoimy, wokół straszliwe stulecie
 i lata, dzikim popłochem zdyszane,
 gniewny huragan rozmiata, jak śmiecie.

Nie ma maluczkich, ni młodych, ni starszych,
 rozsądny zwątpił a mocny się znużył...
 Bezsilne głowy na dłoniach oparłszy,
 ważymy głos nasz i drogę nietatwą,
 i znowu wzrok wyteżamy wśród burzy
 w wielkiej tęsknocie za wiosłem i tratwą.

Nad ziemią smutku, ponad też dolinę
 nieuleczonym z niespełnionych marzeń
 objawiające się ogniste twarze
 błyskają oczom na chwilę i giną,
 aż znowu chmura błyskawicą siną
 rozerwie niebo i w głębi ukaże
 otchłań bez granic; głuźącym rozgwarze
 wieków i zdarzeń, bratobójczym czynom
 podani, trwamy na cmentarnych darniach
 z głowami w prochu...

A jednak w zamętu
 nocnego głosach, w huku elementów
 słyszemy krok twój, gdy nurty rozgarnia
 i z mroku świecisz nam, jak znad okrętu
 na znak ratunku wzniesiona latarnia.

W silnej zawieji, w saraceńskich lasach,
 na pół ogluchli od szaleńczych krzyków,
 już się twym sznurtem gotowi przepasać
 i marynarskich takomii zwyczajów:
 — Święty Krzysztofie, Genueńczyku,
 zabierz nas z sobą do Raju!

Sen nocy wołyńskiej

(FRAGMENTY)

I.

Ciemna gęstwa pod oknem w popłochu się targa,
 jakby czyjeś srebrzyste szarpały nią ręce,
 a potem kładły się lekko na wargach,
 lub na serduszku ptaszecem.

To gałązka lewkonii gardziotko mu trąca
 i sama w pieśni słowiczej rozkwita;
 razem patrzą w zamglone źrenice miesiąca,
 trwożny oddech wstrzymując: Czy świta?

Nie, to jeszcze nie jutrznia, to tylko w pożodze
 słów niewyznaczonych śpiew rośnie ku niebu,
 sen nocy wołyńskiej stania się na drodze
 i rzewnie prosi się: Nie budź!

A więc noc i słowicy, i kwiaty, już zgodni,
 że pieśń miłości do świtu się dogra...
 I cierpką rosą poi się rozchodnik
 i mocniej pachnie winograd.

Nie prosiłaś pomocy, nie wołałaś: Poratuj! —
 nie uciekałaś od pieśni i wiatru.
 Ciałych siebie nocnemu wydałiśmy światu,
 teraz przyszedł do weszty nas zatruć.

Włosu chmielem obsypie, usta rosą nadrze,
 żebyś była srebrzysta, smagła i słowicza,
 cała z tęsknot i z przegięć i z sennych zapatrzeń,
 bo to nocy czerwcowej jest zwyczaj.

Potem rzuci bezbronnym i tanecznym krokiem
 w mrok odejdzie, nowych czarów nasupła,
 mgłą powieje od rzeki, światła sówiookie
 pozapala w zaklętych dziuplach.

Jakieś głosy szydercze odezwą się w rojstach,
 biedne serduszko słowikowi pęknie,
 jakby z żalu, że o świetle już nam tylko pozostał
 nikły sen o utraconym pięknie.

II.

W noc czerwcową zaczął srebrnieć ciemny staw,
zgrzebny len przetykać sінym jedwabiem,
aż wywiktał się księżyc spośród traw,
z czerwonego prześwieślał się i płowiał,

i popłynął po zacichłym stawie
przez zakłętą rokiciny i sitowia.

Wybiegala pod księżyc wśród paproci i ziół
smagła dziewczka, wotyńska czarownicza.
Wychylała się, wpatrywała się, czy pochwyci ją wpót,
czy przybliży srebrne usta do liczka;
zdejmowała spódnice, grubo tkaną,
i koszulę, czerwono haftowaną,
przyzywała go: — Księżycu, Księżycu! —
ku swym biodrom i śniadym kolanom.

Odstoniła złoty mosiądz brzucha,
otworzyła się, jak ciemnej róży pęk.
Musiał księżyc zawrócić i jej czarów ustuchać,
przypaść głową do piersi i rąk;
w usta wsączzył się, jak srebrny płyn,
przegiął chętną na liście ciemnych trzcina,
wplątał dłonie we włosy rozwiązane,
z krzykiem szczęścia wszedł w otwarte biodra...

...A od łąk im niósł mokrym sianem,
nocka szła, świętojańska i modra...

III.

(Z Bohdana Krawciewa)

Odblaskiem wiosny, ognia i Kupaty
płonęły kosy jej i oczy czyste,
i noc wabiła ją swych gwiazd namistem
w mrok, od namiętych głosów oszalały.

Lecz się jej inne, bardziej promieniste,
oblicza w snach dziewczęcych objawiały,
i czarowała, czarowała wiek swój cały
i wciąż warzyła zioła i lubystek.

Aż zjawił się — wojownik niespokojny —,
stratował sad, kalinę ogniem strawił,
pod którą go oczekiwała w goście.

Zetłato lato, odegrzmiaty wojny
i jesień snuje tęskną pieśń żórawi
o młodych dniach na kalinowym moście.

Józef ŁOBODOWSKI.

Milczenie serca

Przerywam pustkę morza spojrzeniem ciężkim od tęsknoty
za skrawkiem dawnego życia, jak smukłym pasem ładu —
we wzroku moim mieszka granatowa dal losu.

Natomiast w drobnej fali mieszka miłość latającej rybki,
która jest śmigła jak pocisk,
która jest srebrna jak morska modlitwa poranna.

Przerywam morski szum milczeniem serca,
w którym ustawicznie bije ojczyzna,
zostawiona boleśnie,
zostawiona źle.

Poprzez rozprysk fal przelatuje tęcza,
bowiem słońce lubi barwić falę skromną —
słońce mieszka w fali — jak we mnie Ojczyzna mieszka —
czuję ją w moim sercu bólem cierpkim i stromym.

Falo jednostajna i daremna
tak mało wiesz o moim sercu,
tak niepotrzebnie ci mówię o sobie,
tak niepotrzebnie ci mówię o mojej Ziemi,
która leży nad morzem zielonym,
gdzie wiatr jest mocny,
gdzie wiatr jest wojną i zwycięstwem.

na Oceanie Atlantyckim, 48 r.

Motyw osobliwy

*Mój ojciec stary i siwy
ma w niebie młyn nad rzeką,
nad rzeką są wikliny,
posypane mąką i śniegiem.*

*Mój ojciec ma czapkę okrągłą,
pod nią oczy, które po ziemi noszę —
tę czapkę zdejmuję przed Bogiem
i prosi Go w siwej mowie:*

*«Mój dobry, mój Niebieski,
Ty wiesz jak ona tęskni,
wybaw ją od tej ziemi,
nieznanej ziemi angielskiej.*

*Niebieski mój i Dobry,
odbierz mi młyn nad rzeką,
a spraw, by jej płacz nocą
nie biegł tu do mnie z daleka». —*

*Mój ojciec stary i siwy
zakłada czapkę okrągłą,
albowiem Bóg milczy
z dłonią wskazującą.*

*Ta dłoń z wiecznego kruszcu
wskazuje świata płomień
i ludzi, którzy wciąż walczą
na rumowiskach domów.*

*Mój płacz tam znika,
mój płacz tam niknie,
w płaczu mi schodzą
maje i lipce.*

I obraca się dalej młyn nad niebieską rzeką —

*i kiedy pada śnieg — myślę o tym młynie —
i kiedy pada noc szara i biedna,
to wiem, że ojciec siwy usnął w wiklinie.*

Józefa RADZYMIŃSKA.

Sprawy krajowe

Droga krzyżowa

21 grudnia r. ub. Stalin, wśród depesz i adresów hołdownicznych, dostał również i taką: «Wraz z niezliczonymi, ze wszystkich stron świata nadchodzącymi życzeniami od oddanych Panu i Pana miłujących, zechce Drogi i Czcigodny Pan przyjąć najbardziej szczere i najserdeczniejsze powinszowania również i od Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, zawsze Panu wdzięcznej za Pańską wyjątkową dbałość o jej potrzeby, jak również powinszowania ode mnie osobiście z okazji tak blisko nas wszystkich obchodzącego Pańskiego siedemdziesięciolecia. Załączamy gorące życzenia wielu, wielu lat zdrowia i szczęścia. My wszyscy modlimy się o to gorąco i szczerze zaświadczamy, że te życzenia idą z głębi naszych najgorętszych uczuć do Pana, prowadzącego Ojczyznę naszą do dobrobytu, szczęścia i sławy...» Podpisano: «Aleksy, Patriarcha Moskiewski i Całej Rusi». Do tego został dołączony adres zredagowany w jeszcze bardziej czolobitnych słowach, a podpisany przez Patriarchę, 5 metropolitów, 21 arcybiskupów i 47 biskupów.

Długa była droga i żmudna praca zanim Politbiuro postawiło Rosyjską Cerkiew Prawosławną na kolana, zanim zamieniło ją w jeszcze jedną postuszną agenturę, pracującą obok Kominformu, INU, ECU, Komitetów Pokoju, Związków Przyjaciół ZSSR i in. niezliczonych ekspozytur bolszewickich dla «dobrobytu, szczęścia i sławy Ojczyzny». Dziś — rzecz można śmiało — Cerkiew Prawosławna wewnątrz Rosji nie istnieje. Mizerna i nieszczęsna namiastka jest już tylko coraz bardziej słabnącą kłapą bezpieczeństwa dla skanalizowania resztek religijnych uczuć i uniesień dogorywającej dawnej Rosji.

Nie jest to etap ostatni tej drogi cierniowej wечно udrezonego przez państwo Prawosławia. Już są liczne oznaki i zapowiedzi, że i ten ostatni okres bolszewickiej tolerancji

religijnej zbliża się ku końcowi. Instrukcje dla agitatorów partyjnych, prasa i literatura sowiecka coraz częściej nawiązują do teorii i praktyki walki z religią. Miejsce dawnego «Związku Bezbożników» zajmuje dziś w tej sprawie «Wszzechzwiązkowe Towarzystwo rozpowszechniania politycznej i naukowej wiedzy». W jednym z ostatnich wydawnictw tego «towarzystwa» czytamy: *«Kraj nasz znajduje się w okresie stopniowego przejścia do komunizmu. W tym okresie znaczenie najważniejsze ma wychowanie komunistyczne mas pracujących, likwidacja przeżytków kapitalizmu w świadomości ludzkiej, a m.in. likwidacja tak barbarzyńskiego przeżytku jakim jest religia. Walka z religijnymi przesądami, naukowo-ateuszowska propaganda stanowią nieoddzielną i niezwykle istotną część wychowania komunistycznego mas narodu sowieckiego»*.

I jeżeli przyjmiamo, że na pewno w hierarchii Cerkwi Prawosławnej jest jeszcze część duchownych głęboko wierzących i pragnących uratować istnienie Cerkwi *za wszelką cenę*, to kto wie czy i wyżej cytowany tragiczny dokument jest nie tylko tworem agentów N.K.W.D., ukostiumowanych w patriarchalne czy arcybiskupie szaty, lecz również próbą jeszcze jednego kompromisu i usiłowaniem przedłużenia mizernej egzystencji. Jeżeli by którykolwiek z polityków chciał poważnie studiować zagadnienie skuteczności polityki oportunistycznej i ugodowości wobec Rosji i bolszewizmu, to powinien przede wszystkim zacząć od studiowania historii Cerkwi Prawosławnej zarówno w okresach mongolskim, moskiewskim i wszechrosyjskim jak i obecnie — w okresie bolszewickim. Wówczas zrozumie iż każdy oportunizm czy kapitulacja może liczyć jako na szczytowe swe osiągnięcie jedynie na możliwość wystosowania takiego właśnie holdowniczego «adresu», na którym nie da się nic zbudować ani nawet utrzymać czegokolwiek z istoty zagadnienia.

Złatwiwszy się ze sprawą Kościoła Wschodniego Moskwa podjęła znacznie dla niej trudniejszą i bardziej skomplikowaną walkę z Watykanem. Można mówić śmiało o «podjęciu», gdyż ta walka, którą stoczono w latach 1919-1941 była zaledwie słabiutką introdukcją. Prawdziwa walka zaczęła się dopiero wtedy gdy Związek Sowiecki wyszedł ze swych przedwojennych granic, będących zarazem granicami moskiewskiego prawosławia. Katolicyzm obok socjalizmu zachodniego stał się głównym celem ideowo-politycznej agresji sowieckiej.

Walka ta poprowadzona została w dwóch płaszczyznach: bezpośredniej agresji w stosunku do Watykanu i światowej organizacji Kościoła Katolickiego i likwidacji katolicyzmu na terenach nowoutworzonego bloku sowieckiego. Sam Watykan został potraktowany jako cel par excellence polityczny, równoznaczny i równorzędny Waszyngtonowi czy Londynowi, jako jeden z filarów «kapitalistycznego otoczenia».

Niszczenie katolicyzmu na terenie «bloku» nie jest sprawą

łatwą. W bloku tym największe znaczenie polityczne, strategiczne i gospodarcze posiadają właśnie kraje katolickie: Polska, Węgry, Czechy i Słowacja. Do zagadnienia przystąpiono z całą ostrożnością, z uwzględnieniem wszystkich doświadczeń w walce z religią na terenach sowieckich, z całym arsenałem metod dyplomatycznych, administracyjnych i policyjnych. Jak każdy wielki proces polityczny nie może być ta walka łatwo oceniana z perspektywy dnia dzisiejszego. Jeszcze niedawno wydawało się że bolszewicy będą zmuszeni w tej sprawie do dłuższego kompromisu i tolerancji. Ostatnie wypadki jednak zarówno w Polsce jak też i w Czechosłowacji każą patrzeć na sprawę bardziej pesymistycznie.

Groza sytuacji wystąpi w całej pełni dopiero wtedy, jeżeli zrobimy, pobieżny bodaj przegląd, ostatnich wydarzeń w Polsce na tym tle.

Wrocławski dziennik «Gazeta Robotnicza» przyniósł w dniu 22 stycznia sensacyjną wiadomość o nadużyciach w miejscowym «Caritasie». Wiadomość rosła i rozszerzała się. W każdym mieście coś wynajdowano. Pisano o niesprawiedliwym rozdziale darów, o protekcjonizmie, nadużyciach finansowych a nawet o popieraniu przez «Caritas» elementów podziemnych. Kampania stawała się powszechna i gwałtowna. Wiadomości prasowe uzupełniane były przez protesty, deklaracje instytucji społecznych a nawet poszczególnych księży.

Być może, że niektóre z tych zarzutów w pewnym stopniu były uzasadnione. «Nie ma na świecie dzieł doskonałych, mogły więc być usterki w pracy «Caritasu» — określił tę sprawę list pasterski Episkopatu.

Już następnego dnia po ogłoszeniu wspomnianego artykułu w «Gazecie Robotniczej» władze reżimowe powołały nowy, przymusowy zarząd «Caritasu». Przewodnictwem powierzono księdzu Antoniemu Lempartemu, byłemu kapelanowi armii Berlinga. Do zarządu między innymi wszedł katolik reżimowy Frankowski i znakomity publicysta katolicki Paweł Jasienica.

Władze kościelne uznały zarówno fakty przeprowadzania rewizji i kontroli w poszczególnych zarządach «Caritasu», jak i mianowanie nowego zarządu, jako bezprawne i niezgodne z obowiązującym prawodawstwem państwowym. Dnia 24 stycznia Kardynał Sapięha, jako przewodniczący «Caritasu» w Polsce, wysłał do Bieruta telegram protestacyjny. Na 30 stycznia zostało zwołane do Krakowa posiedzenie Episkopatu Polskiego.

W wyniku tych narad Episkopat wysłał dwa listy. List protestacyjny do władz reżimowych i list pasterski do duchowieństwa.

W liście protestacyjnym Episkopat prostuje oszczerstwa i kłamstwa, wyjaśnia fakty, odpięra zarzuty. List jest odważny i robi wrażenie całkowitej obiektywności. List pasterski do

duchowieństwa był utrzymany w tonie napomnienia i ostrzeżenia. Tych księży, którzy wzięli udział w kampanii przeciwko «Caritasowi» przywołuje do porządku. Ostrzega przed konsekwencjami, jakie pociągnąć może postępowanie niegodne stanu kapłańskiego i niezgodne z prawem kanonicznym. Episkopat radzi tym księżom, którzy przez swój udział w akcji rządowej wywołali zgorzniecie, aby to zgorzniecie naprawili.

Ale w tym samym czasie gdy Episkopat obradował w Krakowie, do Warszawy zostało zwołane zebranie tak zwanych księży patriotów. Podobno przed tym zebraniem urządzono istne łapanki na księży. Zabierano z domów, porywano od ołtarza. W każdym razie w auli Politechniki Warszawskiej zgromadzono 1213 księży i zakonników. Obrady rozpoczęły się modlitwą, aby nie było wątpliwości, że chodzi o zebranie o charakterze kościelnym. Przemawiali niektórzy księża, przemawiał minister administracji publicznej Wolski, przemawiał Cyrankiewicz. Po zebraniu odbyły się bankiety z udziałem Bieruta.

Ale na to zebranie w Warszawie nie wszyscy księża byli doprowadzeni podstępem lub siłą. Byli również i tacy, którzy zjawili się tam chętnie. Jest to sprawa ludzka, żadna społeczność najbardziej idealna nie jest monolitem. Przyszła trzeba że w wielu wypadkach nie powołanie kapłańskie, lecz właśnie oportunizm decydował o wstępowaniu młodych ludzi do seminariów duchownych. Przed wojną stan duchowny pociągał wielu łatwością awansu społecznego. Wielu spośród księży przeszło przez niemieckie obozy koncentracyjne. Widmo tamtych przeżyć wywołuje w nich odruchy równe instynktowi samoobrony. Obawa znalezienia się z kolei w sowieckim obozie koncentracyjnym czyni ich łatwymi na podszepty propagandy, na pokusy i perswazje. Niektórzy znów byli w czasie wojny «Volksdeutschami». Jak określa Episkopat, «Księża patrioci to są właśnie ci na których stawiała propaganda niemiecka». Ta kategoria oportunistów nie tylko wśród księży jest najłatwiejsza do zdobycia dla imprez reżimowych.

Wszyscy ci księża, uwikłani w błędy własnej przeszłości, często skłócenii z otoczeniem i z własnym sumieniem stają się bezwolnym narzędziem w rękach władz reżimowych. Raz podważone zasady spychają w dół, jak głaz toczący się po pochyłości.

«Car blisko — Bóg daleko» — mówi przysłowie powstałe w czasie poprzedniej niewoli. W obecnej rzeczywistości można by je strawestować na: «Reżim blisko — Watykan daleko». Ten mur nieprzenikniony stojący między Kościołem w Polsce a Watykanem ma też swoje znaczenie. Rzym staje się w świadomości niejednego księdza coraz bardziej abstrakcją. Propaganda reżimowa przeciwko Watykanowi jest w tej walce z Kościołem elementem najłatwiejszym. Izolacja trwa przecież dziesięć lat a Watykan przez ten okres czasu nie umocnił

swej pozycji, lecz ją osłabił. Jest przy tym o sprawach polskich nie zawsze właściwie informowany.

Jeśli o tym wszystkim piszemy to po to, aby tym mocniej podkreślić, że mimo tak różnorodnych przyczyn ilość księży idących na współpracę z marksistami jest znikoma.

Ale wróćmy do faktów. Po ustanowieniu przymusowego zarządu, po zebraniu reżimowym w Warszawie władze kościelne rozwiązały «Caritas», podkreślając w ten sposób, że instytucja o tej samej nazwie działająca pod opieką rządową jest fałszywa. Jednocześnie do wiadomości publicznej podany został fakt, że biskup chełmiński — Kowalski pozbawił probostwa jednego z księży, który przyjął stanowisko przewodniczącego w miejscowym, reżimowym «Caritasie». Podobne kary w stosunku do niektórych księży zastosował biskup gnieźnieński i biskup tarnowski. Ksiądz biskup Kowalski został poddany aresztowi domowemu, przeciwko jego postępowaniu władze reżimowe rozpoczęły dochodzenie. Ataki prasowe starały się wytworzyć wokół całej sprawy atmosferę napięcia i podniecenia. Skończyło się jednak na przeprosinach. Ksiądz biskup Kowalski w liście do Bieruta poprosił o łaskę i o umorzenie dochodzenia. Bierut prośbie tej zadośćuczynił.

Na temat tego listu można snuć różne domysły. Można dopatrywać się oszustwa propagandowego. Ksiądz biskup Kowalski nie może przecież w żaden sposób tej wiadomości sprostować. Można również przyjąć ją w tej formie jak została podana do publicznej wiadomości. To jest również możliwe.

W międzyczasie Episkopat polecił duchowieństwu odczytać z ambon list protestacyjny. W tę sprawę wkroczyła Bezpieka. W większości parafii list nie został odczytany.

16 lutego ksiądz kardynał Sapięha i ksiądz prymas Wyszyński wysłali list bezpośrednio do Bieruta. List ten jest pełen godności i pełen odwagi. Wspominają w nim o toczącej się od dawna wojnie przeciwko Kościołowi, «przerastającej dotychczasowe pojęcia o wojnie przeciwko Bogu». Zarzucają rządowi tchórzostwo w określeniu swego stanowiska, kręctwo w prowadzeniu wzajemnych rozmów i celowe przedłużanie pertraktacji. Piętnują metody za pomocą których reżim szuka sprzymierzeńców wśród duchowieństwa. Na list kardynała Sapięhy i księdza prymasa Wyszyńskiego reżim odpowiedział komunikatem P.A.P.

Na posiedzeniu «sejmu» w połowie marca uchwalona została przez aklamację ustawa o konfiskacie dóbr zakonnych i biskupich oraz o stworzeniu Funduszu Kościelnego. Proboszczom zostawiono ich gospodarstwa, jeśli nie przekraczają 50 lub 100 hektarów. Ta konfiskata dóbr zakonnych i biskupich zamyka etap walki, rozpoczętej sprawą «Caritasu».

Poprzednie fakty walki przeciwko Kościołowi były raczej badaniem terenu i szukaniem metod. Ostatnie wydarzenia były uderzeniem, godzącym w działalność Kościoła i jego podstawy

materialne. Sukces był łatwy, bo dokonany za pomocą przewagi fizycznej. A używanie tego rodzaju środków prowadzić może do rezultatów innych niż zamierzone. Zresztą sam Wołski powiedział, że rząd warszawski chciałby uniknąć błędu podobnego jak z kardynałem Mindszenty i nie chciałby stosować nawet taktyki czechosłowackiej. Taktyka walki z Kościołem jest ostrożna, każdy krok przygotowywany jest z dużą dokładnością, z zastosowaniem zdobytych doświadczeń, z poniesionych porażek. Najtrudniejszą do pokonania przeszkodą w tej walce jest jedność Kościoła. Wszystkie wysiłki reżimu idą w tym kierunku, aby tę jedność naruszyć.

Pierwszym celem uderzenia był Watykan. Chodziło o podważenie zaufania do Rzymu mas wiernych i duchowieństwa, o rozluźnienie więzów i pozostawienie Kościoła w Polsce sam na sam z reżimem. Akcja ta na razie nie osiągnęła celu, ale pozostawiła wyraźne skazy. Potem przysłała kolej na Episkopat. Propaganda mówiła, że wszystkiemu są winni biskupi, którzy feodalnymi metodami zmuszają księży do posłuszeństwa. Początkowo ta kampania przeciwko Episkopatowi prowadzona była z dużym umiarkowaniem, dopiero sprawa «Caritasu» i konfiskata dóbr kościelnych świadczy, że przyjęła ona charakter niestłuchanie ostrej.

Pozostawienie proboszczom ziemi parafialnej i stworzenie Funduszu Kościelnego ma stanowić narzędzie stałego szantażu w stosunku do poszczególnych duchownych. «Będziesz grzeczny to zostawimy ci ziemię — narazisz się nam to fora ze dwóra». Jest to poza tym broń za pomocą której reżim będzie pogłębiał rozbięcie wśród duchowieństwa, będzie łowił duszyczki «księży patriotów», którym przewodzi ksiądz Lemparty z reżimowego «Caritasu». Rozbijać jednolitą postawę Kościoła, dzielić na grupy, grupki by tym łatwiej zgarniać do reżimowego saka — oto główny cel ku któremu reżim zmierza w tej fazie walki.

Grupka «księży patriotów», która opowiedziała się po stronie reżimu, a tym samym przeciwko Episkopatowi ma nawet do swej dyspozycji pismo — «Głos Kapłana». Kościół nie ma w tej chwili tego rodzaju środków obrony. Pisma katolickie są likwidowane, a te które jeszcze wychodzą znajdują się pod stałym terrorem cenzury. «Tygodnik Powszechny» stał się pismem oderwanym od aktualnych spraw Kościoła w Polsce. Ambona jest pod stałym nadzorem policji, listy pasterskie przenikają do wiadomości społeczeństwa z niebywałym opóźnieniem. Trudności będą się mnożyć, system walki będzie coraz bardziej dotkliwy.

Episkopat określił w sposób jasny swoje stanowisko. W liście do Bieruta kardynał Sapieha i prymas Wyszyński napisali: *«Tam gdzie nie możemy ustąpić z pobudek doktrynalnych, nic nie pomogą nawet najdotkliwsze groźby i najdotkliwsze prawa»*. W tym oświadczeniu była już jednak zapowiedź częściowej kapitulacji. W połowie kwietnia prasa podała do

wiadomości tekst porozumienia między Episkopatem a reżimem. Porozumienie to jest wzajemnym kompromisem, niestety, wyraźnie przejściowym. Kościół ustąpił w sprawach organizacyjnych, utrzymał zaś swe stanowisko w sprawach doktrynalnych. Reżim zobowiązał się w tej umowie do utrzymania nauki religii w szkołach i w programach szkolnych. Szkoły prowadzone przez Kościół będą miały te same uprawnienia, co szkoły państwowe. Katolicki Uniwersytet w Lublinie będzie mógł prowadzić swą działalność. Organizacja duszpasterska będzie utrzymana w wojsku. Podobnie w więzieniach i w szpitalach kapelani będą mogli sprawować opiekę religijną. Zakony i kongregacje religijne będą miały swobodę działania w zakresie swego powołania i obowiązujących ustaw. Organizacja «Caritas» przekształci się w zrzeszenie katolickie dla niesienia pomocy biednym. W zakresie potrzeb materialnych «rząd rozważy potrzeby biskupów i instytucji kościelnych celem przyścia im z pomocą». Z Funduszu Kościelnego reżim zobowiązał się również do przekazywania pewnej sumy do dyspozycji ordynariuszów diecezji.

Tak w dużym skrócie przedstawiają się obietnice rządu warszawskiego, poczynione w stosunku do Episkopatu.

Episkopat wzamian za to zobowiązał się, iż wezwie duchowieństwo, aby pouczyło wiernych o konieczności poszanowania praw państwowych i zwiększenia wysiłku dla odbudowy narodowej i wzrostu dobrobytu. Papież jest autorytetem tylko w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej. W innych wypadkach Episkopat kieruje się polską racją stanu. Kościół zobowiązuje się przeciwdziałać nadużywaniu religii do działalności antypaństwowej, jak również zwalczać będzie działalność wszelkiego podziemia. Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie sprzeciwiało się rozwojowi kolektywizacji wsi. Episkopat w granicach swoich możliwości przeciwstawi się wszelkiej akcji rewizjonistycznej duchowieństwa niemieckiego w stosunku do Ziemi Odzyskanych. Jednocześnie Kościół Katolicki w Polsce zwróci się do Stolicy Apostolskiej, aby zmieniła stan tymczasowy na Ziemiach Odzyskanych, mianując biskupów-ordynariuszy zamiast dotychczasowych administratorów apostolskich.

W tym miejscu, przypuszczalnie, zamknie się pierwszy etap walki Kościoła Katolickiego w Polsce z bolszewizmem. Jest to etap heroicznego wysiłku hierarchii kościelnej, ogromnej większości duchowieństwa i mas wiernych. Etap ten zakończył się kompromisem, który w walce z Sowietami jest równoznaczny ze zwycięstwem bolszewików. W walce tej, rezultaty której mają znaczenie uniwersalne, Kraj pozostawiony był samemu sobie, mimo iż chodziło o sprawę nie tylko międzynarodową lecz wręcz ogólnoludzką. Nie wykonała swego obowiązku również i emigracja polska, cała emigracja polska. Pograżona w szóstorzędnych zagadnieniach, nie Kraj nie obcho-

dających, nie zdobyła się nawet na głośniejszy apel, mało tego nie przyczyniła się w niczym do stworzenia dokumentacji w tej niezwyklej wagi sprawie. Wszystko co o tym zostało napisane zagranicą jest wyłączną zasługą samego duchowieństwa katolickiego w Polsce. Zwykle katolickie organizacje we Francji czy we Włoszech okazały się bardziej aktywne od Rządu, przeróżnych Rad i kierownictw stronnictw czy organizacji. Jedyne oświadczenie Rządu w tej sprawie zawiera zdanie: «Rząd wie w jakich warunkach działa hierarchia kościelna w kraju i ocenia jako rozumne i słuszne ograniczenie wystąpienia biskupów polskich wyłącznie do spraw wiary i obowiązków pasterskich».

Zdanie to świadczy, iż Rząd nie rozumie czy nie chce zrozumieć jak dalece polityczną jest walka Sowieców z Kościołem i jakie pociąga już za sobą skutki. Wydaje się, iż Rząd wciąż stoi na stanowisku, iż jedynym jego zadaniem i przeznaczeniem jest strzeżenie legalizmu. Legalizm dla legalizmu!

Z.—W.

«Scaleniówka» administracyjna

W marcu 1950 r. tzw. sejm w Warszawie uchwalił przedłożoną przez rząd ustawę "o terenowych organach jednolitej władzy państwowej". Warto się z tą ustawą bliżej zapoznać, m.in. dlatego, że Cyrankiewicz porównał jej znaczenie do przełomowych aktów lat poprzednich, jak reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu. Ustawa posiada kilka interesujących a nader zasadniczych aspektów.

1. Z punktu widzenia teorii prawa administracyjnego ciekawe jest w nowej ustawie zniesienie podziału na administrację rządową i na samorząd. Rady narodowe po świeżej reformie stały się terenowymi organami jednolitej władzy państwowej w gminach, miastach, powiatach i województwach. Paroma pociągnięciami pióra skasowano tradycyjną na całym świecie instytucję samorządu o funkcjach własnych i przez państwo zleconych. W miejsce urzędów państwowych i organów samorządowych przychodzą jednolite rady narodowe, których prezydya zastąpią zniesione stanowiska wojewody, wicewojewody, starosty, wicestarosty, prezydenta i wiceprezydenta miast, burmistrza oraz wójta i podwójciego. Pracownicy państwowi i samorządowi przejdą do służby w odpowiednich prezydiach rad narodowych. Nie potrzeba wyjaśniać, że jest to reforma b. gruntowna, przekreślająca to, co uważane było niegdyś za poważną zdobycz społeczeństwa w jego walce z autokratycznymi zapędami "om-

nipotencji" państwa. Wyrok śmierci na samorząd umotywowano tym, (p. mowa Cyrankiewicza w sejmie 7.3.50), że skostniał on "w swej tradycyjnej postaci", a jeżeli "w dawnych okresach historycznych, nawet w swych nowych formach, miał cechy postępowe, dopóki torował drogę nowym siłom społecznym i jeżeli nie wywoływał reformistycznych złudzeń — dzisiaj w ustroju demokracji ludowej nie ma już żadnego uzasadnienia".

Skasowanie samorządu lokalnego, jako "zawady przeszkadzającej kształtowaniu się nowych form władzy ludowej oraz ujednoczeniu i upowszechnieniu się władzy ludowej" (Cyrankiewicz), jest b. doniosłym posunięciem kompartii w kierunku odebrania społeczeństwu resztek możliwości niezależnego wypowiedziania się.

2. Nowa ustawa przeprowadza przeto ujednoczenie (może ściślej: scalenie) władzy administracyjnej na każdym szczeblu — gminy, powiatu, wydzielonego miasta, czy województwa. "Scaleniówka" ta przeprowadza również w każdym terenowym organie jednolitej władzy państwowej zespolenie takich urzędów, które dotychczas działały w ramach administracji rządowej, jako *organy niezespalone* (jak np. Kuratoria, Izby Skarbowe lub Inspektoraty Pracy).

3. W sprawozdaniu rządowym do projektu ustawy powiedziano, że ten nowy terenowy organ jednolitej władzy państwowej, jakim będą rady narodowe, "będzie wybierany przez ludność", na mocy ordynacji wyborczej, która będzie przedmiotem odrębnej ustawy. Znając niezłomną wolę kompartii dalszego rządzenia krajem, oraz atmosferę zastraszenia w społeczeństwie, możemy chyba z całą pewnością przepowiedzieć, że do rad narodowych i ich prezydiów — wybierani będą tylko albo komuniści albo osoby im uległe.

4. Celem solidniejszego zabezpieczenia utrzymania ustroju, struktura systemu rad narodowych przewiduje powiązania w linii pionowej, co oznacza zależność prezydium każdej rady narodowej od prezydium rady narodowej wyższego stopnia, z tym, że działalność prezydium wojewódzkiej rady podlega wytycznym i instrukcjom Rady Ministrów oraz resortowych, ze względu na rodzaj sprawy, ministrów. Jest to *expressis verbis* przyjęcie zasady "hierarchicznego podporządkowania się". Wprawdzie mógłby ktoś zarzucić, że w zachodnio-europejskich ustrojach czynnik władzy państwowej sprawuje też nadzór nad samorządem lokalnym (to samo było i w Polsce przedwojennej), ale dotyczyło to tylko zakresu spraw zleconych, w innych zaś dziedzinach tylko w wypadkach naruszenia ustawy.

5. W nowym ustroju administracyjnym należy zwrócić specjalną uwagę na rolę Rady Państwa, która sprawować będzie zwierzchni nadzór nad radami narodowymi. A więc w szczególności, Rada Państwa zarządza wybory do rad narodowych, rozpatruje sprawozdania wojewódzkich rad narodowych, udziela

radom narodowym wytycznych i instrukcyj, nadaje kierunek działalności radom narodowym w dziedzinie kontroli społecznej, rozpatruje sprawy, związane z funkcjonowaniem rad narodowych i ich organów, ma prawo uchylecia uchwały rady narodowej lub jej prezydium, jeżeli uchwała jest sprzeczna z prawem, lub niezgodna z zasadniczą linią polityki Państwa (to ostatnie uprawnienie świadczy o zerwaniu nowego ustroju z zasadą badania aktu administracyjnego z punktu widzenia jego legalności, skoro decydować ma wyrażne "politicum").

Ciekawe będzie śledzenie dalszych ewolucji Rady Państwa, która, co jest b. możliwe, przekształci się w instytucję zbliżoną w swych kompetencjach do Rady Najwyższej Związku Sowieckiego (Wierchownyj Sowiet).

6. Jest rzeczą naturalną, że przy badaniu wszelkich reform wprowadzanych w Kraju, musimy się starać o wniknięcie w treść istotną tych reform, o utrafienie w sedno rzeczy — o co właściwie chodzi, i co kryje się za zasłoną dymną frazesów o dalszej "demokratyzacji", "konsekwentnej realizacji ludowości", "wcielaniu demokracji wyższego typu", "przestrzeganiu praworządności demokratycznej" i innych podobnych objawów "mętniactwa ideowego" (wyrażając się językiem "krytyków" i "samokrytyków").

Nie potrzeba zbytniej przenikliwości by odpowiedzieć, że chodzi po prostu o wynalezienie systemu, pozwalającego możliwie najwygodniej, przy zachowaniu decorum w postaci filodemokratycznej deklamacji, rządzić państwem przez zorganizowaną agenturę. Sprawy personalnego obsadzenia stanowisk w radach narodowych, a co najważniejsze — w prezydium rad, — nie nastroją w tym ustroju trudności. Nie ma również obaw, by jakiegokolwiek uchwały dla kompartii niedogodne, mogły uzyskać moc obowiązującą wobec hierarchicznej zależności od górnych ogniw systemu. Skupienie wszystkich gałęzi i nici administracji publicznej danego terenu w jednym organie władzy, jest znakomitym ułatwieniem dla tego, kto trzyma w ręku cugle władzy. Wprawdzie poprzednio samorząd lokalny też był całkowicie w rękach reżimu (mianowanie rady narodowej), ale widocznie musiały być dość ważne przyczyny, które zaważyły na decyzji całkowitego zniesienia form tradycyjnego samorządu.

« Bumelanctwo » a « proguly »

W chwili, gdy piszemy te słowa, w sejmie warszawskim przeprowadzane są dwie wniesione przez rząd Cyrankiewicza ustawy, poważnie ograniczające wolność pracowników z jednoczesnym znacznym obostrzeniem dyscypliny pracy.

Pierwsza ustawa upoważnia do wprowadzenia zakazu niektórym kategoriom pracowników opuszczania ich miejsca pracy. Podobne zakazy istniały, a nawet jeszcze istnieją, również w państwach demokracji zachodnich, ale było powszechnie wiadome, że miały one charakter wyjątkowy, a to ze względu na warunki okresu wojennego. W obecnej Polsce wprowadzane są te ograniczenia, mimo, że 5 lat wkrótce mija od zakończenia wojny.

Druga ustawa wprowadza drastyczne kary na pracowników opuszczających się w pracy, a więc nie stawiających się bez usprawiedliwienia i spóźniających się do pracy, lub w inny sposób wykazujący swe niedbalstwo lub lekceważenie swego zajęcia.

Za "bumelanctwo" (tak nazwano powyższe typy przestępstw), grozić będą poważne kary regulaminowo-porządkowe (grzywny, a nawet przeniesienie do niższej kategorii płacy), przy recydywie zaś następuje oddanie pod sąd, który władny jest obniżyć obwinionemu jego zarobki na okres do 3-ch miesięcy od 10 do 25%. Ustawa o bumelanctwie zbyt przypomina sowieckie "proguly", "bumelanci" zaś "progulszczyków", by o tym rażącym podobieństwie nie wspomnieć. Z tą tylko różnicą, że sowieckie wzory przewidują za "proguly" więzienie oraz łagry pracy przymusowej.

Obecne reformy krajowe w zakresie prawa pracy (obok słynnego już współzawodnictwa pracy), mają na celu wydatne powiększenie korzyści, jakie daje Rosji korzystanie z pracy polskiej klasy robotniczej, oraz wytępienie licznego opuszczania przez robotników w przemyśle dni pracy (w 1949 r. spowodowało to podobno kilka milionów utraconych dniówek).

W. SZYSZKOWSKI.

Światła i cienie przy odbudowie stolicy

Odbudowa stolicy stanowi jedno z nielicznych zagadnień, którym całe społeczeństwo polskie przejmując się bez różnicy na poglądy polityczne i bez względu na to czy idzie o czynniki krajowe, czy emigracyjne. W Warszawie odbywają się nieustanne i spontaniczne pielgrzymki do wszystkich miejsc odbudowanych, każdy mieszkaniec stolicy zna programy odbudowy i ma do projektów już zrealizowanych lub przewidywanych bezpośredni, osobisty stosunek. Kto przyjeżdża z kraju i styka się z kołami emigracyjnymi poddawany jest szczegółowym egzaminom z tego co już zostało dokonane, co jest obecnie na warsztacie, co ma być zrealizowane w bliskiej przyszłości. Cudzoziemców przyjeżdżających do kraju nie tak nie uderza, jak ta pasja odbudowy, którą się odczuwa niezwłocznie po wjechaniu na prowizoryczny dworzec lub po wylądowaniu na prowizorycznym lotnisku.

Niestety, odbudowa Warszawy wzięta została, jak wszystkie inne, "w pacht" przez czynniki reżimowe i stała się przedmiotem nieustannej i krzykliwej propagandy, tym przykrzejszej, że dzieło dokonane w ciągu czterech lat jest istotnie ogromne i przemawia samo za siebie jako niebywały przejaw żywotności i tężyzny społeczeństwa. Faktycznie dzieło to dokonane zostało przede wszystkim przez mieszkańców Warszawy i dopiero w innych warunkach będzie można z należytym obiektywizmem stwierdzić czy specyficzna sytuacja polityczna, istniejąca od r. 1946 w kraju, w końcowym wyniku dzieła odbudowy ułatwiła czy utrudniła.

Nie ulega wątpliwości, że stuprocentowa swoboda działania, z której korzystają obecne władze i która wynika z obecnego ustroju zlikwidowała w załączku liczne trudności, które zaistniałyby, gdyby w Warszawie honorowane było nadal prawo własności; ale ten sam ustroj zlikwidował niemal całkowicie prywatną inicjatywę przy odbudowie i zredukował jej tempo do rozmiarów zakreślonych budżetem organów publicznych.

Jeżeli się zważy, że przy innej sytuacji politycznej Polska użyłaby niewątpliwie znaczną pomoc gospodarczą i finansową z zewnątrz, to trudno pozbyć się wrażenia, że w innych warunkach tempo odbudowy byłoby szybsze. Oczywiście można twierdzić, iż samo tempo nie decyduje, gdyż szybka, żywiołowa odbudowa, oparta o inicjatywę prywatną mogłaby dać wyniki szpetne. Przypuszczam jednak, że bez względu na strukturę polityczną ukazałyby się przy każdym ustroju ustawy, ułatwiające szybko i planową odbudowę, to znaczy że w każdej sytuacji stworzono by stan prawny taki, aby prace związane z odbudową miasta nie były ani hamowane przez prawo własności, ani wypaczane przez akcje nieskoordynowane z całością. Nawet w

XIX wieku, tj. w okresie, w którym szacunek dla prywatnej własności i inicjatywy stanowił nienaruszalny dogmat we wszystkich państwach, dostosowywane były normy prawne wielokrotnie do potrzeb urbanistycznych. Tym bardziej nastąpiłoby w powojennej Polsce w stosunku do Warszawy, w której większość właścicieli nieruchomości straciła życie i w której z górą 90% budowli legło w gruzach. Pozbawienie dawnych właścicieli prawa protestu przy realizacji planów odbudowy dokonałoby się w innych warunkach w sposób przypuszczalnie mniej brutalny, ale trudno wyobrazić sobie władze ustawodawcze, utworzone w drodze normalnych wyborów, które odmówiłyby przy istniejących nastrojach społeczeństwa wydania norm prawnych, potrzebnych dla racjonalnej odbudowy stolicy.

Toteż nie przecząc, że metody reżimowe zlikwidowały w zarodku trudności prawne, które mogłyby się zaznaczyć przy odbudowie, w sposób idealnie uproszczony, nie można zgodzić się z argumentami tych, którzy twierdzą, że tylko komunistyczny ustroj umożliwić może odbudowę planową i racjonalną.

Zasięgą obecnych czynników rządzących było natomiast niewątpliwie to, że sama konieczność odbudowy nie była nigdy przez nie kwestionowana, gdyż powzięcie odpowiednich decyzji nastąpiło już w r. 1945. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, jak śmiała była wówczas ta decyzja. Wiele czynników krajowych, a zwłaszcza zagranicznych, uważało wówczas odbudowę stolicy za szaleństwo. Obliczono, że sam koszt wywozu gruzów wymagać będzie sum większych od wartości tego, co pozostało z dawnej stolicy, nawet przy uwzględnieniu inwestycji podziemnych; wartość domów nieburzonych była stosunkowo znikomą. Położenie geograficzne Warszawy uznawane było zresztą zawsze za mało szczęśliwe, zwłaszcza, że okolice miasta przedstawiają dla nowoczesnej stolicy bez porównania mniej atrakcji, niż okolice niemal wszystkich innych stolic europejskich.

Nie wdając się zresztą w ocenę słuszności argumentów, które wysuwane były w obronie tezy, że stolicę wybudować należy gdzie indziej, i nie analizując motywów romantycznych czy innych, które zadecydowały o odbudowie Warszawy na dawnym miejscu, stwierdzić można, że słuszność tej decyzji jest dziś niekwestionowana nawet z punktu widzenia czysto materialnego. Podejmując tę decyzję czynniki reżimowe niewątpliwie trafnie wyczuły wolę społeczeństwa.

Niebywały rozmiar zniszczeń Warszawy sprawił, że przy projektowaniu odbudowy można się było niemal nie liczyć ze stanem dawniejszym miasta. Projektodawcy mogli dowolnie stwarzać nowe arterie komunikacyjne, poszerzać dawniejsze — mogli logicznie dzielić miasto na dzielnice reprezentacyjne, mieszkalne i fabryczne, mogli stwarzać nieistniejące dawniej perspektywy, a zwłaszcza mogli wciągnąć w orbitę miasta Wisłę, która dawniej nie była niemal w ogóle urbanistycznie wykorzy-

stana, bo liczne fabryki oddzielały centrum miasta od rzeki. Tylko zawodowi architekci-urbanisci ocenić potrafią czy plany obecnie realizowane czynią istotnie zadość wszystkim racjonalnym postulatam, i czy założenia tych planów wytrzymają próbę życia. Do ich opracowania przyciągnięto niewątpliwie wielki zespół specjalistów krajowych i starano się stworzyć warunki dla zespołowej pracy. Jeżeli obecne zaostrzenie kierunku politycznego, zmierzające do wyeliminowania czynników niekomunistycznych ze wszelkich ośrodków nie poczyni zbyt wielkich spustoszeń w składzie ludzi pracujących nad odbudową, zaryzykowałbym może twierdzenie, że zrobiono co należy, aby pod względem fachowości prowadzone prace stanęły na wysokości zadania.

Rzecz inna, że same założenia odbudowy, oparte zostały — sądząc przynajmniej z niektórych ogłoszonych oświadczeń — na hipotezach co najmniej ryzykownych. Do tych ostatnich zaliczyć trzeba tezę, że przyszła Warszawa nie będzie liczyć ponad 600.000 mieszkańców. Założenie tego rodzaju okazać się może nawet przy stuprocentowym planowaniu wszystkiego w Polsce, już w krótkim czasie fałszywe i niebezpieczne.

Nie mam oczywiście zamiaru ani systematycznie omawiać tutaj szczegółów już dokonanych, lub projektowanych w przyszłości prac, ani tym bardziej wyrażać o nich niefachowej opinii. Chciałbym natomiast wskazać na kilka cech charakterystycznych dla całego dzieła odbudowy i dla przyjętych metod pracy.

Wbrew powszechnym przewidywaniom zaczęto odbudowę od dzielnic zabytkowych. Mam wrażenie, że jeżeli idzie o ich odtworzenie, to teza o korzyściach obecnego ustroju dla dzieła odbudowy jest słuszna. Przy żadnym ustroju kapitalistycznym, czyli wymagającym ścisłej kalkulacji finansowej, nie można by sobie przypuszczać na luksus tak podjętej odbudowy zabytków. Przyszła Warszawa na pewno na tym skorzysta: Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Plac Zamkowy i cała dzielnica Starego Miasta powstaną z gruzów bez porównania piękniejsze, niż istniały przed powstaniem. Myślę, że mylą się, nieliczni zresztą, krytycy twierdzący, że odbudowane dzielnice zabytkowe będą zawsze tylko sztuczną imitacją tego co było. To samo twierdzono po pierwszej wojnie światowej, gdy przystąpiono do odbudowy francuskich lub belgijskich miejsc zabytkowych, według dawnych wzorów, a niemniej już po 30 latach odbudowane gmachy pokryły się patyną i wzbudzają niemniejszy zachwyt niż dawniej. Widocznie piękno dawnych wieków utrwalone jest bardziej za pomocą linii gmachów, placów i ulic niż za pomocą surowca użytego przy ich budowie. Jeśli idzie o nastawienie mieszkańców Warszawy, to każdy odbudowany gmach lub ząłek zabytkowy jest niewątpliwym źródłem dumy i radości.

Drugą charakterystyczną cechą prowadzonej w Warszawie od-

budowy jest to, że przede wszystkim odbudowuje się i buduje gmachy publiczne, urzędy, teatry, które wznoszone są równocześnie w najróżniejszych punktach zburzonej stolicy. Stwarza to liczne odbudowane wyspy, oddzielone od siebie, niestety, o wiele liczniejszymi gruzami. Na Marszałkowskiej odbudowano np. dotychczas na rogu Świętokrzyskiej jedynie olbrzymi gmach P.K.O., natomiast poza tym odbudowane są jedynie partery, a czasem pierwsze piętra. Domy po stronie nieparzystej przeznaczone są, zresztą słusznie, na całkowitą rozbiórkę, ponieważ Marszałkowska ma być wielokrotnie poszerzona. Łatwo sobie wyobrazić w jakim tempie ruszyłaby odbudowa na tej głównej arterii komunikacyjnej, gdyby różne instytucje handlowe, finansowe itp. mogły w ramach nakreślonego planu swobodnie i samodzielnie przystąpić do odbudowy. Tak jak sprawa wygląda w Warszawie, nie ma sił zdolnych do uzupełnienia dzieła państwa, które przystąpiło do odbudowy wspomnianych "wysp", lecz któremu brak jest środków, aby szybko te wyspy połączyć szeregiem odbudowanych domów mieszkalnych. Toteż w czterech latach programowej odbudowy istnieje właściwie tylko jedna całkowicie odbudowana arteria, tj. Nowy Świat na odcinku od Al. Jerozolimskich do kościoła Św. Krzyża, przy czym nawet tu faktycznie odbudowane są tylko domy frontowe, natomiast ogromne oficyny leżą przeważnie nadal w gruzach.

W Paryżu spotykam się często z pytaniem, jak przedstawia się architektura nowoczesnych gmachów. Na pytanie to nie można odpowiedzieć, ponieważ faktycznie nowych gmachów jest dotychczas bardzo niewiele; odbudowa dawnych odbywa się z reguły według pierwotnych wzorów.

Wśród gmachów istotnie nowych wymienić można jedynie monumentalny gmach Ministerstw Gospodarczych, który zająć ma olbrzymi czworobok objęty Placem Trzech Krzyży, Nowogrodzką, Kruczą i Wspólną. Na razie wykończono Ministerstwo Przemysłu i Handlu z fasadą na Pl. Trzech Krzyży. Zrobiono duży wysiłek, aby gmach ten szarmonizowany był z charakterem rozpoczynających się obok Al. Ujazdowskich i nie przytłoczył swym ogromem całej dzielnicy. Fasada jest utrzymana w stylu "nowoczesnie klasycznym", główne wejście prowadzi przez piękną kolumnadę na wewnętrzny dziedziniec, dający dużo światła. Razem wzięwszy powiedzieć można, że gmach ten, ochrzczony przez Warszawę mianem "Miniburg", stanowi jeden z bardziej udanych gmachów publicznych w Warszawie, przypominający trochę przedwojenne Ministerstwo Oświaty na Al. Szucha. Przy jego budowie użyto cegły sporządzone na miejscu z gruzów. Pesymiści twierdzą, że materiał ten nie jest należycie trwały i że gmach będzie się rysował. Na razie jednak stoi i wygląda okazale.

Drugi niemniej monumentalny gmach Związków Zawodowych ma stanąć w pobliżu na rogu Al. 3-go Maja i Nowego Świata,

czyli naprzeciw ogromnego przedwojennego Gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego. Roboty przy jego budowie prowadzone są w szybkim tempie. Architekci będą mieli trudne zadanie, aby obok położone i odbudowane Muzeum Narodowe powiązać w architektoniczną całość z beznadziejnie brzydkim siedmiopiętrowym gmachem bankowym, zwłaszcza że po drugiej stronie Al. 3-go Maja znajduje się wylot ślicznie odbudowanej arterii Nowego Świata, na której wszystkie domy są dwupiętrowe.

Z innych nowych gmachów wspomnieć trzeba jeszcze o wykończonej nowej części Ministerstwa Komunikacji na ul. Chałubińskiego, dostosowanej stylem do części wybudowanej już przed wojną, lecz dwukrotnie wyższej.

Kilka słów poświęcić pragnę Wiśle i wykorzystaniu jej dla celów urbanistycznych. Na razie nie można jeszcze zdać sobie sprawy z tego, jak dalece twórcom odbudowy uda się organiczne wcielenie ogromnej rzeki do systemu miejskiego, zwłaszcza że w planach ogólnopaństwowych nie przewiduje się na razie nic, aby Wisłę uregulować i wykorzystać dla celów komunikacyjnych na wzór tego, co ma miejsce w Wiedniu czy Budapeszcie.

W roku 1949 odbudowano na dawnym miejscu, obok mostu Poniatowskiego, most kolejowy, łączący z Pragą tunel, przeprowadzony pod Al. Jerozolimskimi i Al. 3-go Maja; niestety most kolejowy odbudowano znów "na ukos" co na pewno nie przyczyni się do upiększenia perspektywy rzeki.

Most Kierbedzia odbudowano jako składową część trasy "W.-Z.". O ile tempo budowy tej trasy było istotnie zadziwiające i jeżeli sam most, pozbawiony dawnej klatki żelaznej, jest sam w sobie piękny — o tyle trudno jeszcze zdać sobie sprawę z tego czy przy budowie tej rozreklamowanej trasy nie popełniono zasadniczego błędu. Na razie jadąc z Pragi nie można wjechać na Plac Zamkowy i na Krakowskie Przedmieście, czyli na dotychczas główną warszawską arterię komunikacyjną inaczej jak przez Wybrzeże Kościuszkowskie, "Ślimak" i Karową, względnie przez nowy tunel, Plac Bankowy i Senatorską. Wynika z tego oczywiście ogromna strata czasu. Dla pieszych istnieje możliwość wjechania na Plac Zamkowy ruchomymi schodami, łączącymi go z ulicą, prowadzącą z mostu do tunelu, lecz dla ruchu kołowego możliwości takiej na razie nie ma. Podobno zamierza się stworzyć krótki objazd z Wybrzeża Kościuszkowskiego poprzez ładnie odbudowany Mariensztat na Krakowskie Przedmieście, ale na razie jest to projekt, którego realizacja nie wydaje się prosta i który zmieniłby Mariensztat na ważną arterię komunikacyjną, mało zgodną z charakterem zabytkowym, nadanym przy odbudowie temu zaułkowi. Tak jak jest obecnie — trasa "W.-Z." jest niewątpliwie efektywna, ale mało praktyczna. Jeżeli faktycznie powstanie wkrótce dodatkowy most, projektowany już przed wojną, na wysokości ulicy Karowej i o ile uda

się znaleźć lepsze rozwiązanie dla połączenia Wybrzeża z Krakowskim Przedmieściem niż obecny "Ślimak", to cały ten problemat straci oczywiście na ostrości. Tak jak sprawa przedstawia się obecnie trudno pozbyć się wrażenia, że przy planowaniu zasadnicze elementy nie były wzięte pod uwagę.

Przyjęty system odbudowy liczy się w minimalnym stopniu z materialnymi warunkami bytu mieszkańców Warszawy. Przypominam sobie, że w r. 1946 urządzono w Brukseli wystawę, mającą ułatwić odbudowę licznych, zniszczonych w Europie podczas wojny, miast. Główną uwagę poświęcono wówczas sprawie mieszkań prowizorycznych, w których można by umieścić ludność zmuszoną do mieszkania i pracowania w odbudowywanym mieście, przed ukończeniem odbudowy, tj. przed uzyskaniem przez mieszkańców mieszkań ostatecznych. Nie bez żalu stwierdzić trzeba, że nie tylko dla mieszkańców Warszawy przewidywane tam mieszkania prowizoryczne stanowiłyby szczyt marzeń na całe życie, ale że sprawą tworzenia faktycznie nowych prowizorycznych jednostek mieszkalnych nie zajmuje się w Warszawie właściwie nikt. Cały wysiłek administracyjny skierowany został, zgodnie z wypróbowanymi metodami sowieckimi, na akcję progresywnego zagęszczania i zaludniania mieszkań istniejących i usuwania z Warszawy mieszkańców zbędnych. Ale nawet jeśli idzie o budowę, względnie odbudowę mieszkań ostatecznych, to przyrost ich odbiega całkowicie nie tylko od zapotrzebowania, ale od jakiegokolwiek racjonalnego stosunku między ilością nowych domów mieszkalnych z jednej, a domów administracyjnych i innych niemieszkalnych z drugiej strony. Nie wiem jaki był przed wojną, w Warszawie, stosunek między ilością zabudowanych metrów kubicznych, służących celom mieszkalnym i innym, ale wiadomo, że sprawa mieszkaniowa przedstawiała się już wówczas w Warszawie, w sposób wyjątkowo ostry. Przekonany jestem, że w prowadzonej obecnie akcji odbudowy stosunek ten jest o wiele mniej korzystny, zwłaszcza jeżeli się mówi o sytuacji istniejącej od dwóch lat. W pierwszych trzech latach po roku 1945 władze zrobiły istotnie duży wysiłek, aby ułatwić odbudowę mieszkań przez mobilizację na ten cel prywatnych kapitałów. Ustalono jako maksymalną normę dla jednego mieszkania, korzystającego z przewidywanych ulg, 90 metrów kw., co było normą racjonalną — wprowadzono daleko idące ulgi podatkowe, a przede wszystkim oświadczone, że odbudowane w określonym terminie mieszkania nie będą podlegały przepisom o wszelkiego rodzaju rekwirunkach, o zagęszczeniu itp. Odnośne przepisy działały, niestety, tylko krótko i przyczyniły się w ciągu pierwszych lat do odbudowy bardzo wielu mieszkań, zwłaszcza na Mokotowie, Żoliborzu i innych bliskich przedmieściach, ale odnośny ruch budowlany ustał całkowicie po wygaśnięciu pierwotnie ustalonych i nieprzedłużonych terminów.

Gdy się widzi ogromne tłumy, przewalające się całymi dniami po ulicach Warszawy, oraz długie rzędy ulic mieszkalnych, które leżą nadal w gruzach, to mimowoli nasuwa się pytanie, gdzie te tłumy mieszkają. Przed sformulowaniem odpowiedzi zdefiniować trzeba pojęcie "mieszkania". Jeśli obejmuje się tym terminem posiadanie choćby najmniejszego, samodzielnego mieszkania, wyposażonego w kuchnię i posiadającego choćby prymitywne instalacje mieszkaniowe, jednym słowem mieszkania, którego posiadacze mogą prowadzić samodzielne życie na najskromniejszą choćby modłę zachodnią, to można śmiało zaryzykować twierdzenie, że olbrzymia większość tłumów warszawskich nie mieszka nigdzie. Poza stosunkowo bardzo nieliczną i wyraźnie uprzywilejowaną warstwą urzędników, działaczy partyjnych i nielicznych pracowników fizycznych oraz poza jeszcze mniejszą liczbą właścicieli, którzy odbudować zdołali w ustawowym terminie własne mieszkania, olbrzymia większość ludności sypia kątem, po kilka osób w jednej izbie, — całe rodziny gnieźdzą się w jednym pokoju, — w mieszkaniach, w których dawniej mieszkała jedna rodzina mieszka tyle rodzin ile jest izb, — liczne podmiejskie letnie mieszkania zajęte są przez cały rok, choć rzadko nadają się do mieszkania w porze zimowej. Przygniatająca większość szczęśliwych posiadaczy odbudowanych mieszkań korzysta z przydziału mieszkań służbowych, co oczywiście stwarza ważny, dodatkowy czynnik uzależnienia od instytucji zatrudniającej. Te ostatnie zdobywają mieszkania dla swych pracowników przede wszystkim przez odbudowywanie domów zburzonych. Najbardziej rozpowszechniony jest system, przy którym następuje dobrowolna lub przymusowa umowa między właścicielem ruiny a daną instytucją, na zasadzie której instytucja przeprowadza odbudowę i wzamian za to dysponuje mieszkaniami przez określoną ilość lat. Dalszy los tych umów zależeć będzie oczywiście od przyszłości politycznej kraju. Istotnie nowych domów mieszkalnych zbudowano na razie bardzo niewiele.

Niezmiernie ciężkie warunki mieszkaniowe, panujące w stolicy, zaostżane są specyficzną polityką komunikacyjną, uważającą, że na szybkie polepszenie środków komunikacyjnych nie warto przeznaczać poważniejszych środków. W roku 1945 nie było właściwie wcale w Warszawie środków komunikacyjnych. Tabor tramwajowy i autobusowy, istniejący przed wojną, był całkowicie zniszczony. Szyny i przewody elektryczne pozrywane, a na domiar złego okupanci położyli na niektórych odcinkach szyny specjalnego wymiaru, skutkiem czego na przykład tramwaje idące z Mokotowa do Śródmieścia docierać mogły tylko do Placu Zbawiciela. W ciągu roku 1946 jeżdżono jeszcze przeważnie na otwartych platformach lub furmankach, pełniących funkcje publicznych środków transportowych, a nawet pierwsze autobusy, oficjalnie uruchomione przez miasto, stanowiły zwykłe, kryte ciężarówki, zaledwie wyposażone w drewniane ławki. W tym sa-

mym roku nadeszła do Warszawy partia wycofanych z Moskwy trolejbusów, ofiarowanych Warszawie przez władze sowieckie i stanowiących — mimo ich rozklekotania i zniszczenia — najwygodniejszy wówczas środek komunikacyjny. Miasto zrobiło wówczas poważny wysiłek w kierunku uruchomienia sieci tramwajowej — stopniowo ujednotulono rozmiary szyn, umożliwiając jazdę na dłuższy dystans, wyreperowano sporo przedwojennych wozów warszawskich, wrocławskich, lub pochodzących z innych zburzonych miast Ziemi Odzyskanych.

Wszystko to przyniosło pewną ulgę, ale odpowiadało w nikłym tylko stopniu istotnym potrzebom. W godzinach rannych i popołudniowych odbywały się przy przystankach dantejskie sceny przy zdobywaniu miejsca, a dojazd z Pragi na Plac Unii Lubelskiej trwał wraz z czekaniem co najmniej dwie godziny. Każdy Warszawiak tracił przeciętnie dwie-trzy godziny dziennie na dojazd do miejsca pracy i na powrót, a znacznie więcej jeżeli zamieszkiwał w miejscowości podmiejskiej. W lecie dużo mieszkańców zrezygnowało z publicznych środków komunikacyjnych, decydując się na wielokilometrowe przechadzki piesze, zwłaszcza, że wydatki na komunikację stanowią w przeciętnym budżecie pracowniczym poważną pozycję wydatkową. Bilet autobusowy kosztuje na przykład 15 zł., czyli na dwukrotny przejazd wydać trzeba dziennie 30 zł. lub miesięcznie 750 zł., licząc 25 dni roboczych w miesiącu. Ponieważ większość pracowników nie pobiera ponad 15.000 zł. miesięcznie, wynosi to 5% pensji, nie licząc przejazdów członków rodziny.

W roku 1948 zdawało się, że władze zdecydowały się wreszcie na poważny krok, aby miejski i podmiejski problemat komunikacyjny w Warszawie istotnie rozwiązać przez przeznaczenie na zakup odpowiedniego taboru autobusowego i innego sprzętu samochodowego 50% sumy globalnej, to jest 30 milionów dolarów w ramach wielkiej polsko-francuskiej umowy inwestycyjnej, zawartej w marcu tegoż roku. Pełne wykorzystanie możliwości, stworzonych przez tę umowę, pozwoliłoby na uruchomienie miejskich i podmiejskich autobusów w ilości istotnie dostosowanej do potrzeb i zaoszczędziłoby Warszawiakom wiele czasu i nerwów. Istotnie w r. 1948 nadeszły do Warszawy pierwsze partie ślicznych "chaussonów" i uruchomienie kilkudziesięciu sztuk przyniosło z punktu poważną ulgę. Wozy te uruchomione zostały na kilku liniach i zmieniły całkowicie warunki bytu tych, którzy mogli z nich korzystać. Autobusy te zrobiły dla propagandy francuskiej i zachodniej więcej niż wieloletnia propaganda oficjalna. "Wreszcie coś zachodniego" — oto frazes, z którym spotykać można się było stale. Przy nowych autobusach tworzyły się od razu zdyscyplinowane kolejki, aby wozu nie uszkodzić, — często słyszeć można było mało pochlebne porównania między zachodnimi "chaussonami" a moskiewskimi wyranżerowanymi "trolejbusami". Porównania te narzucały się tym bardziej, że obok autobusów nadeszły pierwsze francuskie

trolejbusy. Wielu pasażerów wołało przy przystankach dłużej czekać na wóz "zachodni", byle jechać w warunkach "kulturalnych, niemal przedwojennych".

Nie wiem czy powodzenie tych zachodnich środków komunikacyjnych, czy też uznanie, że nie opłaca się oszczędzanie czasu Warszawiaków i tak nieużywanego na pracę zawodową — zdecydowały o tym, że z hukiem zapowiedziany plan zakupu wiełuset wozów nagle został zaniechany. Możliwości zakupów, stworzone przez polsko-francuską umowę inwestycyjną wykorzystane zostały o ile idzie o sprzęt samochodowy w nikłym tylko stopniu, podczas gdy przy przystankach tłoczą się nadal ogonki, które w godzinach natężenia ruchu dochodzą do długości niespotykanej w żadnym mieście zachodnim. Kompletny brak prywatnych telefonów pogłębia dodatkowo trudności komunikacyjne mieszkańców.

Zaniebanie w wysiłkach, zmierzających do szybkiego powiększenia liczby mieszkań i polepszenia możliwości komunikacyjnych przyczyniają się wybitnie do tego, że poważna część mieszkańców Warszawy spędza znaczną część wolnego czasu na ulicach. Ludność ucieka z nadmiernie zagęszczonych mieszkań, nie posiada możliwości powrotu do nich w ciągu dnia gdy są bardziej oddalone, i chodzi piechotą, aby uniknąć ścisaku w przepełnionych tramwajach.

Wszystko to nadaje dzisiejszej Warszawie charakter "miastamrowiska", który stanowi obecnie najwybitniejszą cechę stolicy.



Zaznaczyłem już, że o dziele odbudowy Warszawy nie można jeszcze wydać opinii ostatecznej, zwłaszcza, że trudno Polakowi zdobyć się, przy osądzeniu go, na wyzbycie się wrażeń emocjonalnych. Trudności te wzrastają przez to, że opinia publiczna nie ma przy planowaniu odbudowy żadnej możliwości wypowiedzenia się. Forma odbudowy dekretowana jest z góry i krzykliwe metody jej stosowania nie odpowiadają na pewno znacznej części społeczeństwa. Społeczeństwo ponosi za to skutki zadekretowanej odbudowy, tak jak ponosi skutki narzuconych i do polskich warunków niedostosowanych reform społecznych, gospodarczych i oświatowych lub zmian ustrojowych. Niemniej stosunek do zadekretowanej odbudowy stolicy — mimo ciężkich konsekwencji metod przyjętych przy jej realizacji, dla warunków bytu każdego mieszkańca — jest inny i odruchowo pozytywny. Można może zaryzykować twierdzenie, że Warszawiacy znoszą skutki odbudowy stolicy z tym samym nastawieniem, z jakim znosili skutki jej zniszczenia podczas tragicznych tygodni powstaniowych. Jak wówczas, tak i teraz uczuciem dominującym jest wiara w lepszą przyszłość.

L. MAŁECKI.

Archiwum polityczne

Sytuacja międzynarodowa widziana z Genewy

W okresie 1914-1937 Szwajcaria była samym ośrodkiem naszego kontynentu. Tu zbiegały się pokojowo różne odmiany cywilizacji europejskiej tworząc złudzenie, że i gdzie indziej ludność mieszaną mogłaby współżyć w warunkach równie sielankowych. Stojący na bruku genewskim mógł oglądać z Głala nie tylko najwyższy szczyt Europy, ale także szczytowe piętro jej organizacji politycznej, mianowicie Ligę Narodów. Każdej jesieni można tu było widzieć i słyszeć wszystkich ministrów spraw zagranicznych Europy i tyluż ministrów krajów zamorskich. Łagodny o tej porze roku klimat genewski usposabiał tych panów życzliwie. Można było zadawać im pytania. Wielu z nich nie stroniło od publiczności, pozowało dwum świetnym karykaturzystom zatrudnionym stale w Lidze i pozwalało się oglądać nieoficjalnie w kawiarni Bavaria.

Wraz z przeniesieniem się ośrodków dyspozycji politycznej do krajów pozaeuropejskich, Genewa i Szwajcaria utraciły swe centralne stanowisko i w znacznej mierze przybrały znów swój tradycyjny charakter dobrze zagospodarowanej górskiej prowincji.

Republice genewskiej zmiana ta przyniosła zrazu niepomyślne następstwa. Miasto wyludniło się i zubożało. Podczas wojny liczone tu 7.000 pustych mieszkań. Powstały stąd niepokojące zagadnienia społeczne i najsilniejsza w Szwajcarii partia komunistyczna.

Lata powojenne przywróciły Genewie życie i zamożność. Organizacja zjednoczonych narodów objęła w posiadanie dawne budynki Ligi Narodów i przeniosła tu swe pomniejsze agendy z licznym sztabem urzędników. Niezwykle pomyslna koniunktura ożywiła znajdujące się tu zakłady przemysłowe. Od trzech lat znalezienie wolnego mieszkania jest równie trudne jak w

Paryżu. Jak w czasach Ligi, miasto jest pełne cudzoziemców. Są to jednak przeważnie osoby mniej lub więcej związane z oficjalnością O.Z.N. Emigranci polityczni w większości wyjechali nie mając tu nic do roboty.

Powoli zorganizował się tu rodzaj symbiozy między bardzo różnym miastem prowincjonalnym i nie mniej zamożnymi instytucjami międzynarodowymi. Miasto żyje własnym, dla obcych zamkniętym życiem, i obecność oficjalnych gości wyczuwa się tylko w pewnej powściągliwości języka. Gazety tutejsze unikają drażliwych tematów politycznych, o których prasa kantonów niemieckich może pisać bardziej swobodnie.

Tematy drażliwe nie dadzą się jednak zbryć milczeniem. Jeden z tutejszych garażystów pokazywał mi przed rokiem spory stos baniek z benzyną należących do jego klientów. Niektórzy właściciele samochodów trzymają na wszelki wypadek w bańkach po 300 litrów benzyny. "Akurat na dojechanie do Madrytu", objaśnił garażysta. Był to człowiek bywały, pamiętający dobrze czasy "maquis" w sąsiedniej Sabaudii. Czasy te pamiętam i ja. Spojrzeliśmy więc na siebie i zaczęliśmy się razem śmiać. Przyszło nam jednocześnie na myśl, że w razie czego przewidujący automobiliści dojechaliby najwyżej do pierwszego rozstaju, gdzie kilku młodych ludzi z mitralietkami w rękę powiedziałyby im krótko: "Prosimy wysiadać".

Najnowszym z drażliwych tematów są pierwsze oznaki kryzysu gospodarczego w Szwajcarii. Oficjalnie mówi się tylko o zakończeniu okresu koniunktury powojennej i powrocie do normalnej "prosperity". W istocie widać tu różne zjawiska przypominające mocno letnie miesiące 1929.

Zmniejszenie zatrudnienia pozostaje na razie niewidoczne. Szwajcaria wysłała jedynie do krajów pochodzenia większą część robotników cudzoziemskich zatrudnionych tu w czasach pomyślnej koniunktury. Uderza natomiast nadmiar oszczędności nie znajdujących użytecznej lokaty. Banki obliczają je optymistycznie na miliard fr. szw. Stopa dyskontowa spadła do 2¼%. Próbowano zmniejszyć ten "Geldueberhang" — jak zjawisko to nazywają w niemieckiej Szwajcarii — przez nacisk podatkowy, ale metoda ta ma znane powszechnie strony ujemne. Banki prywatne wystąpiły z projektem, aby Bank Narodowy sprzedał publiczności część swego zapasu złota, tworząc w ten sposób nowe ujście dla oszczędności. W tym stanie rynku powstał pewien niepokój o losy uchwalonego niedawno w drodze referendum państwowego systemu ubezpieczeń na starość, pomyślanego również jako sposób przeciw nadmiarowi oszczędności w posiadaniu prywatnym. Składki na ten fundusz wynoszą już miliard franków i w niedługim czasie mają osiągnąć poziom 6 miliardów. W braku lokat wewnątrz kraju, olbrzymi ten fundusz może się łatwo stać martwym pieniądzem książkowym, nie tworzącym żadnych nowych źródeł dochodu i zatrudnienia.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach, posiadacze oszczęd-

ności uważają się już za zagrożonych lub nawet zrujnowanych i zaczynają żyć jeszcze oszczędniej, ograniczając wydatki bieżące, co z kolei prowadzi do powszechnej niewypłacalności i lawinowego biegu dalszych wypadków. "Kto boi się bezpodstawnie, zasługuje na to, aby mieć do tego prawdziwą przyczynę. Qui vanum metum timet, verum meretur", powiada Seneca Tragedus. Taki jest zazwyczaj bieg kryzysów. W 1928-1929 widzieliśmy też w Europie Zachodniej modę na oszczędność, która — jak wszystkie mody — wzięła początek w kołach najzamożniejszych. Coś podobnego można już zauważyć w Szwajcarii. Przywóz skurczył się ostatnio niepomiernie, tworząc niepokojącą nadwyżkę wywozu. Kto wykupi produkowane w Europie w coraz większym rozmiarze towary, jeżeli nie chcą tego robić nawet Szwajcarzy, mający za granicą tyle najlepszych franków?

Zjawiska te dają wiele do myślenia. Zasięg ich nie ogranicza się do samej Szwajcarii, bo jest skutkiem rozpadnięcia się Europy na kraje o mniej lub więcej autarkicznej gospodarce kierowanej oraz ogólnego braku zaufania. Głód towarowy pierwszych lat powojennych został z gruba — w granicach zamożności mieszkańców — zaspokojony. Cyfry produkcji osiągnęły dla wielu krajów i gałęzi przemysłu poziom przedwojenny. Mimo to wszędzie widzimy miliony bezrobotnych, niedożywionych i niezadowolonych, obok miliardów oszczędności nie znajdujących lokaty. Wyrównanie tych rozbieżności wymaga w pierwszym rzędzie jakiejś wspólnej polityki europejskiej i powrotu zaufania. O tym ostatnim mówimy w znaczeniu ogólnym, obejmującym zarówno zaufanie do państw poszukujących kredytu jak zaufanie do przyszłości Europy.

Ani o jednym ani o drugim nie ma na razie mowy. Niewypłacalność najbogatszych nawet państw Europy stała się od 1931 zjawiskiem stałym. Gospodarka kierowana weszła wszędzie na drogi nie budzące zaufania ani własnych ani obcych posiadaczy oszczędności. Z drugiej strony Europa Zachodnia, sąsiadująca teraz bezpośrednio z kolosem sowieckim, znalazła się cała w strefie zagrożonej, tj. w położeniu, w jakim przed wojną znajdowała się Polska, Rumunia i Czechosłowacja, którym bankierzy Zachodu nie chcieli z tej racji pożyczać pieniędzy. Do tego dodać wypada, że ludność tych ostatnich krajów była młoda wiekiem, czupurna i zawzięta, gdy ludność Zachodu jest starsza i sceptyczna.

Skurczenie się Europy do krajów przyatlantyckich ma też nie małe konsekwencje gospodarcze. Czy zachodnia część Europy potrafi na dłuższą metę obyć się bez części rolniczej kontynentu? Pytanie to postawił niedawno jeden z dzienników zuryskich. Najbliższe miesiące mogą nań przynieść odpowiedź przeczącą. Gromadzące się w Europie Zachodniej oszczędności nie znajdują lokaty, może się więc okazać, że i produkowane w niej towary nie znajdą nabywców. Różne zabiegi mogą oczywiście rozszerzyć pojemność rynku wewnętrznego, do tego jed-

nak jest jeszcze bardzo daleko. Kryzys może przybrać formy ostre zanim Europejczycy zachodni zdobędą się na użyteczne w tej materii decyzje.

Sytuacja ta każe przypuszczać, że plan Marshalla wydał już wszystko czego można się było po nim spodziewać. Przyniósł Europie wiele amerykańskich towarów, maszyn i dolarów, ale nie przyniósł poczucia bezpieczeństwa i zaufania do własnej przyszłości. Czy ludy zagrożone stale w swej egzystencji mogą racjonalnie gospodarować? Doświadczenia ostatnich lat wskazują, że jest to możliwe, ale tylko w pewnych granicach, które w Europie Zachodniej wydają się już osiągnięte.



Opinia amerykańska zdaje się być jeszcze niezdecydowana w ocenie wyników pierwszego pięciolecia zimnej wojny. Niektórzy mówią tam nawet o nieuniknionej klęsce komunizmu. Widziana z Europy, zimna wojna nie dostarcza takich złudzeń. Od kilku miesięcy zwłaszcza jest jasne, że została przez Amerykę przegrana. Z okazji zbliżającego się jubileuszu spróbujmy podsumować jej najogólniejsze wyniki.

Amerykańscy neofici machiawelizmu sądzą, że pokój czy status quo w stosunkach z Rosją da się przez dłuższy czas utrzymać przez podział świata na stony wpływów odpowiadające sile obu partnerów. Takie rzeczy widywano już w przeszłości. Granice wytyczone przez kongres wiedeński w Europie Wschodniej utrzymały się przez lat sto. Biegły one po liniach, z których teoretycznie wojska jednego cesarza nie potrafiłyby na dłuższą metę wyprzeć wojsk drugiego cesarza. Wzajemne równoważenie się sił naciskających z obu stron na granicę jest pewną gwarancją jej stałości, przypuściwszy niezmienną pozostałych składników sytuacji.

W 1943-1945 oceniano mylnie siły obu partnerów. Stany Zjednoczone nie posiadają tradycji imperialistycznych. Ich ludność nie ulega czarowi zwycięstw, podbojów i panowania nad resztą świata. Już więc dla tej przyczyny Stany Zjednoczone nie mogły wywierać na linię podziału nacisku równie silnego jak strona przeciwna.

Linia podziału miała zrazu charakter zawily, pełna enklaw i zazębien zacieśniających sytuację, zwłaszcza dla patrzących z daleka. W Europie, na wschód od linii demarkacyjnej, Amerykanie posiadali pewne wpływy na znajdujące się tam ludy, ciągnące od wieków ku zachodowi i odporne na sowietyzację. Rosja posiadała wzamian w stonie amerykańskiej potężne partie komunistyczne. Posiadanie przez każdego z partnerów pewnych pozycji na terenie stony przeciwnej stwarzało złudzenie równowagi. W Azji istniały państwa buforowe, na których terenie zmagaly się wpływy obu wielkich antagonistów.

Jak obraz ten przedstawia się w końcu tego roku zimnej wojny? W Europie Amerykanie utracili wszelkie wpływy na wschód od linii demarkacyjnej, z wyjątkiem Jugosławii, gdzie

po pewnych fluktuacjach sytuacja wróciła do stanu z 1945. Przez pewien czas wydawało się, że partie komunistyczne tracą grunt w krajach położonych na zachód od linii demarkacyjnej, ale rok ostatni przyniósł ich ponowną konsolidację. Nie zapowiada w najbliższej przyszłości osłabienia tego narzędzia polityki sowieckiej w stonie wpływów amerykańskiej. Linia zatem właściwego zmagania się wpływów obu antagonistów przeniosła się na zachód od linii demarkacyjnej, do wnętrza stony amerykańskiej. Po drugiej stronie linii Stany Zjednoczone nie posiadają nic; nawet ich przedstawicielstwa dyplomatyczne są w stonie likwidacji i nie potrafią już bronić życia i interesów własnych obywateli w stonie sowieckiej.

Utrata tych pozycji stała się faktem oczywistym. Pewien publicysta amerykański pisał niedawno, że utrzymanie przy życiu 20 partyzantów ukraińskich miałyby dla Stanów Zjednoczonych większą wartość od wszystkich tzw. zwycięstw dyplomatycznych przy zielonym stole. Jest to spóźnione, chociaż pobożne życzenie. Z 20 partyzantów większość została już dawno rozstrzelana, pozostali zaś przy życiu stroną od Anglosasów. Partyzantka jest rzeczą serio, bardzo niebezpieczną, wymagającą niezłomnej wiary w słuszność swej sprawy. Biorący się do niej muszą więc z natury rzeczy, chociażby przez elementarną ostrożność, patrzeć podejrzliwie na wszelkich oportunistów i machiawelczyków. Przy obecnym stanie rzeczy nie ma żadnych widoków na odzyskanie przez Stany Zjednoczone pozycji utraconych wewnątrz stony sowieckiej.

Bilans zimnej wojny w Azji jest jeszcze bardziej uderzający. Z przyczyn niejasnych dla Europejczyków Stany Zjednoczone zrezygnowały z obrony swych pozycji w Chinach, i największe państwo Dalekiego Wschodu znalazło się w obrębie bloku sowieckiego. Front zmagania się wpływów sowieckich i amerykańskich przeniósł się nagle daleko w głąb krajów, które przed rokiem zdawały się należeć bezspornie do stony wpływów amerykańskich. Na całym kontynencie azjatyckim Stany Zjednoczone znajdują się w obecnej chwili w defensywie i — jak można wnosić z mglistych oświadczeń ich mężów stanu — liczą się z utratą dalszych pozycji jeśli nie całego kontynentu.

Mocarstwa praktykujące politykę czystej siły, aby nie stać się po wojnie ofiarą własnego sprzymierzeńca, zachowywały zazwyczaj możliwość odwrócenia aliansów i sprzymierzenia się z byłymi wrogami przeciw wczorajszym sojusznikom. Polityka taka może mieć różne skutki. Praktykowana cynicznie przez rządy słabe, bez poczucia umiaru i rzeczywistości, może mieć nawet najgorsze następstwa, jak o tym można sądzić z ostatniego okresu historii Wielkiej Brytanii. Niemniej jednak posiada — w granicach czystej gry sił — dobre umotywowanie i w rękach rządu silnego, wolnego od przesądów moralnych czy religijnych, może oddać doraźne usługi.

Zaufane w własną przewagę i mylnie oceniając trwałość

alianisu z Rosją, Stany Zjednoczone zrezygnowały z góry z takich zabezpieczeń na przyszłość. Podczas wojny dążyły do całkowitego złamania raz na zawsze siły zbrojnej swych przeciwników. Okupacja amerykańska krajów pobitych była dalszym ciągiem tej polityki. W rezultacie z dawnych przeciwników Rosji Sowieckiej pozostały tylko ludy całkowicie rozbrojone, niezdolne do obrony własnego terytorium i zmuszone do liczenia w tej mierze na Stany Zjednoczone. W ciągu dwu lat ostatnich Amerykanie podjęli różne usiłowania w celu częściowego przynajmniej odtworzenia sił zbrojnych niemieckich, ale próby te spełziły na niczym. Byli przeciwnicy, znajdujący się niemal w komplecie w zonie wpływów amerykańskiej, są dla Stanów Zjednoczonych jedynie biernym ciężarem i żaden z nich nie może być dla nich czynnym, chociażby nawet słabym, sprzymierzeńcem na wypadek otwartego konfliktu z Unią Sowiecką.

Nie wiele lepiej wyglądają wczorajsi alianci Stanów Zjednoczonych. W pierwszych latach wojny mężowie stanu amerykańscy w swej neutralnej izolacji przyglądali się biernie jak Hitler ścierał na miłki wapno wszystkie państwa ośmielające się stawić czoło armii niemieckiej. Siła zbrojna tych niegdyś potężnych krajów została złamana. Ani każde z osobna, ani nawet wszystkie razem państwa te nie mogą stawić oporu ewentualnej inwazji sowieckiej. Wszystkie wyglądają na przyszłe ofiary ewentualnej wojny. Żadne nie ma powodów oczekiwania od tej ostatniej czegoś innego od ruiny i zagłady. Słusznie więc obawiają się wojny i wszelkich incydentów mogących ją wywołać. Sama sytuacja zmusza je do największej ostrożności i unikania wszelkiego ryzyka. W konflikcie zbrojnym czy w zimnej wojnie Stany Zjednoczone nie mogą na nie liczyć jako na czynnych aliantów.

Nie tylko jednak państwa europejskie zmuszone są do ostrożności. Po nagłym upadku alianisu z Rosją i opartego na nim systemu, Stany Zjednoczone musiały z dnia na dzień przywracać równowagę i bronić najbardziej zagrożonych punktów. Zrazu były to doraźne gwarancje udzielone Turcji, Grecji i Włochom, potem różne pakti zbiorowe. Realna wartość tych zobowiązań polega oczywiście na przypuszczeniu, że Moskwa da się zastraszyć amerykańskimi deklaracjami i stojącą za nimi bombą atomową. W przeciwnym bowiem razie nie widać wcale jakimi środkami Stany Zjednoczone mogłyby bronić np. Grecji, zwłaszcza od kiedy Unia Sowiecka posiada też swe bomby atomowe. Cały system zachodni jest na razie tworem improwizowanym i chwiejnym. Wystawiony na próbę ogniową mógłby łatwo zmienić się w stos czeków bez pokrycia.

Już pierwsze tygodnie ewentualnego konfliktu zbrojnego mogłyby zmieść cały ten papierowy budynek, pozostawiając na placu tylko właściwy trzon półkuli zachodniej, oceaniczną wspólnotę ludów języka angielskiego. Zresztą jeden z jej głównych

ośrodków, "Airstrip 1" Orwella, znalazły się od razu w samym środku ognia i zamętu. Takie wstępne wyjaśnienie sytuacji przesądziłoby też wynik konfliktu. Wojny z Unią Sowiecką Oceania nie mogłaby wygrać na Malabarach ani w Afryce ani nawet we Francji, lecz tylko na równinach Eurazji, w samym środku terytorium przeciwnika. Dla ludów rozsianych po kilku "airstrips" Oceanii zadanie takie, pojęte jako operacja techniczno-wojskowa, jest nierozwiązalne. Oczywiście Oceania mogłaby się skutecznie bronić nawet przez bardzo długi czas, lecz dla pozostałego świata byłoby to już bez większego znaczenia.

Odmienna struktura obu bloków sprawiła, że nacisk na linię podziału był nierówny. Po jednej stronie linii znajdował się blok pod wspólnym dowództwem wojskowym, rządzony żelazną ręką monopartii; po drugiej dość luźna grupa ludów bez wspólnego kierownictwa i wspólnej polityki.

Zimna wojna jest wojną grózb, szyskan i prowokacji. Waga grózb mierzy się jednak ostatecznie siłą doraźną grożącego, jego gotowością do wojny gorącej. Wysoka ocena tego stopnia gotowości u przeciwnika może jedną ze stron zmusić do ustępstw i poszukiwania kompromisu. W tym wypadku możemy mówić o wygraniu zimnej wojny przez jedną ze stron.

Cokolwiek sądzić o istotnej sile obu bloków w razie otwartego konfliktu, przez cały czas trwania zimnej wojny było jasne, że Stany Zjednoczone i ich alianci nie są w najmniejszym stopniu gotowi do kroków zbrojnych. Gotowość taka nie leżała ani w ich systemie politycznym ani w zamiarach. Od samego więc początku nie było mowy o tym, aby Moskwa mogła się ich grózb przestraszyć i czuć się zmuszona do ustępstw. Propozycje kompromisów wychodziły zresztą przez cały czas tylko z Waszyngtonu. Propozycje takie wyjdą ze strony sowieckiej dopiero wówczas, kiedy Moskwa uzna, że dalsza zimna wojna stała się ryzykowna, zdobycze zaś dość wielkie, aby próbować nowego podziału świata na zupełnie innych od poprzednich, znacznie korzystniejszych warunkach. Można się było ich spodziewać po zajęciu przez armie komunistyczne Chin, okazało się jednak, że i ten wypadek nie stworzył sytuacji odpowiadającej dwum wymienionym wyżej warunkom. Od pierwszego więc dnia zimna wojna była dla Stanów Zjednoczonych przegrana, i dlatego właśnie Moskwa mogła ją rozpocząć nie ponosząc żadnego ryzyka.

Najślabszą kartą w rękach Stanów Zjednoczonych okazała się w tym okresie bomba atomowa. Dla widza europejskiego jest rzeczą niezrozumiałą, dla jakich przyczyn mężowie stanu amerykańscy upatrywali w tym wynalazku źródło swej przewagi nad Unią Sowiecką, ponieważ już po wybuchu pierwszej bomby w Hiroszimie stało się jasne, że posiadanie tej broni sprawi Stanom Zjednoczonym wiele kłopotu.

Bomba atomowa jest z natury swej bronią ofensywną, mało przydatną dla celów obrony. Jej wyłączne posiadanie może dać wielką przewagę, lecz tylko temu, kto jest zdecydowany prze wagę tę wykorzystać zaraz i w pełnym rozmiarze. Brak takiej decyzji odbiera bombie atomowej niemal wszelką wartość, zarówno doraźnie jak na dłuższą metę. W ciągu kilku lat Stany Zjednoczone były w możności nie tylko wygrania zimnej wojny, ale zmuszenia władców Kremla do porzucenia swych zdobyczy i cofnięcia się do dawnych granic. Wystarczyłoby zapewne wystosowanie do Moskwy jasno sformułowanego ultimatum. Gdyby władcy Kremla mieli pewność, że samoloty z bombami atomowymi o oznaczonej godzinie istotnie wystartują, i że Stany Zjednoczone wzięły na siebie ryzyko tej decyzji, nie pozostałoby im nic innego jak wyciągnąć wnioski z niewątpliwej przewagi przeciwnika. Konstytucja, zwyczaje i tradycje nie dawały jednak rządowi Stanów Zjednoczonych takich możliwości. Wręcz przeciwnie, władcy Kremla byli całkowicie pewni, że rząd Stanów Zjednoczonych nie rozporządza swobodnie swymi bombami i nie może na siebie wziąć nawet małego ryzyka wojny prewencyjnej. Pewność ich była tak niezachwiana, że sami weszli na drogę gróźb i prowokacji, jak gdyby amerykańskie bomby atomowe nigdy nie istniały. Posiadanie więc tej broni w okresie zimnej wojny nie dostarczyło Stanom Zjednoczonym najmniejszej korzyści.

Ktoś mógłby zauważyć, że gdyby nie obawa przed amerykańską bombą atomową, armie sowieckie byłyby już dawno zajęły całą Europę. Jest to możliwe, ale nie istotne. Mobilizacja jest w Unii Sowieckiej operacją delikatną. Zwłaszcza w pierwszych latach powojennych był to krok ryzykowny. Zimna wojna natomiast nie sprawia z tej strony żadnych kłopotów. Wybierając zimną taktykę, Moskwa bez żadnych kosztów i najmniejszego ryzyka wzięła w posiadanie Chinę, w Europie zaś odepchnęła od linii demarkacyjnej wszelki nacisk amerykański. Nie jest bynajmniej jasne czy wojna gorąca okazałaby się dla Moskwy równie korzystna. Jeżeli więc wybór zimnej taktyki był spowodowany obawą przed amerykańską bombą atomową, można twierdzić, że posiadanie tej bomby przez Stany Zjednoczone okazało się dla Moskwy prawdziwym błogosławieństwem.

Również na dłuższą metę bomba atomowa zdaje się grozić Stanom Zjednoczonym niezliczonymi trudnościami. Posiadanie przez nie broni otoczonej tak wielką reklamą zmusza przeciwników do fabrykacji takich samych lub w miarę możliwości jeszcze skuteczniejszych środków zniszczenia. Utrzymanie zaś tajemnicy fabrykacji bomby atomowej było największym złudzeniem, które mogło powstać tylko z niezajomości świata nauki i laboratoriów u ludzi zajmujących się polityką.

Bomba atomowa jest jednym z zastosowań praktycznych ogromnego i narastającego wciąż zespołu wiadomości, które

nigdy nie stanowiły tajemnicy. Wydzielenie z tego zespołu jakiegoś fragmentu i zamknięcie go pod klucz jest marzeniem oderwanym od rzeczywistości. Sekrety techniczne fabrykacji nie dawały się nigdy długo utrzymać. Patentów przemysłowych bronią nie sekrety fabrykacji, ale prawo. Jeszcze trudniej utrzymać taki sekret w dziedzinie, gdzie koszty produkcji nie grają żadnej roli.

Poza tym zachowanie przez Stany Zjednoczone wyłączności posiadania broni atomowej wymagałoby, aby wszyscy specjaliści w tej dziedzinie byli — jeżeli chodzi o konkurencję z Unią Sowiecką — stronnikami Ameryki. Widzimy natomiast coś wręcz odmiennego: wśród fizyków, uczonych i techników komuniści wierzący są równie liczni, jeżeli nie liczniejsi niż w innych grupach zawodowych. Warunki rekrutacji i egzystencji, liczba zatrudnionych, jednostronność wykształcenia i zależność od kosztownych narzędzi pracy sprawiły, że ludzie laboratoriów są obecnie czymś bardzo różnym od tego czym byli jeszcze przed pół wiekiem. Pierwsi badacze ciał radioaktywnych myśleli o zastosowaniach lekarskich swych odkryć i wysłuchaliby ze zdumieniem i oburzeniem propozycji fabrykowania narzędzi śmierci i zniszczenia. Kiedy w 1915 prezes Kaiser Wilhelm Institut'u, Fritz Haber, podjął się kierowania wyrobem materiałów wybuchowych i gazów trujących dla armii niemieckiej, decyzja jego wywołała wielkie poruszenie wśród uczonych niemieckich. Atmosfera moralna laboratoriów zmieniła się bardzo od tego czasu. Wszelki sąd wartościujący uchodzi w nich za pozbawiony sensu. Kierownicy ich mają jeszcze mniej skrupułów niż Fritz Haber. Wyzwoleni z przesądów są jednakowo dostępnymi dla propozycji Moskwy i Waszyngtonu. Dr Claus Fuchs jest tylko ilustracją znacznie szerszego procesu trawiącego świat laboratoriów.

Wątpliwe jest też mniemanie jakoby wiedza potrzebna do fabrykacji bomb atomowych miała większe szanse rozwoju w warunkach względnej swobody badań na Zachodzie niż pod ferułą Berii. Podejmując się wyrobu bomb — wszystko jedno na czyj użytek — uczeni rezygnowali z góry z wolności badań, której poprzednie pokolenia przypisywały tak wielkie znaczenie. Dopóki uczeni fizycy badali przemiany zachodzące na słońcu, obywatele mogli się nie interesować ich dociekaniem. Żadne jednak społeczeństwo nie wydawało uczonym patentu na wyrób bomb atomowych i nie może pozostawić bez nadzoru tego rodzaju badań. Wchodząc na tę drogę uczeni musieli sobie zdawać sprawę z tego, że odtąd — bez względu na to, komu zamierzają służyć — będą musieli wszędzie przyjąć warunki pracy zbliżone do tych, jakie może im ofiarować Ławrentij Beria. Wyrzeczenie się przez specjalistów wolności badania wskazuje, że warunek ten uważali najwidoczniej dla siebie za nieistotny.

Nie jest też jasne, czy demokracja może posiadać na swój

wyłączny użytek równie niebezpieczne narzędzie śmierci i zniszczenia, nie popadając w konflikty wewnętrzne. Operowanie nimi wymaga zbyt wielu tajemnic i nagłych decyzji, do których lud, rozstrzygający sprawy w długich dyskusjach i głosowaniach, nie jest skłonny. Bomby atomowe zdają się być bardziej na miejscu wśród rekwizytów dyktatury niż w arsenale demokracji. Zniechęcony do nich lud suwerenny może powziąć różne dyskusje: zniszczenia ich, dywulgacji ich sekretu, zawarcia z wrogami niekorzystnych w tym przedmiocie umów itd. Czy augurzy strzegący bomb — o ile mają poczucie osobistej odpowiedzialności — nie ulegną pokusie oparcia się decyzjom ludu? O tym dowiemy się później. Jasne jest tylko, że lud posiadający tak niebezpieczne narzędzia śmierci nie jest już tak swobodny w swych decyzjach jak przed ich posiadaniem. Władzę swą musi dzielić ze specjalistami, do których słusznym tytułem nie może mieć większego zaufania.

Leon FURATYK.

EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej, Rosji oraz Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Numer za kwiecień 1950 r. zawiera m. in. artykuły: Fr. Honti'ego: The Future of the Peoples of Central and Eastern Europe. W. H. Chamberlin'a: American Rethinking on Eastern Europe. W. Żylińskiego: The Russian Church in soviet Politics. Duchess of Atholl: The British League for European Freedom. J. Libracha: Defence of Yalta. Juridicus'a: The Yalta Conference Decision regarding Poland, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd książek.

Cena: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra), prenumerata roczna 12/-

**WYDAWCA: The Morven Press Limited,
32, Bolton Gardens, London, S. W. 5; England**

Listy z wyspy

(Od londyńskiego korespondenta "KULTURY")

Polscy publicyści popełniają często błąd, który bierze swe źródło z nawyku lat wojny; uważają każdy sukces Anglosasów za nasz sukces a każdą klęskę Anglosasów i za naszą klęskę. Ten bezwzględny automatyzm wiązał nas z zachodnimi sprzymierzeńcami tylko w walce przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Dziś obowiązuje tylko w negatywnej skali tj. w skali klęski. Każda przegrana Anglosasów w zmaganiach z Rosją jest automatycznie i naszą klęską. W skali pozytywnej automatyzmu niestety nie ma. Cele polityki anglosaskiej nie pokrywają się bowiem całkowicie z naszymi.

Przed wszystkim musimy mieć w pamięci, że polityka mocarstw anglosaskich zmierza w chwili obecnej do utrwalenia pokoju, którego szkieletem jest Jalta. Kardynalną wadą obecnego pokoju jest jego kruchość. Gdyby jednak ów kruchy pokój udało się wzmocnić i zakonserwować — oceniono by to w Londynie i w Waszyngtonie jako olbrzymi sukces.

Wielką debatę w Izbie Gmin nad polityką zagraniczną w czasie której Churchill wygłosił mowę proponując m. in. wzmocnienie sił zachodnich oddziałami niemieckimi — można streścić dokładnie w jednym zdaniu: co zrobić aby nie dopuścić do wojny.

Środkiem jaki ma wieść do tego celu jest budowa systemu politycznego, który by odtworzył zachwianą równowagę sił. W tych dniach (pierwsza dekada kwietnia) przypada pierwsza rocznica podpisania Paktu Atlantycznego oraz druga rocznica Planu Marshalla. 1-go kwietnia zakończyły się w Hadze obrady ministrów obrony krajów paktu atlantyckiego w czasie których uzgodniono i przyjęto wspólny plan strategiczny obrony. Duński minister marynarki i wojny W. F. Schokking oświadczył korespondentowi "Observera", że plan — o ile zostanie na czas wykonany — uchroni Europę zachodnią od inwazji.

Pakty, układy, plany oraz dziesiątki międzynarodowych organizacji, które w ostatnich dwóch latach powstają jak grzyby po deszczu — stanowią instrumenty wielkiej polityki odbudowy światowej "balance of Power".

Wyzwanie Rosji pod adresem Anglosasów idzie w dwóch kierunkach:

1) ściśle techniczno wojskowym — oraz 2) Socjalnym. Tzw. "zimna wojna" prowadzona jest głównie na drugim odcinku.

Na podstawie materiałów dostępnych w Londynie oraz danych przytoczonych przez prasę brytyjską — m. in. przez Alan Moorhead'a — można w przybliżeniu zdać sobie sprawę z realnych rozmiarów sowieckiego zagrożenia w skali wojskowo-technicznej.

Armia czerwona jest w chwili obecnej silniejsza liczebnie niż armie Unii Zachodniej i St. Zjednoczonych łącznie. Na linii Lubeka — Triest Rosjanie mają około 30 dywizji stałych garnizonów. Garnizony te mogą być w przeciągu kilku dni wzmocnione do 90 dywizji.

W powietrzu armia czerwona dysponuje zdecydowaną przewagą. Większość zachodnich rzeczoznawców oblicza sowieckie lotnictwo na 15 do 20 tysięcy samolotów różnych typów w tym myśliwce o napędzie odrzutowym i ulepszone modele super-fortec B.29. Rosjanie mają dziś największe osiągnięcia w lotnictwie polarnym i w razie wojny mogliby osiągnąć kontynentu Kanady i St. Zjednoczonych również drogą północną.

Produkcję czołgów ocenia się na ponad 1.500 maszyn rocznie. Czerwona flota posiada około 250 łodzi podwodnych w tym znaczny procent najnowszych modeli, budowanych przez niemieckich specjalistów.

Rosjanie przystąpili już do magazynowania bomb atomowych. Według źródeł brytyjskich, rosyjska produkcja bomb atomowych wynosi około 25 sztuk rocznie.

Jakie siły znajdują się po drugiej stronie barykady?

W Niemczech, w Austrii i w Trieście znajduje się około 150 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Wojsk brytyjskich jest mniej więcej również 150 tysięcy. I właściwie na tym koniec. Francja posiada nieliczne garnizony w Austrii i w Niemczech oraz najlepsze swe wojska w... Indochinach, Holandia, Belgia, Norwegia, Dania (i zachodnie Niemcy) — potrzebowałyby wydatnej pomocy wojskowej już w pierwszym dniu wojny, by móc w ogóle przystąpić do obrony własnych granic.

Być może, że znając dokładnie sytuację wewnątrzno-polityczną Rosji sowieckiej można by dokładniej odpowiedzieć na pytanie — dlaczego Moskwa nie ryzykuje wojny? Dysponując jednak tylko informacjami jakie dostępne są dla publicysty w Londynie — sądząc, że odpowiedź na to pytanie zawierać winna dwa następujące punkty: po pierwsze St. Zjednoczone dysponują jeszcze ciągle olbrzymią przewagą w broni atomowej. Po drugie "zimna wojna" przynosi Rosji jeszcze ciągle takie sukcesy jak regularna wojna, a natomiast bez ryzyka i kosztów.

Jeżeli chodzi o sproście wyzwanie Rosji w sferze wojskowo-technicznej plan działania wydaje się dość prosty. Eksperci anglosascy oceniają, że St. Zjednoczone będą jeszcze dysponowały zdecydowaną przewagą atomową przez okres 3 do 5 lat.

W tym czasie należy odbudować militarny potencjał krajów paktu atlantyckiego. Siły te muszą mieć zaplecze potężnych przemysłów. Ale w sumie jest to sprawa w pierwszym rzędzie — pieniędzy.

Niewspółmiernie trudniejsze wydaje się zagadnienie sprościa wyzwaniu Rosji w dziedzinie socjalnej. Tu bowiem nie wystarczy pieniądze. Aby zwycięsko stawić czoło temu wyzwaniu trzeba by zdecydować się na przebudowę, a w wielu wypadkach na rewolucję. Wydaje mi się również, że nie w strategicznym planie atlantyckim przyjętym w Hadze, ani nie w Fontainebleau gdzie powiewa sztandar Unii Zachodniej — spoczywają klucze do zwycięstwa w "zimnej wojnie". A "zimną wojnę" wygrać musimy — bo przegranie jej oznaczałoby zwycięstwo Rosji nad światem bez wojny. (To jest zresztą cel ku któremu zmierza cała polityka sowiecka).

Wyzwanie socjalne Rosji pod adresem Anglosasów jest problemem dwu-twarzowym. Stwarza bowiem konieczność przebudowy demokracji oraz rewizji problemu ludów kolorowych.

Jest rzeczą zdumiewającą jak wielu — zwłaszcza amerykańskich mężów stanu i polityków usiłuje po dziś dzień propagandowymi mowami przekonywać ludy Azji, że Rosja niesie im niewolę i wyzysk. Rewolucjonista inteligent w Chinach, na Złotym Wybrzeżu, czy w Indo-Chinach nie ma sposobności kontaktowania się z górnikami polskim, z kolchoźnikiem w Uzbekistanie czy z łagiernikiem na Kołymie. Kultura zachodnia wyposażyła inteligencję kolorową w świadomość narodową i w poczucie socjalne. Równocześnie ludzie ci nie mieli w swych krajach możliwości działania. Jedyną otwartą drogą — była rewolucja przeciw obcym, którzy zajmują miejsca im należne. Argumenty o rosyjskim wyzysku wypowiedane przez reprezentantów narodów obecnych czy byłych "panów kolonialnych" — muszą trafiać w próżnię.

Rosja ofiarowuje kolorowej inteligencji ideę całkowitej równości rasowej oraz pomoc w walce przeciw obcym. Stwarza im również możliwość działania politycznego i społecznego w ich własnym kraju. I tak oto Rosja zbiera dziś owoce anglosaskich inwestycji zarówno finansowych jak kulturalnych.

Nie należy do rozwoju wypadków w Azji przykładać szablonów z Europy wschodniej. Tylko finalny cel polityki sowieckiej jest ten sam w Polsce co i w Chinach — lecz mimo to obu tych sytuacji nie można w ogóle porównywać. Żaden np. z wielkich przywódców komunistycznych w Azji nie jest Bierutem wytrenowanym w Rosji. Nawet komunista tej miary co Mao-Tse-Tung był pierwszy raz w życiu w Rosji w lutym br. z okazji podpisania w Moskwie układu rosyjsko-chińskiego.

W znakomitej większości rewolta przeciw Zachodowi w Azji i w Afryce prowadzona jest przez inteligentów i intelektualistów kolorowych, którzy zdobyli swe wykształcenie na uniwersytetach angielskich i amerykańskich, a nie w Moskwie.

Zagadnienie ludów kolorowych jest problemem złożonym, który obejmuje cały wachlarz spraw trudnych i skomplikowanych. Ale warunkiem pozyskania zaufania ludów kolorowych i przeciwstawienia się Rosji na tym odcinku "zimnej wojny" — musi być rewolucyjna zmiana stosunku białych do kolorowych.

Świetny pisarz amerykański, murzyn Richard Wright trafił w samo sedno, stwierdzając, że "nie ma zagadnienia kolorowych — jest tylko zagadnienie białych".

Ostatnio w Anglii sprawa Seretse Khama (absolwenta jednego z ekskluzywnych uniwersytetów angielskich) ożenionego z Angielką — nabrała niebywałego rozgłosu. Seretse Khama jest przywódcą szczepu Bamangwato.

Afryka — w miarę jak maleją wpływy Zachodu w Azji — wysuwa się na pierwszy plan. Czarny ład jest również głównym dostawcą zasadniczego surowca koniecznego do produkcji bomb atomowych.

Propaganda komunistyczna z jednej strony — rasistowska polityka rządu południowo-afrykańskiego Dr Malana z drugiej strony — wytwarzają niezmiernie trudną sytuację dla władz angielskich. Wydaje się, że najwłaściwiej ocenił sytuację "The Economist", który potępił stanowisko rządu brytyjskiego i domagał się, by zezwolono Seretse Khama na powrót do jego szczepu. Konflikt jaki ewentualnie wyniknąłby między nim a obecnym regentem — byłby mniejszym złem — niż rozgłos całej sprawy, która powoduje w Afryce spadek popularności rządu brytyjskiego oskarżanego o niesprawiedliwość i brak tolerancji.

Jakkolwiek ważne jest zagadnienie ludów kolorowych w Afryce i w Azji oraz pozyskanie ich współpracy w walce z komunizmem rosyjskim — to jednak wydaje się, że "front wewnętrzny" jest decydującym teatrem "zimnej wojny".

Każdy bezstronny obserwator wypadków politycznych na Zachodzie musi w rezultacie swych rozważań postawić pytanie: czy demokracje są w ogóle zdolne do prowadzenia "zimnej wojny"?

Sprawa dr Fuchsa, który pracując w Anglii przez szereg lat bezkarnie przekazywał Rosji tajemnice atomowe, fakty o aktywności komunistycznej ujawnione przez Lorda Vansittarta w Izbie Gmin w dn. 29 marca — rzucają cień beznadziejności na całe zagadnienie. Nie chcę przez to powiedzieć, że Anglia opanowana jest do tego stopnia przez komunistów i ich współ-pasażerów, iż sytuację należałoby określić jako beznadziejną. Wprost przeciwnie, uważam, że całkowitą słuszność miał Lord Kanclerz Jowitt, który w odpowiedzi Vansittartowi oświadczył, że Anglia jest najmniej skomunizowanym krajem na świecie. Nie komuniści są w tej chwili w Anglii groźni. Groźną natomiast jest fałszywie pojęta tolerancja ich przeciwników.

Przedwcześnie zmarły świetny pisarz George Orwell w swym studium wydanym jeszcze w r. 1942 pt. "Culture and Demo-

cracy" przeprowadził pełną pasji krucjatę przeciw pacyfistom, których naczelnym hasłem był slogan: kto walczy z faszystami sam staje się faszystą. (Jakby ktoś walcząc np. z murzynami sam mógł się stać murzynem).

Hasło to w zmienionej wersji obowiązuje dziś wobec komunistów. Oczywiście, komuniści są w daleko lepszej sytuacji, albowiem w czasie wojny z hitlerowskim faszyzmem — faszyci wyjęci byli spod prawa natomiast w czasie trwającej obecnie wojny z sowieckim komunizmem demokracja angielska deleka jest od potraktowania własnych komunistów za piątą kolumnę nieprzyjaciela.

Było coś niezmiernie wzniosłego i wspaniałego w słowach Lorda Jowitt'a, wypowiedzianych w czasie debaty nad rewelacjami Vansittarta: "Choć nie podzielam opinii Dr H. Johnsona — jestem szczęśliwy, że ma prawo swobodnie je wyowiadać". (Dr H. Johnson jest tzw. Czerwonym Dziekanem Canterbury i stałym członkiem redakcji komunistycznego "Daily Worker").

Mimo całego podziwu dla kultury brytyjskiej trudno wstrzymać się od gorzkiej refleksji, że w danym wypadku najwyższa zdobycz demokracji, tj. tolerancja pracuje na zgubę demokracji.

W rezultacie dojść się musi do wniosku, że demokracja nie nadaje się do prowadzenia żadnej wojny — ani "zimnej" ani "gorącej". Demokracja w pełni swych obywatelskich swobód i tolerancji kwitnąć może tylko w okresie pokoju.

Zachód tak długo będzie w defensywie dopóki Anglosasi nie uświadomią sobie w pełni, że "zimna wojna" wymaga takiej samej przebudowy ustroju demokratycznego jak prawdziwa wojna. Takiego samego ograniczenia swobód i tolerancji, takiej samej prawdziwej koalicyjnej polityki zagranicznej, takiego samego jednolitego, zdecydowanego kierownictwa. A przede wszystkim takiego samego traktowania wroga. W okresie "zimnej wojny" wróg musi być traktowany za wroga jak w prawdziwej wojnie, a nie za obywatela, który jest... nieco odmiennego zdania.

Będzie to wymagało olbrzymiego wysiłku wyobraźni od Anglików i Amerykanów, lecz nie waham się twierdzić, że bez przedstawienia demokracji na tor całkowicie wojenny — zwycięstwo w "zimnej wojnie" nie jest do osiągnięcia.

W St. Zjednoczonych — mimo, że niebezpieczeństwo jest przerażliwie widoczne i oczywiste — dominuje "mentalność konsumenta" — typowy wytwór kapitalistyczno-przemysłowej kultury. Hedonistyczna filozofia "dobrego życia": samochody, lodówki, telewizja — mit o pokoju, który poświęcono na najwyższy cel polityki zagranicznej — wszystko to demobilizuje masy.

Owa "mentalność konsumenta" przeżera również zachodni socjalizm, który wyspecjalizował się w przetargach z kapitalistami, jakby owe targi były całym jego programem. Zastanawiałem się niejednokrotnie co zrobiłyby związki zawodowe ze

swą gigantyczną maszyną organizacyjną, gdyby zniknął z powierzchni... ostatni kapitalista.

Wojna "zimna" czy "gorąca" wymaga dwóch rzeczy: powszechnej mobilizacji i wizji zwycięstwa. Churchill dał narodo- wi brytyjskiemu w czasie wojny z Niemcami jeszcze trzeci nie- zmiernie ważny czynnik: przywództwo.

Brak wizji zwycięstwa, bałwochwalstwo pokoju — sprowa- dzają politykę zagraniczną St. Zjednoczonych na podwórkę partyjnych rozgrywek wewnętrznych w okresie kiedy wolny świat wyczekuje od Ameryki przewodnictwa.

Kampania senatora McCarthy przeciw Dean Acheson'owi jest typowym przykładem takiego stanu rzeczy. Nie ma powodów do zachwyty nad defensywną polityką Dean Acheson'a, lecz jego krytycy w senacie w znacznie mniejszym stopniu zasługują na sympatie czy szacunek. Są to bowiem reprezentanci najczarniejszej reakcji amerykańskiej, wrogowie reform, zwolennicy izolacjonizmu. Celem ich wystąpień jest przygotowanie pola do nad- chodzących wyborów.

Od pięciu lat inicjatywa w "zimnej wojnie" bez przerwy spo- czywa w Moskwie. W rezultacie tych pięciu lat ponad 700.000.000 ludzi żyje dziś pod dyktaturą komunistów. Pięć lat jest do- statecznym okresem czasu, by ocenić czy dana polityka jest ce- lowa — czy nie. Wydaje się, że nawet tak rewolucyjne pocią- gnięcie jak Pakt Atlantyczny, które stanowi całkowite novum w historii St. Zjednoczonych — jest instrumentem zarówno "sta- roświeckim" jak i niedostatecznym w obliczu światowej ofensy- wy komunistycznej.

Klasyczna polityka, składająca się z paktów sojuszniczych, układów handlowych i finansowych — dziś nie wystarcza. Nie można skutecznie przygotowywać wojny przegrywając ją.

W krajach anglosaskich odpowiedzialni politycy winni wszcząć na olbrzymią skalę zakrojoną kampanię, która w re- zultacie doprowadziłaby do zmobilizowania opinii. Może wów- czas byłoby osiągalne przeprowadzenie w parlamentach uchwał, które postawiłyby demokracje, przynajmniej częściowo, na stopie wojennej. Albowiem metodami pokojowymi — "zim- nej wojny" nie wygramy.

Sądzę, że stratedzy "zimnej wojny" w Moskwie uważają, że demokracje anglosaskie zdecydowałyby się na wojenne reformy tylko wówczas, gdyby wybuchła autentyczna wojna. Nie wcześ- niej. Oceniają zapewne również, że odebranie statutu legal- ności partiom komunistycznym nie nastąpi w okresie pokoju choćby pokój ten miałby być jeszcze bardziej "kruchy" niż obecnie.

Nie tracimy nadziei, że Moskwa w swym rachunku jednak się przeliczy. W rezultacie końcowym przeliczy się na pewno.



9 na 10 Polaków nie orientuje się już zupełnie co jest przy- czyną obecnego kryzysu w polityce polskiej. Podział na legali-

stów 100%, zwanych również "nudystami" stoją bowiem na sta- nowisku "nagiej" Konstytucji — oraz na legalistów paryskich, tj. zwolenników tzw. paktów paryskich — fakty, że powiedzmy, Ludowcy wchodzą zarówno w skład Rady Narodowej jak i Ra- dy Politycznej — wszystko to sprawia, że przeciętnemu intelli- gentowi, który nie jest zawodowym politykiem lub dziennika- rzem coraz trudniej jest wyznać się w niekończącym się prze- sileniu.

Legalisci 100% (zawsze ci co na urzędzie i przy władzy) po- wiadają: Dziś nikogo nie obchodzą przebrzmiałe sformułowa- nia sprzed 10 laty, zwłaszcza, że w międzyczasie powstały prze- cież nowe ugrupowania polityczne, które z "paktami paryski- mi" nie mają nic wspólnego. Nie wiadomo również w czyjej in- terpretacji miałyby owe "pacta" obowiązywać — Strońskiego, Liebermana czy może w wykładni jeszcze kogoś innego?

Przedstawiciele Rady Politycznej odpowiadają: "Nie możemy na emigracji zmienić Konstytucji, ale możemy ją w wykona- niu przystosować do nowych warunków i wykonywać w spo- sób demokratyczny w oparciu o zwyczaje, które narosły w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Legalizm grzebie ten, kto go izoluje od żywych sił politycznych". (Prezes dr Bielecki — przem. w Manchester 19 marca br.)

Zrobiłby pieniądze kto wydałby dla Polaków na emigracji zwięzły samouczek polskiej polityki na obczyźnie. Albowiem na 100 — 98 nie wie co to są "pacta paryskie", na 100 — 60 nie wie jaka jest różnica pomiędzy S.L. Wolność a PSL, na 100 — 80 nie wie jaka jest różnica pomiędzy "Koncentracją Demokra- tyczną" a "Porozumieniem Stronnictw Demokratycznych", na 100 — 100 nie wie, które z tych "koncentracji" i "porozumień" jeszcze istnieją, a które przeszły już do smętnych dziejów hi- storii emigracji.

Na skutek tego wszystkiego, zagadnienia — wydawałoby się bezsporne — jawią się przed znużonym polskim emigrantem w dwóch wydaniach.

Weźmy sprawę Skarbu Narodowego. Można być w opozycji do obecnego rządu, który jest opanowany przez jedną grupę polityczną — mimo to jednak jak długo stoi się na stanowisku legalizmu nie można temu rządowi odmawiać prawa do odbu- dowy Skarbu Narodowego, gdyż jest to obowiązkiem każdego legalnego rządu, a więc i takiego, który z innych przyczyn uwa- żamy za właściwe zwalczać w ramach legalnej opozycji.

Wydawało by się, że tego rodzaju stanowisko jest jasne, pro- ste i logiczne. Gdy powołano Główną Komisję Skarbu Nar. — na łamach polskiej prasy w Anglii wyłoniła się dyskusja mię- dzy pewnymi przedstawicielami ugrupowań Rady Politycznej a reprezentantami kół rządowych. Dyskusja — przeprowadzo- na na wysokim poziomie — dotyczyła hierarchii celów poli- tycznych. Reprezentanci opozycji wyrazili pogląd, że najpierw winien powstać rząd oparty o ruchy polityczne, które mają

związek z krajem i dopiero wówczas taki ogólnopolski, demokratyczny rząd miałby pełnię moralnego mandatu domagać się od społeczeństwa emigracyjnego świadczeń na rzecz Skarbu Narodowego. Innymi słowy wyrażano przekonanie, że najpierw polityczna przebudowa instytucji państwowych, a potem dopiero apel do emigracyjnego podatnika-ofiarodawcy.

Niewątpliwie taki pogląd zgodny jest z idealnym porządkiem rzeczy i z rzetelną hierarchią celów polityczno-państwowych.

Co innego jednak jest hierarchia, a co innego zależność. Obowiązek odbudowy Skarbu i prawo domagania się od obywatela R.P. na obczyźnie świadczeń na ten cel nie są uzależnione od tego czy obecny rząd oparty jest o reprezentatywny wachlarz stronnictw politycznych — czy też jest mniej lub więcej jednopartyjny. W całej sprawie decyduje jeden tylko czynnik — to jest legalizm. Tylko bowiem rząd nielegalny, samozwańczy nie miałby prawa domagać się od obywateli świadczeń finansowych na cele państwowe. Jak długo zatem stoimy na stanowisku, że rząd obecny (mimo swej politycznej struktury) jest rządem legalnym — nie możemy odmawiać mu prawa domagania się od nas świadczeń na rzecz Skarbu.

Nie zmienia tego faktu nawet przyjęcie poglądu — jaki wyrażono w czasie omawianej dyskusji, że owe świadczenia — nie są podatkiem, lecz dobrowolną ofiarą.

Logiczne byłoby takie sformułowanie: obecny rząd uznajemy za legalny dopiero wówczas, gdy oparty zostanie o wachlarz stronnictw; gdy uznamy go za legalny nabędzie on prawa domagania się od nas świadczeń na rzecz Skarbu.

Ponieważ jednak wszyscy w obozie niepodległościowym uznajemy obecny rząd za legalny — musimy zgodzić się, że jak długo rząd ten znajduje się przy władzy jednym z kardynalnych jego obowiązków jest odbudowa Skarbu.

Sprawę Skarbu wyczerpująco omówię w następnej korespondencji.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Opinie amerykańskie

Ameryka jest inna. Inna krajobrazem, fauną, florą i ludźmi. Inna historią, zwyczajami i przesadami. Trudno tę "inność" ująć w kłamerę definicji. Definicje są z natury rzeczy uogólnieniami, a ogólniki o sprawach ludzkich nigdy nie "wychodzą". Pisząc z miesiąca na miesiąc można dać więc tylko urywki amerykańskiego życia i amerykańskich opinii i mieć w Bogu nadzieję, że coś pozostanie w pamięci, co razem z innymi okruciami informacji wytworzy pogląd oparty o jako tako uporządkowane fakty.

Słowo "fakty" jest ważne dla zrozumienia kierunku jaki "Opiniom amerykańskim" chcę nadać. Mają one być zbiorem rzetelnych informacji. Informacji o faktach amerykańskiego życia, kultury, polityki, filozofii, nauki.

Ameryka jest inna. Jej inność wygląda z waszej strony Atlantyku tak jak inność Europy musiała wyglądać dla Chin czasów Marco Polo. Inność młodej, pulsującej nowym życiem cywilizacji. Nie chcę przez to powiedzieć, że pogrzebałem Europę jako ośrodek cywilizacji, stwierdzam tylko jej obecny zanik. Nie pasują również Ameryki na następcę kulturalnej hegemonii, stwierdzam tylko jej współczesny rozblysk. Spekulacje co do przyszłości pozostawiam czytelnikom.

Senator J. R. McCarthy.

Najlepiej to określić jako manię prześladowczą. Nie wiem, jak wiele kart zostawi w historii. Pewnie niewiele. Może żadną. Może zniknie zapomniana jak "czerwona panika" po pierwszej wojnie światowej, którą pamiętamy tylko w nazwiskach jej ofiar: Sacco i Vanzetti.

Mam na myśli histerię, która szaleje współcześnie w Ameryce lękiem przed szpiegami sowieckimi. Groźba sowiecka przestała już dawno być kontrowersją i powinna — jak w czasach wojny — być wyłączną troską sztabu generalnego i wywiadu. Powinna... Niestety hula współcześnie jak zaraza wzdłuż i wszerz tego kontynentu, sięgając nawet do zazwyczaj trzeźwej i nieco ospałej Kanady. Rozdwaja naród, rozdwaja partie (każdą z osobna), rozdziela przyjaciół, niszczy reputacje i kariery ludzi

nieraz bardzo pożytecznych i ściga uwagę społeczeństwa na manowce niepoważnej i nierozsądnej hysterii.

Najnowszym objawem tej zarazy jest sprawa senatora McCarthy. 9-tego lutego br. republikański senator z Wisconsin, Joseph R. McCarthy, oświadczył w przemówieniu publicznym, że ma w rękę niezbite dowody na to, że 57-miu wysokich urzędników State Department (amerykańskie M.S.Z.) odpowiedzialnych za kształtowanie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, jest aktywnymi komunistami. Nie obeszło się również bez ostrego i niezbyt dyplomatycznego ataku na samego ministra (Secretary of State) p. Dean Acheson'a. Mowa, podlana jak zwykle w Ameryce, dobrą porcją reklamy, wywołała sporo huku i spowodowała nawet specjalną inwestygację senackiej komisji spraw zagranicznych. Cyfry senatora z Wisconsin były od samego początku niezbyt ściśle. Naprzód doliczył się 57 komunistów w State Department, potem 205, potem 81. Koniec końców wymienił cztery nazwiska. Z tych czterech ludzi, dwu opuściło State Department jeszcze w 1946-tym roku, a jeden nigdy w State Department nie pracował. 21-go marca senator McCarthy zredukował ostatecznie swą "cyfrę" do jednego i przy zachowaniu groteskowych środków ostrożności wymienił nazwisko szpiega na tajnym posiedzeniu komisji senackiej. Po zbadaniu sprawy przewodniczący komisji, senator Tydings stwierdził, że oskarżony był tylko raz zatrudniony przez State Department i to 5 lat temu, gdy przez okres czterech miesięcy był czynny w jakiejś delegacji poza granicami Stanów. Aha! Zapomniałem powiedzieć, że nazwisko szpiega wyjawiał pan senator (również w największej tajemnicy!) także paru "dyskretnym" dziennikarzom. W ciągu 24-ch godzin całe Stany Zjednoczone wiedziały że tym arcyszpiegiem jest niejaki Owen J. Lattimore, dyrektor znanej instytucji naukowej i wybitny znawca Dalekiego Wschodu. Lattimore był w Afganistanie gdy senator McCarthy rzucił swe oskarżenie. Gdy piszę te słowa słyszę w radio, że właśnie powrócił do Stanów i dość nieparlamentarnie wyraża się o swym oskarżycielu.

Ta niepoważna "bujda" ma jednak bardzo poważne znaczenie, gdyż trudno ten epizod oderwać od szerokiego tła amerykańskiej sceny politycznej ostatnich paru lat.

Parę wyjaśnień jest koniecznych w tym miejscu.

Od przeszło roku — dokładnie, od czasu głośnego zwycięstwa wyborczego prezydenta Trumana — amerykańska polityka zagraniczna przestała być obupartyjna ("ponadpartyjna" jakbyśmy to w Polsce nazwali). Nie znaczy to, że nagle wyrosły jakieś zasadnicze różnice poglądów. Gdyby republikanie doszli do władzy, polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych, pod kierownictwem Foster Dulles'a i senatora A. H. Vandenberg, potoczyłaby się prawdopodobnie tymi samymi torami. Zmiana polegała na tym, że w wewnątrz-politycznych roz-

grywkach, sprawy zagraniczne przestały być tabu i poczęto je nachalnie wykorzystywać dla kompromitowania rządu.

Obecny sekretarz Stanu p. Dean Acheson jest wysoce kompetentnym dyplomata, o dużej inteligencji i wybitnych zdolnościach, ale nie jest zawodowym politykiem. Nie ma politycznego zaplecza. Nie ma popleczników i faksji. Nie stoi poza nim żadna partia, żaden Stan, żadna grupa narodowościowa czy klasowa wyborców. Można go więc atakować bezkarnie i... ataki te trafiają koniec końców w Trumana. Innymi słowy, polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych choć kierowana niewątpliwie przez Achesona opiera się politycznie o autorytet samego prezydenta. Idealna zaiste sytuacja dla jawnych i tajnych się przeciwników. Do tego dochodzi sprawa, która choć rzuca jak najlepsze światło na charakter sekretarza Stanu, dała przeciwnikom rządu dobry cel dla ich zatrutych strzał: sprawa Algera Hissa, byłego wysokiego urzędnika administracji Rooseveltowskiej, który został niedawno uznany winnym szpiegostwa na rzecz Rosji.

W końcu, pragnę wyjaśnić, że akcja antyszpiegowska jest w rękach specjalnej policji, tak zwanego Federal Bureau of Investigations (F.B.I.) z wszechpoteźnym dyrektorem J. Edgar Hooverem na czele. (Nie mieszać z byłym prezydentem Stanów Herbertem Hooverem!) Ze względów zrozumiałych, kartoteki F.B.I. są tajne, niedostępne nawet dla senatorów. Ujawnienie ich mogłoby narazić na szwank reputację osób inwigilowanych, które zostały oczyszczone z często bezpodstawnych zarzutów, no i wyjawilyby źródła informacji i metody pracy F.B.I., które eo ipso przestałyby być użyteczne. W bardziej zdyscyplinowanym społeczeństwie znalazłoby się może jakieś wyjście z tego dylematu, ale politycy amerykańscy są notorycznie niedyskretni i tak prezydent Truman jak i J. Edgar Hoover o tym dobrze wiedzą. Po "rewelacjach" senatora McCarthy, senat zażądał ujawnienia tajnych kartotek. Jeśli Lattimore jest szpiegiem, powinno to być w kartotece F.B.I. A jeśli to jest w kartotece, to dlaczego Acheson go osłania i dlaczego prezydent Truman osłania Achesona... itd., itd. Truman odmówił ujawnienia kartotek. Tradycja jest po jego stronie. W tym stadium sprawa znajduje się w tej chwili.

Sprawa jest nieskończona, choć senator McCarthy prawdopodobnie się wykończył. Inni byli przed nim i inni po nim przyjdą. Groteskowy obraz amerykańskiej sceny politycznej, na której każdy użera się z każdym w pandemonium niezrozumiałego dla Europejczyków *catch as catch can*, nie jest zbyt budujący. Niemniej nie ulega wątpliwości, że właśnie fakt iż demokracja może przeżyć nawet takie ekscesy, jest sam w sobie dowodem jej siły.

Sprawa senatora McCarthy jest nieskończona, pozostawmy więc także i ten ustęp bez zakończenia. Obawiam się, że niejednokrotnie doń powrócimy.

Einstein, Gwiazdy i Bomba.

Trzy sprawy o bardzo nierównym rozgłosie i o bardzo głębokim znaczeniu. Sprawy bynajmniej nie typowo amerykańskie, które nie znalazłyby się w "Opiniach Amerykańskich" gdyby nie to, że miały premierę w Ameryce. Mam na myśli: Pierwsze fotografie z obserwatorium na Mount Palomar, einsteinowską ogólną teorię grawitacji i decyzje prezydenta Trumana w sprawie bomby wodorowej.

The Scientific American wydrukował niedawno pierwsze, próbne fotografie mgławic, wykonane w nowym obserwatorium astronomicznym na Mount Palomar. Fotografie nie są jeszcze zbyt dobre. Olbrzymie lustro refleksyjne wymaga dodatkowego, bardzo precyzyjnego doszlifowania. Już teraz jest jednak wiadome, że ta najnowsza próba spenetrowania przestrzeni na odległość 1000 milionów lat świetlnych, udała się.

Oto jeszcze jeden przykład na to, jak wątpliwej wartości są zbyt szerokie uogólnienia w sprawach ludzkich. Rysując grubymi liniami karykaturę przeciętnego Amerykanina, stworzono — ad usum pozeracza gazet i sloganów — figurę tęgawego salesmana, w ciemnych, rogowych okularach, w miarę cwanego, w miarę płytkiego i nad miarę pewnego siebie, o raczej reakcyjnych poglądach i mocno przyziemnej praktyczności, i zakolorowano ten obraz bardzo powierzchownie... pragmatyzmem. Tak, aby trudniej było zgadnąć! Z zarozumiałej wysokości naszej wszystkowiedzy stwierdziliśmy apodyktycznie, że Amerykanie, poza robieniem forsy, niczym się nie interesują. I nagle, jak *deus ex machina*, Mount Palomar! Skąd to zainteresowanie? Miliony dolarów zarobionych kupieckim sprytem pchać w tak nieproduktywny i niepraktyczny interes jak obserwatorium astronomiczne! To bardzo nie-amerykańskie... Choć kto wie, może astronomia jest nie tylko pogonią za "bezwartościową" wiedzą?

Cóż za pożytek można mieć z fotografii mgławic odległych o tysiąc milionów lat świetlnych? Jeśli by pędziły one ku ziemi z szybkością światła, to komu zależy na tym czy rozniosą Mleczną Drogę (i nas!) za tysiąc milionów lat. *Après nous le déluge!* Wiemy jednak, że mgławice te nie biegają ku nam. Wręcz przeciwnie! Wszechświat rozbiega się na wszystkie strony a szybkość z jaką mgławice się od siebie nawzajem oddalają wzrasta proporcjonalnie z ich odległością. Wielkie, 200 calowe, lustro lunety na Mount Palomar powinno wyjaśnić sporo tajemnic niebieskich. Tak na przykład, spodziewamy się stwierdzić, że szybkość recesji mgławic widocznych na taką odległość jest już bardzo bliska szybkości światła. Tylko dwa razy dalej, na odległość 2000 milionów lat świetlnych, mgławice powinny uciekać od nas z szybkością większą niż szybkość światła. Nigdy ich zatem nie możemy zobaczyć! Ale czy materia może poruszać się z szybkością większą niż 186.326 mil na sekundę — to jest z szybkością większą niż światło? — Według teorii względności

masa nieskończenie wzrasta gdy ciało osiąga szybkości światła. Więc co wtedy?

"Litości" — woła w tym miejscu przerażony czytelnik! Więc łaskawie przerywam. Tym łaskawiej, że ta woda jest i dla mnie zbyt głęboka. Dodam tylko, że z tych rozważań wyprowadził Einstein swe słynne równanie ($E=Mc^2$), stwierdzające, że energia jest równa iloczynowi masy przez kwadrat szybkości światła. Równanie, które było drogowskazem do Hiroszimy.

Jakie będą konsekwencje najnowszej teorii Einsteina, — opublikowanej z początkiem bieżącego roku Ogólnej Teorii Grawitacji, — dzisiaj nawet sam Einstein jeszcze nie wie. Teorie naukowe, w przeciwieństwie do teorii politycznych, nie są dogmatami. Stawiają znak zapytania, dają próbę odpowiedzi i czekają na doświadczalne potwierdzenie. Nie ma znaczenia czy teoria się "opłaci". Wartość myśli ludzkiej przerasta jej użyteczność. "Istnieje pasja rozumienia, tak jak istnieje pasja muzyki. Pasja bardzo powszechna u dzieci, ale zanikająca u większości dorosłych. Bez tej pasji nie byłoby matematyki i nie byłoby nauk przyrodniczych". (Einstein: *On the Generalized Theory of Gravitation, Scientific American*, April, 1950).

"Pasja rozumienia..." Kto wie, czy te proste słowa Einsteina nie rozwiązują więcej tajemnic wszechświata niż jego najbardziej zawiłe równania!

Zakończmy te rozważania pragmatycznie (po amerykańsku?) sprawozdaniem o bombie wodorowej. Przede wszystkim stwierdzimy, kawa na ławę, że bomby wodorowej jeszcze nie ma. Sądząc po rozgłosie jaki jej nadała prasa amerykańska, mogłoby się wydawać, że Stany Zjednoczone mają co najmniej setkę bomb wodorowych w swym arsenale. Tak nie jest. Prezydent Truman nakazał tylko oficjalnie (i niestety publicznie) rozpocząć jej budowę. Sprawy atomowe są poza zasięgiem rozumienia, nawet dla większości ludzi wykształconych. Rewolucja dokonana w myśleniu fizycznym przez obie teorie względności i przez teorię kwantów nie miała czasu aby się spopularyzować, ale jej praktyczne wyniki nie dały na siebie czekać. A ponieważ są one groźne i przerażające i ponieważ każdy rozumie efekt bomby, choć niewielu tylko pojmuje wszystkie "jak i dlaczego", to każdemu się wydaje, że może na ten temat, *urbi et orbi*, wygłosić swoje trzy grosze. Wynikiem tej sytuacji jest, — podobnie jak w "Zemście", gdzie Rejent kontroluje brzuszki Papkinowego "B", — że kontrola nad sprawami atomu jest często w rękach ludzi, którzy nie znają abecadła fizyki. Prócz tego, tajemniczość otaczająca te sprawy jest dobrym nawozem pod najbardziej fantastyczne plotki i kaczki dziennikarskie. Ciekawym przykładem jest coraz to w nowej wersji podejmowana bajeczka o reakcji łańcuchowej, jaka "niewątpliwie" nastąpi po wybuchu bomby wodorowej. Zafascynowani równaniem $E=Mc^2$, niektórzy reporterzy naukowci, wyobrażają sobie, że skoro przy rozbiściu atomu uranu jeden promille jego masy zamienia się w

energię a przy fuzji wodoru aż 7 promillów, to wszystkim czego trzeba jest jakieś mechaniczne hokus-pokus aby urzeczywistnić teorię bomby wodorowej. Niestety — a raczej dzięki Bogu — sprawa nie jest tak prosta. Szybkość obu reakcji (rozbicia i fuzji) zależna jest od zupełnie różnych współczynników. Temperatura gra tylko minimalną rolę przy rozbiciu atomu, jest jednak jedynym znanym środkiem dokonania fuzji. Klasycznym przykładem fuzji wodorowej są wnętrza gwiazd, w których temperatura dosięga 20 milionów stopni Celsjusza. (Coś mi świta w głowie, że może dolary inwestowane w Mount Palomar, nie były tak idealistyczne!) Ale w gwiazdach fuzja jest stosunkowo powolna. Tylko 1% wodoru naszego słońca zamieni się w hel w ciągu biliona lat. Im większa jest gwiazda, tym wyższa jest temperatura jej wnętrza, a zatem tym większa jest szybkość fuzji. Nasza planeta jest zbyt mała aby podtrzymać temperaturę fuzji, nie ma więc obawy aby wybuch bomby wodorowej mógł przejść w reakcję łańcuchową, zapalić ziemię i zamienić ją w gwiazdę. Niemniej fuzja jest możliwa, a milionowa część sekundy, jaką wybuch będzie trwał, wystarczy aby zburzyć wszystko w promieniu 10 mil, a spalić w promieniu 20-tu. Taka jest perspektywa ludzkiego postępu.

Techniczne implikacje zniszczenia przestały jednak działać na ludzką wyobraźnię. Są zbyt groźne i zbyt nieludzkie. Jak komory gazowe w które nasi anglosascy przyjaciele wzdragali się wierzyć podczas wojny, a o których jak najszybciej zapomnieli po wojnie.

Na tle powyższych rozważań, warto zacytować zdanie Hansa A. Bethe, "ojca" bomby wodorowej, byłego dyrektora działu fizyki teoretycznej laboratorium atomowego w Los Alamos. W bardzo kontrowersyjnym artykule pt. *The Hydrogen Bomb*, w kwietniowym numerze *Scientific American*, polemizuje Bethe z decyzją prezydenta Trumana.

— Decyzja Trumana, stwierdza Bethe, rozstrzygnęła jeden problem a stworzyła sto nowych. Jak wpłynie bomba wodorowa na naszą pozycję strategiczną? Czy przywróci nam hegemonię zbrojeniową jaką mieliśmy zanim Rosjanie ujawnili bombę atomową? Czy dopomoże nam do wygrania wojny? Czy zmniejszy prawdopodobieństwo zniszczenia naszych miast w tej wojnie? Czy potrafi przeszkodzić wojnie lub ją odroczyć? Jak będzie świat wyglądał po wojnie...?" Najważniejszą jest jednak, jego zdaniem, kwestia moralna. Czy cel naprawdę uswięca środki i czy ten sofizmat nie jest szczególnie złudliwy w tym konflikcie który się toczy o "środki" a nie o cel. Nikt, prócz najgłupszych i najbardziej zacofanych nie zwalcza oficjalnych celów sowieckich: wysokiego standardu życiowego dla wszystkich bez wyjątku i bez przywilejów. Sprzeciwiamy się jednak "środkom" sowieckim. Metodami, które rząd sowiecki uważa za konieczne, w początkowej fazie komunizmu, która, jak ironicznie Bethe zauważa, trwa już 33 lata. Jeśli jednak mamy walczyć przeciw

tym metodom, to nasze metody muszą być czyste. "Wierzmy w pokój oparty o wspólne zaufanie. Czy osiągniemy je przez bombę wodorową? Czy przekonamy Rosjan o wartości pojedynczego człowieka, zabijając miliony ludzi?" Wojna wodorowa zniszczy powierzchnię ziemi wielkie miasta, a zatem także i cywilizację, której te masta są ostoją. Postęp technologiczny cofnie się o sto lat, gdyż nie będzie sposobności do praktykowania nauk ścisłych i technologii. Wątpliwości moralne same przez się powinny, zdaniem profesora Bethe, powstrzymać Stany Zjednoczone od użycia bomby, nawet gdyby istniała pewność, że Stany mają monopol na jej posiadanie. Takiej pewności jednak nie ma. Rosjanie wcześniej czy później także będą mieli bombę wodorową. "Gdy postanowiliśmy (oficjalnie) zbudować bombę wodorową, — co było dowodem, że uważamy ten projekt za wykonalny — skłoniliśmy Rosję do powzięcia podobnej decyzji. Dlatego sądzę, że nasza decyzja, gdy została powzięta, powinna była być powzięta w sekrecie". (Podkreślenie moje).

Wiemy, dlaczego Truman powziął tę decyzję publicznie. Zmusiła go do tego niedyskrecja pewnego senatora, członka senackiej komisji atomowej, który dla celów autoreklamy zdradził w wywiadzie prasowym, że Stany planują "superbombę". Wywołało to tyle huku, że Prezydent musiał oficjalnie na ten temat się wypowiedzieć. Koło się zamyka. Wracamy do sprawy senatora McCarthy.

H. S. DOMINIK.

TEKI HISTORYCZNE

kwartalnik,

wydawany przez Polskie Towarzystwo Historyczne
w Wielkiej Brytanii.

Ostatni zeszyt za styczeń-marzec br. przynosi w dziale rozpraw: A. F. DYGNASA "Pragmatyzm w historiografii amerykańskiej" i Wiktora WEINTRAUBA "Nieznany artykuł Mickiewicza"; w dziale materiałów: tekst nieznanego artykułu MICKIEWICZA "La race slave", oraz działy recenzji i kroniki.

Cena zeszytu 3 sh. Prenumerata roczna 12 sh.

Do nabycia w polskich księgarniach oraz w administracji:
Polish Historical Society, c/o 20 Princes Gate, London SW7

Najnowsza historia Polski

Narodowe siły zbrojne

(Wspomnienia osobiste)

Po błyskawicznej kampanii 1939 r., widziałem we Francji dalsze możliwości walki i próbowałem przedostać się na Węgry. Inaczej los kierował. Po krótkotrwałej niewoli niemieckiej, z której udało mi się uciec, kilkakrotne i uciążliwe próby przedostania się czy to na Węgry czy do Rumunii skończyły się niepowodzeniem. Wróciłem więc do siebie na wieś i zabrałem się do gospodarki. Zaczynałem wierzyć, że nie uda mi się przedrzeć na Zachód i że chyba ogarnie mnie konspiracja w swe śliskie skrety, organizacja tak przeciwna umysłowi i sercu regularnego żołnierza.

Na jesieni 1940 otrzymałem wiadomość, że mój dowódca dywizji jest w Warszawie i chce mnie widzieć. Bez zwłoki zameldowałem się u niego. Zamieszkał na ul. Senatorskiej u ks. prałata Trzeciaka, który swymi wpływami w Berlinie, płynącymi z antyżydowskiej akcji, wyciągnął pułkownika (którego będę nazywał dalej P. Czesławem) z obozu na Litwie, jako 95% inwalidę. P. Czesław był ranny we wrześniu dwa razy, ale teraz, po roku, służyło to tylko za pozór. Wychudły, może bardziej nerwowy niż dawniej, ale pełen energii, zapału i wiary w pomyślny koniec wojny — uściskał mnie jak syna. W długiej rozmowie przedstawił mi, że część społeczeństwa pozostaje poza organizacjami niepodległościowymi, część uchyla się zdecydowanie od Z.W.Z., jako kierowanej przez zespół sanacyjno-legionowy. Oburzenie, które opanowało Naród po klęsce i kryzys zaufania do oficera, zelżały wprawdzie po zajęciu Francji przez Hitlera, ale mimo to istniały, zwłaszcza w sferach będących pod wpływami dawnej opozycji. Sam widziałem to dobrze w lubelszczyźnie, a i w krakowskim, gdzie byłem dłużej na wiosnę.

Pan Czesław widział swój obowiązek w wojskowym zorganizowaniu tych ludzi, którzy nie pójdą do Z.W.Z. Miał pogłębić swe

informacje, wypracować najwłaściwsze sposoby działania. Chciał mieć pewność, czy będę mu pomocny, czy nie jestem już w jakiej organizacji. Odpowiedziałem, że chętnie będę razem z nim pracował, że nie jestem związany. Ucieszył się, polecił mi wracać na wieś i czekać na depezę, gdy sam będzie gotów.

I. Powstanie Narodowej Organizacji Wojskowej (N.O.W.)

W lutym nadeszła zapowiedziana depeza, że "miłocarnia gotowa". Po przyjeździe Pan Czesław poinformował mnie, iż Stronnictwo Narodowe postanowiło wyłonić Narodową Organizację Wojskową (N.O.W.), że mam przeprowadzić odprawę z Komendantami Okręgów i z Szefami III-cich Oddziałów ich sztabów.

Na odprawie poznałem Komendanta Głównego "Pana Michała", człowieka, który nie zdradzał nadmiaru energii i orientacji w tym, jak się brać do dzieła. Był średniego wzrostu, o okrągłej twarzy, przy czym konspiracyjne wąsy, podniesione lekko ku górze nadawały mu wyraz zdziwienia i niepewności.

Odprawę, po wstępnych przemówieniach obu pułkowników, prowadziłem dalej, podając wytyczne organizacji Komendy Głównej, Komend Okręgowych i Powiatowych, jak również zakres działania. Jednocześnie podałem etaty drużyn, plutonów, kompanii i baonów, z rozkazem rozpoczęcia organizacji do plutonów włącznie. Najmniejszą komórką miała być sekcja (1 + 5). Trzy sekcje tworzyły drużynę. Trzy drużyny strzeleckie z sekcją pionierów, łączności i drużyną km. składały się na pluton, zdolny do małej samodzielnej akcji. Po zorganizowaniu trzech plutonów w najbliższej okolicy, tak by sprawa dowodzenia nie była utrudniona, miano tworzyć kompanie. Ostatnim szczeblem organizacji oddziałów miał być baon. Oddziały miały podlegać organizacji terenowej, tzn. wprost komendantom powiatowym. Zwróciłem uwagę na konieczność obsadzenia dowództw oddziałów i stanowisk w sztabach terenowych przez oficerów z prawdziwego zdarzenia, a więc energicznych i dzielnych, o wiedzy wojskowej, a nie cennych polityków. Praca rozpoczęła się dobrze i rozwój jej postępował.

Od początku P. Czesław wyrażał życzenie nawiązania współpracy z Z.W.Z., jako poważną organizacją wojskową na terenie kraju. Wychodził z założenia konieczności stworzenia jednej siły zbrojnej pod jednym, faktycznie dysponującym, dowódcą.

Był jednak w tym czasie raczej obserwatorem i sympatykiem N.O.W. i nie miał w organizacji ściśle określonego stanowiska. Kiedy mu zwracałem uwagę, że nie uważam tego za słuszne, by jako pełny pułkownik i dowódca dywizji był w organizacji w charakterze nieokreślonym, w jakiś pozorny sposób zależny od podpułkownika, rzeczywistego dowódcy baonu pancernego — odpowiedział mi, że nie zależy mu na stanowisku, że względu

personalne nigdy nie były przez niego brane pod uwagę, jeśli chodziło o jego własne sprawy. Nadto — mówił, że mogłoby to wywołać kwasy z dotychczasowym komendantem, którego, jako zupełnie uległego, chętnie widział na tym stanowisku Prezes S. N., p. Stefan Sacha.

W czasie do czerwca 1942 "Pan Michał" wysyłał mnie kilkakrotnie na inspekcję do okręgów: Radom, Kielce, Kraków, Częstochowa, Podlasie (siedziba w Siedlcach). Stwierdzałem, że praca rozwija się coraz lepiej i wykonywałem rozkazy Komendanta, które nakazywały przeprowadzenie "odpolitykowania" oddziałów, przyciskanie śruby wojskowej, stopniowych zmian panów cywilnych na stanowiskach kierowniczych przez oficerów, posiadających odpowiednie kwalifikacje. Były to sprawy natury delikatnej, ponieważ bardzo niechętnie ustępowali z wysokich stanowisk ludzie dawno na nich osiadli, lecz w warunkach przedstawiania organizacji z politycznej na wojskową, nieodpowiedni. W tym celu były wydane rozkazy do przeszukiwania terenu, wynajdywania oficerów niezaangażowanych w Z.W.Z. i włączenie ich w ramy organizacji własnej.

Kiedy w lutym 1942 r., powróciwszy z inspekcji, zdawałem raport Komendantowi, zazwyczaj zwanemu panem Michałem, w obecności P. Czesława, Szefa I Oddziału — mjr. Kuby i 2 cywilnych działaczy S.N. Romana i Adama — usłyszałem zarzut od jednego z tych panów, że w terenie występuję przeciwko politykom. Zorientowałem się z zarzutów stawianych mi, że za mną był posyłany jakiś "polityk", który sprawdzał co w terenie robię. Wystąpiłem z całą stanowczością przeciwko metodzie "politruków", stwierdzając, że zadaniem wojska niewątpliwie będzie wyeliminowanie z oddziałów decydujących wpływów politycznych, gdyż w przeciwnym razie nie będzie szans na dowodzenie nimi w czasie powstania. Od tej pory byłem uważany przez "polityków" za nieprzejednanego zawodowca i człowieka nie doceniającego ich pracy.

Pan Czesław kilkakrotnie informował mnie o przebiegu rozmów wewnętrznych z czynnikami politycznymi, o próbach nawiązania kontaktów zewnętrznych, a zwłaszcza z Z.W.Z., co do współpracy obu organizacji.

Jest to okres scalania. Szereg mniejszych organizacji, jak "GON", "Wici", "KOP", "TAB", "Konfederacja", "Wojskowa Grupa Nadwiślańska" i inne, które w pierwszym roku po utracie niepodległości wyrastały jedne po drugich, pertraktował i był wcielany do Z.W.Z. względnie do N.O.W. Pamiętam przez czas dłuższy toczące się pertraktacje z "Unią", dowodzoną przez płk. Grodzkiego. Wiedziałem, że na terenie Kraju działa energicznie organizacja "Związku Jaszczurczego", oparta na ośrodkach politycznych O.N.R. Kontakty z nią były liczne, ale luźne. Prace scaleniowe prowadziły czynniki polityczne.

Komendant N.O.W. regulował sprawy bieżące i wydawał wy-

tyczne do dalszej pracy organizacyjnej na odprawach, przeprowadzanych w Warszawie. Powoływano na nie komendantów okręgów, względnie szefów sztabów. Te stanowiska były powoli obsadzone w okręgach spomiędzy oficerów wynajdywanych w terenie. Ponieważ ten sposób dowodzenia był niewygodny, gdyż nie wszyscy wezwani mogli przybyć na skutek nieotrzymania na czas wezwania lub trudności komunikacyjnych, które stale wzrastały, trzeba było przejść na system dowodzenia przez regulowanie w sposób nieschematyczny, gdyż warunki pracy w poszczególnych okręgach były różne. Najczęściej byłem w tym celu wysyłany z dużymi pełnomocnictwami. Oprócz mnie jeździli "politycy", od których wpływu bezpośredniego na prace nie można się było odciąć zbyt nagle.

W marcu 1942 r. Prezes Stronnictwa Narodowego, P. Stefan, chciał ode mnie uzyskać informacje odnośnie rozwoju organizacyjnych prac wojskowych. Na spotkaniu w kawiarni "Ziemiańskiej" przy zbiegu ulicy Filtrowej i Pl. Narutowicza, skierowałem rozmowę na konieczność scalenia, względnie współpracy z Z.W.Z. Pan Stefan spururowiał na twarzy, wpadł w zdenerwowanie i zaczął niemal krzyczeć, że nie połączy się z "Sanacją", jak określał Z.W.Z. Próbowałem go przekonać o konieczności jednej akcji zbrojnej i przeniesienie rozgrywek politycznych na okres pracy wyborczej i parlamentarnej po wojnie, lecz on w dalszym ciągu — zbyt głośno mówiąc — przedstawiał swój nieprzejednany punkt widzenia, co skłoniło mnie do zakończenia rozmowy, gdyż tego rodzaju zachowanie mogło doprowadzić w publicznym lokalu do zaaręszowania nas obu. Z rozmowy wyniosłem przekonanie o nieustępliwości Prezesa, — co uzasadniał przewidywanym przez siebie rozłamem w Stronnictwie Narodowym, a więc i w N.O.W., orientując się we wrogim nastroju — jak określał — "mas" wobec sanacji zgrupowanej w Z.W.Z.

II. Rozłam w Stronnictwie Narodowym

Bardzo byłem zdziwiony szybką zmianą zdania w tej sprawie, którą Prezes ujawnił w czerwcu 1942 r. Wróciłem właśnie z inspekcji. Odbывała się odprawa Sztabu Komendy Głównej, na której był P. Czesław. Pan Michał przyszedł, gdy wszyscy już byli obecni i zakomunikował decyzję Prezesa. Było to przyłączenie do Z.W.Z. — bezwarunkowe, nie współpraca, lecz inkorporacja, bez liczenia się z wolą "mas".

Tymczasem wola ta była nie do zlekceważenia. Przez długi czas S. N. nie miało oblicza wojskowego, lecz czysto polityczne. Cała akcja, prowadzona od chwili utraty niepodległości, była niczym innym, jak kontynuacją politycznego działania partii przedwojennej. Aktualnie prowadzona praca w terenie i prasa urabiały przez długi czas powiaty i okręgi w kierunku niezależności przekonań i dążeń Stronnictwa, obarczały winą za kłę-

skę 1939 r. sanację i utożsamiały ją z Z.W.Z., której w sensie dyspozycji politycznej podlegał.

Pan Czesław, oficerowie starsi i część polityków reprezentowali stanowisko, na którym bez zmian utrzymywano się i w później prowadzonych rozmowach z gen. Roweckim (Grottem) i gen. Komorowskim (Korcziakiem-Borem). Chciano zachować utworzone oddziały, włączone do organizacji terenowej Z.W.Z., oficerów ze sztabów N.O.W. (później N.S.Z.), inkorporować w sztaby Z.W.Z., zachować swobodę wydawania i kolportowania wśród oddziałów wydawnictw narodowych. Z.W.Z. żądał "unconditional surrender", uprzedzając Anglosasów w wynalezieniu tej formuły, rozwiązania oddziałów, wcielenia jednostek, a więc zupełnego zniszczenia dokonanej już pracy.

W rozmowie, która się rozwinęła po przeczytaniu podpisanej już z Komendantem Z.W.Z. umowy, wynika konieczność poinformowania się w okręgach jak ją przyjmie teren. Praca stała w swym biegu. Zawieszenie dotychczasowej działalności poprzedzało ostateczną decyzję. Jedno było jasne — nadciągał rozłam.

Od Pana Michała otrzymałem urlop i wyjechałem na wieś. Pan Czesław obiecał poinformować mnie o rozwoju wydarzeń. W lipcu otrzymałem od niego zawiadomienie, że przyjmuje moje zaproszenie dla siebie i rodziny na odpoczynek. Po przyjeździe opowiedział mi, że za Prezesem poszły okręgi: radomski, częstochowski, częściowo kielecki, krakowski i COP. Inne okręgi, a zwłaszcza zachodnie w których zawsze Stronictwo Narodowe było najmocniejsze, stanowczo wypowiedziały Prezesowi posłuszeństwo. Z P. Stefanem poszedł do Z.W.Z. Pan Michał, a ze sztabu tylko Waław II, czasowy Szef II Oddziału.

Po rozłamie wzburzenie umysłów było tak duże, iż zachodziła obawa dojścia do władzy czynników skrajnie prawicowych, szowinistycznych, reprezentowanych głównie przez panów Adama i Romana. Adam to pseudonim bardzo energicznego przedsiębiorczego człowieka o wąskim umyśle, który z talmudystyczną dosłownością brał zalecenia Dmowskiego i nie widział ustępstw lub możliwości współpracy z innym kierunkiem politycznym. Roman był może bardziej tolerancyjny, ale choć inteligentniejszy dawał się prowadzić Adamowi. Odgrywali oni w tym czasie rolę czołowych osobistości wśród działaczy S.N. — Właściwa starszyzna każdego kierunku politycznego kryła się dość starannie, lub siedziała w więzieniach, jeśli nie była wykończona. Często się mówiło, że to już czwarty czy piąty "garnitur" trzeba było wystawić u czoła, wobec dotychczasowych strat. Nie mogli to więc być ludzie normalnej, wysokiej klasy. Ten nieprzejednany, rewolucyjny kierunek mógł być wyeliminowany od wpływów tylko przez utrzymanie władzy wojskowej. Gdyby w tym okresie oficerowie N.O.W. w całości poszli z Panem Michałem, duża część społeczeństwa byłaby wydana na łup skrajnych haseł, a więc pozbawiona zasadniczych elementów siły celowej,

którą jest kierownictwo. — Pan Czesław wiedząc o tym, a dążąc jako żołnierz do tworzenia z materiału, który mógł łatwo ująć w ręce, oddziałów zbrojnych do walki o odzyskanie niepodległości Państwa, objął dowództwo pozostałej części N.O.W.

III. Powstanie N.S.Z.

Wśród rozmów, przeprowadzanych z przedstawicielami różnych grup i organizacji niezrzeszonych, Pan Czesław wszedł w bliskie porozumienie ze Związkiem Jaszczurczym. Organizacja ta powstała w 1939 roku na siatce dawnego O.N.R., skupiała ludzi młodych, ideowych, zapalnych i bezinteresownych. Nie była ona zbyt liczna, ale sprężysta.

Na odprawie, zwołanej do Warszawy, byli obecni podlegli Komendanci Okręgów N.O.W. i Związku Jaszczurczego. Zostały proklamowane Narodowe Siły Zbrojne pod dowództwem P. Czesława. Nominacja jego była uzgodniona między częścią działaczy S.N. i Prezydium O.N.R.

Dalej P. Czesław zakomunikował mi, że mianuje mnie Szefem Sztabu N.S.Z., skracając odpoczynek do tygodnia i zabiera mnie do Warszawy celem rozpoczęcia wojskowej pracy konsolidacyjnej N.S.Z.

Jednocześnie dowiedziałem się, że nazwa N.S.Z. dotyczy ma nie tylko organizacji zbrojnej, ale i kierunku politycznego, powstałego przez połączenie S.N. i O.N.R., inaczej zwanego w kraju "Grupą Szańca" od gazety wydawanej przez O.N.R. Od początku uznawałem to posunięcie za nieszczęśliwe, gdyż dawało szansę łatwego pomawiania oddziałów N.S.Z. o rozpolitykowanie. Drukarnie wydające pisma S.N. (Walka) odeszły wraz z Prezesem Sachą. Aparatura propagandowa O.N.R. miała obsługiwać całość N.S.Z. przy współpracy S.N.

Pan Czesław mówił mi to wszystko pod jabłonkami, w sadzie. Był piękny, letni dzień. Słuchałem pułkownika, a w głowie kłębiły się różne sprawy, które wymagać będą rozbudowy i załatwienia. Zapytałem go o najważniejszą — moim zdaniem — sprawę — współpracę z Z.W.Z. — "Widzisz — powiedział mi Pan Czesław — jak jesteśmy słabi, to i z nami rozmawiać nie będą. Po rozłamie zwłaszcza. Kiedy będziemy przedstawiać się na pewno dogadamy się, zwłaszcza że z obu stron są żołnierze".

IV. Organizacja N.S.Z.

Naczelną władzą polityczną N.S.Z. była "Rada Sześciu", w skład której wchodziło dwóch przedstawicieli Str. Nar. (jednym z nich był mec. Stypulkowski), Pan Czesław i 3 przedstawiciele O.N.R. (jednym był Tadeusz Salski). Organ ten miał za zadanie nawiązania kontaktów zewnętrznych, informowanie terenu, przygotowanie projektów ustawodawczych na przyszły sejm R.P., wreszcie cywilnej organizacji społeczeństwa. Pan Czesław

zyczył sobie, abym wchodził do Rady, jako siódmy, lub jako jego zastępca. Udało mi się z tego szczytu i dodatkowej pracy wykreść, gdyż własnej mi nie brakowało.

"Rada Sześciu" powołała "Cywilną Służbę Narodu" jako organ wykonawczy, sobie zachowując kierownictwo i planowanie.

"Rada Sześciu" nawiązała kontakt z Delegaturą Rządu i starała się na drodze rozmów, o wejście do Krajowej Reprezentacji Politycznej. Sprawa nie była prosta. O.N.R., którego pieczętą półoficjalnie nosił N.S.Z. był najmocniej zwalczanym kierunkiem politycznym przed wrześniem 1939 r. Ludowcy i socjaliści widzieli w N.S.Z. reakcję, a Prezes S.N., Sacha, po rozłamie z czerwca 1942 r. nie mógł żywić przyjaznych uczuć dla konkurencyjnego kierunku prawniczego, zwalczanego zresztą zaciekle przez konserwatystów i przed wojną.

Był jednak moment ważniejszy. Szanując miłość własną polityków, a znając apodyktyczność generałów, wiedząc że teren był w ręku Z.W.Z., że Z.W.Z. otrzymywał pieniądze, miał łączność z Londynem, miał drogi wyprowadzające poza Generalną Gubernią, nie trudno rozumieć, że Delegat Rządu i późniejsza (w kolejnej zmianie nazw) Rada Jedności Narodowej była instytucją Z.W.Z. Dowództwo Z.W.Z. (A.K.) zachowywało pozory niezależności tych organów, a nawet nadrzędności, jeśli to mogło być wygodne, np. w trudnym momencie decyzji Powstania, ale de facto, władza leżała w rękach wojskowych. Wojskowi niechętnie dzielą się władzą. Uznanie choćby chwilowe, w pertraktacjach, istnienia równoległej, niezależnej organizacji było zupełnie przeciwnie nawykem myślenia. Było obrazą prestiżu! Tu był powód dla którego sprawę N.S.Z. pomijano milczeniem w oficjalnych wystąpieniach w Kraju i w Londynie. Nie starano się dojść do porozumienia, pójść na ustępstwa i doprowadzić do połączenia. Znalaziono inną drogę, a mianowicie, nagonki na N.S.Z. w swej prasie, zaczawszy od momentu "legalizmu", dojeżdżając wreszcie do określeń "buntowników" i innych soczystości. "Szaniec", będący organem politycznym N.S.Z., odpowiedział podobnie, mimo powściągnięcia przez Pana Czesława. Atmosfera zaostrzała się coraz bardziej. Na emigracji padły nawet nonsensowne zarzuty współpracy z Niemcami, które uciły dopiero, gdy rząd reżimowy oskarżył o to samo przewinienie Armie Krajowej. Załganie doszło do szczytów, wywodząc się z nierealnej ekskluzywności i poczucia obrażonej godności osobistej.

Zatrzymałem się nad tą sprawą, bo każdy nieuprzedzony czytelnik będzie zadawał od początku pytanie — "dlaczegoście się nie dogadali ze sobą — to przecież było proste!".

Organizacja wojskowa N.S.Z. była uregulowana rozkazem z sierpnia 1942 r., uzgodnionym z "Radą Sześciu". Na czele N. S. Z. stał Dowódca z nieograniczonymi prawami dowodzenia w organizacji wojskowej, która obejmowała całą Polskę. Centralnym organem dowodzenia było Dowództwo N.S.Z. Szef Sztabu

Dtwa N.S.Z. był pierwszym zastępcą Dowódcy i miał prawo inspekcji w jego imieniu. Kwatermistrz Dowództwa był drugim zastępcą Dowódcy i inspekcjonował przygotowania kwatermistrzowskie.

Teren został podzielony na Inspektoraty: Centralny, Ziem Zachodnich, Górnej Wisły, Grodów Czerwieńskich, Północno-Wschodni i Wschód. Inspektoraty składały się z Okręgów, Okręgi z powiatów.

Organizacja Sztabu Dowództwa, Inspektoratów i Okręgów, ze względu na małą ilość oficerów o odpowiednich kwalifikacjach, była zadaniem bardzo trudnym. Trzeba było sobie radzić przez wykorzystanie młodych inżynierów, prawników i ekonomistów, których sporo w swych szeregach miał dawniej Związek Jaszczurczy. Ludzie ci, ofiarni, niezmordowani w pracy, inteligentni w improwizacji, byli nerwami rosnącego organizmu. Oficerów starszych stopniem na stanowiska Inspektorów i Komendantów okręgów mianował i odprawiał Pan Czesław osobiście. Szef Sztabu Dtwa miał prawo obsadzać inne sztaby.

Praca już szła na pełnych obrotach, a braki w obsadzie uzupełniało się stopniowo. Niektóre stanowiska były "vacat" aż do Powstania. Np. Inspektorat Wschód obejmujący Polesie i woj. Nowogrodzkie nie został zorganizowany, były tam tylko luźne grupy. Inspektorat Ziem Zachodnich pracował w Warszawie, gdyż w Poznańskim, na Pomorzu i Śląsku było niemożliwością prowadzić akcję tak jak to miało miejsce w Generalnej Gubernii. Tam były najczęstsze straty, najtrudniejsze trasy kurierów.

Sztab Dowództwa dzielił się na Oddziały. I Oddział podlegał mjr. "Kubie". Organizacja na papierze — wykazy i ewidencje — należała do niego. Ale organizacja żyjąca i pulsująca to był inżynier "Wiktor", zamordowany przez komunistów w 1945 r., II. Oddział — wywiadu i kontrwywiadu prowadził "Hubert", mecenas warszawski, zamordowany przez Gestapo w Krakowie w 1944 r. Potrafił dobrać sobie ludzi, pracował głównie młodzieżą, umiał wyciągać b. ciekawe i ważne wiadomości. Pamiętam, że np. wiadomości o przerzucie transportów marynarki wojennej z Bałtyku do Rumunii przekazaliśmy do Londynu przez A.K. Hubert miał nadzieję wyciągnąć tą drogą z A.K. nieco pieniędzy, ale to się nie udało. Zastępcą jego był "Krzyś", bardzo zdolny pracownik. Dwójka miała swe wtyczki do Gestapo. Pozwalało nam to uniknąć wielu ciosów, a przydawało się znakomicie przy fabrykowaniu fałszywych dokumentów.

Oddział III., operacyjno-wyszkoleniowy, kierowany przez "Wacława trzeciego" (w odróżnieniu od "drugiego", który przed tym w N.O.W. miał wywiad) organizował i kierował wyszkoleniem oficerów, podchorążych i podoficerów. Szereg wydanych regulaminów i instrukcji pozwolił na ujednoczenie szkolenia. Niektóre z nich, jak np. "Vademecum Dowódcy Plutonu",

obficie ilustrowane fotografiami, były wydane na bardzo dobrym poziomie.

Teoretyczne prace Oddziału Komunikacji, którym kierował pułk. dypl. Kurcysz i Oddziału Łączności Operacyjnej, gdzie Gestapo po kolei aresztowało trzech szefów — pozwoliły osiągnąć gotowość w dziedzinach trudnych przy małej ilości specjalistów, bo do Francji wyciągnięto z Kraju, oprócz żołnierzy broni pancernej, przede wszystkim żołnierzy wojsk łączności.

Oddział IV — Oświaty — wydawał miesięcznik "Naród i Wojsko". Pismo zawierało głównie przekłady z prasy niemieckiej i rosyjskiej. Mała ilość oficerów, zapracowana w sztabach i oddziałach, nie miała czasu na opracowywanie swych rozważań. Miesięcznik był zupełnie wyprany z elementu politycznego. Podlegał on mnie, w odróżnieniu od "Szańca", "Placówki" i "Zalogi", wydawanych przez władze polityczne. Prócz pism tych, kolportowanych z centrali, okręgi wydawały swoje pisma, zaś niemal każdy powiat i oddział powielał wiadomości z nasłuchu radiowego.

Zwrócono uwagę na samokształcenie oficerów i szeregowych, dostarczano potrzebnych książek.

Jeszcze jeden organ Sztabu powstał nieco później. Był to Centralny Wydział Finansowy, mający swe odpowiedniki w okręgowych i powiatowych W. F. Rozrost organizacji wymagał uporządkowania dopływu pieniędzy. Budżet opracowywał "Izydor", najwyżej na dwa miesiące naprzód, bo z wpływami ciągle było źle.

Dla A.K. Londyn stale słał pieniądze. Szły co miesiąc przesyłki przez granicę, a później w pasach spadochroniarzy złoto i dolary, które miały coraz bardziej wysoki kurs w kraju.

N.S.Z. pieniądze mógł zdobyć lub dostać. W napadach na kasy administracji G.G., na transporty pieniędzy z banków niemieckich, wreszcie na składy i instytucje okupanta — zasobne w cukier, spirytus, skóry i inne cenne wówczas przedmioty — zdobywano pieniądze lub materiały, które sprzedawano. Okręg, którego oddział dokonał akcji, miał prawo zatrzymać dla siebie 50% zdobyczy na własne potrzeby, 50% odprowadzał do C.W.F.

Ofiary osób zamożnych (coraz mniej ich było w Polsce) i wpływy ze sprzedaży bonów, wydanych przez C.W.F., były pomocą społeczną i manifestacją poparcia N.S.Z.

Wydano regulaminy, ustalające zasady administrowania funduszami.

Wpływy były jednak małe w stosunku do potrzeb. W listopadzie 1943, gdy wyjeżdżałem z Kraju, budżet miesięczny zamykał się cyfrą około 2.000.000 zł., tj. około 2.000 dolarów.

Był to budżet głodowy, wystarczający z trudem na część potrzeb. Nie było niemal wcale "gażystów". Pracowano bezinteresownie w pełnym znaczeniu tego słowa.

Kwatermistrzostwo N.S.Z. i jego służby nie ruszyły poza

wstępne opracowanie. Brak fachowców wojskowych utrudniał pracę. Zresztą przekonanie o nieuchronnej — zgodnie ze zdrowym sensem — współpracy z A.K. przed powstaniem, odstręczało od papierowego, podwójnego administrowania zapasami jednego Kraju, który znów miał zerwać się do boju.

W niektórych wypadkach udało się poza wiedzą Dowódcy A.K. uzyskać współpracę niektórych służb A.K. — W płaszczyźnie sanitarnej lekarze porozumieli się o wiele łatwiej, niż wojskowi i politycy.

V. Prace N.S.Z.

Dowódcy N.S.Z. moc czasu zajmowała "Rada Sześciu", próby porozumienia z A. K., co w warunkach konspiracyjnych, przy obustronnym ubezpieczeniu się nie było rzeczą łatwą, wreszcie rozmowy scalające z rozmaitymi grupami dotąd niezależnymi i chodzącymi różnymi drogami. Te ostatnie mogły taić niebezpieczeństwo prowokacji.

Pan Czesław stawiał sobie za cel przygotowanie oddziałów i sztabów organizacji, uważał za konieczne przeszkolenie w walce w terenie, ale wyraźnie zastrzegł się przeciw akcjom w dużych skupiskach ludzkich, gdzie odwetowe mordy ludności przekreślały pozorne osiągnięcia.

Powstanie widział, jako działanie możliwe dopiero po pełnym załamaniu się Rzeszy na froncie i wewnątrz kraju. Niemcy w ucieczce mogli stanowić cel uderzenia. Niemcy nadłamanie, ale walczące, znaleźć mogły zawsze dość siły na zniszczenie słabej, improwizowanej armii i ludności. Przewidywał, iż pierwsze dni powstania mogą doprowadzić do opanowania kraju, ale większe centra będą się bronić i dopiero wojska nasze z Zachodu wraz z aliantami zakończą działania. — Rosja, wówczas jeszcze (1942) bita przez Niemców, nie następczała zmartwień. Wieści (nieprawdziwe) o koncentracjach alianckich w Syrii i Libanie zdawały się potwierdzać wersje o działaniu przez Bałkany. W rozważaniach, które Pan Czesław prowadził ze mną, ani przez chwilę nie brał pod uwagę ewentualności nie osiągnięcia jakiegoś rozsądnego porozumienia z A.K., a więc i udział nasz w powstaniu wypadał nam według ich planu. Mieli po temu o wiele więcej danych: kontakt stały z Londynem i lepszą aparaturę.

"Rada Sześciu", które ze względów konkurencyjnych chciała przygotować do własnego powstania, z trudnością rezygnowała przed argumentami wojskowymi.

Plan powstania został więc opracowany ze względu tylko na zaprawę myślową oficerów, jako ramy ćwiczeń aplikacyjnych w poszczególnych Okręgach.

Ćwiczenia aplikacyjne oficerów były przeprowadzane w Sztabach Okręgów przez Szefów Sztabów i przez inspekcje z Centrali. W Warszawie były organizowane kursy aplikacyjne dla

dowódców kompanii przed objęciem baonów. Kursy te prowadzili oficerowie zawodowi, posługując się przebiegiem ćwiczeń C. W. Piech. w Rembertowie. Oprócz innych działań zajmowano się przede wszystkim walką w miejscowościach.

Brak oficerów i chęć właściwego wykorzystania młodzieży akademickiej (studiującej konspiracyjnie) i uczniów najstarszych klas liceów zmusiły nas do zorganizowania Szkół Podchorążych. Najlepiej udało się Podchorążówką w stolicy. Ten wielki las budynków, fabryk, cmentarzy i rozległych przedmieści, dochodzących do lasów, nadawał się wybornie do tego celu. Młodzieży było nadmiar i dość instruktorów. W Łodzi i we Lwowie również utworzono Podchorążówki. Praca ich była niepomierne trudniejsza. Lwowiacy prawie wyłącznie pracowali nocami. W sumie na sześciomiesięcznych kursach przeszkolono ponad 600 podchorążych.

Okręgi swoim staraniem organizowały szkolenie podoficerów. Niektóre kursy miały warunki zupełnie dobre. Te, które pracowały w większych miastach — oprócz Warszawy — napotykały na duże trudności w organizacji zbiorów i wynalezieniu lokalów. Szkolono nowych podoficerów i doszkalano zawodowych i rezerwy, będących na funkcjach w oddziałach. Dowódcy okręgów przyznawali stopnie st. szeregowca i kaprała.

Stany oddziałów rosły z miesiąca na miesiąc. Była wprawdzie nieodłączona w konspiracji i przy rywalizacji — jak w tym wypadku z AK, — dążność do podawania cyfr przesadzonych, a nadto istniała fluktuacja ludzi między organizacjami. Zależało to od energii dowódców terenowych i ich wpływów w terenie, a także chęci wykazania się osiągnięciami. Odejmując jednak pewien procent na te braki i kontrolując stany przy inspekcjach, raport stanu na 1 października 1943 r., przed moim wyjazdem do Naczelnego Wodza, wynosił 865 oficerów, 681 podchorążych, 5.941 podoficerów, 64.942 szeregowców. Razem 72.429.

Przy nakazanej jeszcze w N.O.W., a później ujednocionej w N.S.Z., organizacji liczba wymieniona pozwoliła utworzyć: 41 baonów, 166 kompanii samodzielnych i 150 plutonów samodzielnych.

Nie znaczy to, by jednostki te były jednakowej wartości, tak jak się tego zazwyczaj wymaga w normalnych warunkach. Były duże różnice w stanach i etatowej ścisłości (brak specjalistów i brak oficerów), mniejsze lub większe braki broni (od 10 — 30% broni było tylko w oddziałach), wreszcie niewyrobienie w działaniach kompanią i baonem, gdyż ćwiczenia przerażano tylko drużyną i plutonem.

Kiedy jednak żołnierz ten brał udział w walce, dostawał broń do ręki, jak np. w Akcji Specjalnej — o czym niżej — bił się do brzo, broń zdobywał, zwierniał się i hartował. W drugiej połowie 1942 r. we wschodnich województwach Kraju, a nawet w Lubelskim i częściowo Warszawskim zaistniały warunki przypominające "Dzikie pola". Napady bandyckie, mające miejsce od

czasu do czasu niesłychanie wzrosły na sile. Męty miejskie i wiejskie, Żydzi zbiegli z ghejt lub z transportów, wreszcie coraz bardziej zwiększająca się ilość zbiegłych jeńców sowieckich, mających głodowe warunki w obozach (Obóz w Poniatowej, lubelskie — w którym było 16.000 jeńców stopniał do 300 na wiosnę 1943 r. Jeńcy mieszkali w barakach nieopalonych przy 30° mrozie i byli żywieni mrożonymi wytlókami z cukrowni, które podawano torem na wagonikach) — tworzyli bandy po kilkunastu lub kilkudziesięciu i rabowali zarówno dwory jak i chłopów. Bandy te omijały małe miasteczka, gdzie były posterunki niemieckie lub granatowej policji. — Niemcy wobec działalności bandyckiej i coraz żywszej akcji A.K. nie ruszali w teren od zmierzchu do świtu. Siedzieli w budynkach mocnych, zamkniętych i nierzadko zaopatrzonych w strzelnice. W dzień nawet niechętnie zpuszczali się do lasów, chyba na obławę, a i to dużymi oddziałami.

Wieś pozostała więc zupełnie bez osłony, wydana na łup band.

Dowódca N.S.Z. w październiku wydał rozkaz rozpoczęcia częściowej akcji zbrojnej.

Uruchomiono "Akcję Specjalną Nr. 1". Małe oddziały wybrane na ochotnika, w sile plutonu, uzbrojone w 50 — 70%, miały likwidować bandy rabunkowe, prowadzić walkę z drobnymi oddziałami okupanta i wreszcie przez napady na urzędy skarbowe, poczty itp. zdobywać środki materialne.

W trosce o życie ludności, wystawianej na zemstę żandarmarii niemieckiej gdy jakiś oddział, lub nawet pojedynczy Niemiec był zabity lub ranny — rozkaz regulujący "Akcję" nakazywał zachowanie wszelkich pozorów, mających wprowadzić w błąd okupanta. Oddział A.S., uderzający na Niemców miał ubierać się w mundury sowieckie (pełno ich było, gdyż chłopci kupowali je od jeńców za chleb) i mówić po rosyjsku, zaś dla ochrony przed zemstą bandytów działać w mundurach niemieckich.

Czasem wprawdzie i mundury nie pomagały. Któregoś ranka u nas, na wsi, zostałem obudzony cichym stukaniem w okno i — "Tu swoi — może Pan wyjdzie". Przed gankiem stoi patrol, jak należy, za Niemców przebrany, konno, ale mundury nie zapięte, pasy zwisają na kolana, a hełmy dyndają się przy łożkach. — Chodziło im o owies. Dałem im sam, by służby nie budzić, a potem zburczałem, że tak jeżdżą, jak ofermi, dowódcę objechałem jak należy i po kilku minutach porządnie już ubrany patrol odjechał.

Jak bardzo cały Naród był zespolony podczas okupacji odczuwałem na sobie. Oficer zawodowy, znany w okolicy, mieszkałem, gospodarowałem i często bardzo wyjeżdżałem. Zameldowany w powiecie jako oficer rezerwy, nie zdradzony przez nikogo, wiele razy ostrzeżony i przechowywany przez chłopów-siąsiadów. Księży i pewnych znajomych prosiłem, by narzekali dość powszechnie, że w taki gorący czas nic nie robię, choć prawie

każdy należy do organizacji. Kiedyś, poczciwy Jan P., sąsiad nasz, przyszedł do mnie, w sad daleko wyprowadził i... zaczął mnie namawiać do N.S.Z.

"Akcja Specjalna" doprowadziła do rozbitcia szeregu oddziałów żandarmerii i policji niemieckiej. Zlikwidowano wiele band rabunkowych. Pamiętam potyczki pod Borowem, Kamienną Górą, Wilkołazem, Ujściem.

Działania oddziałów A.S. spotkały się z całkowitym poparciem ludności, przyjmującej z zadowoleniem wykonywanie opieki nad jej bytowaniem.

Na jesieni Niemcy rozpoczęli planową akcję wysiedleńczą w Zamojskim. Mówiło się o stworzeniu pasa osiedli niemieckich na wschód od Wisły. Miało to być preludium do wypełnienia przez nadmiar Niemców całej G.G., której ludność po bliskim już zwycięstwie nad bolszewikami miano jak zawadzające, stare meble przesunąć "nach Osten".

Pan Czesław polecił zorganizować "Akcję Specjalną Nr 2" dla udzielenia pomocy wysiedleńcom. Skupiano wysiedlonych chłopów, tworzone w lasach oddziały i nękano świeżo osiedlonych kolonistów tak dokładnie, że wielu nie chciało pozostać na ładnych, scalonych gospodarstwach. Zwiększano oddziały żandarmerii. Nad okolicą ukazywały się luny. Walka trwała.

"Hubert" nieraz mnie ostrzegał przed wzrastającą aktywnością komunistyczną. Przycichli po 1939 r., przy działającym sōjuszu Hitler — Stalin, szybko wycofujący się razem z czerwonymi wojskami po czerwcowym uderzeniu, wrócili na rozkaz do pracy destrukcyjnej. Rozkład starali się wnieść nie tylko w szeregi okupanta. Wystąpili przeciwko N.S.Z. w swych broszurach i pismach.

Kontrakcja przyszła szybko. Nieuwikłani w mrzonki znakomych polityków z Londynu, nie ulegaliśmy ani na chwilę złudzeniom możliwej współpracy z komunizmem, jako ideologią i nie wierzyliśmy, by stamtąd mogło dla Polski przyjść coś innego niż niewola, niemniej straszna niż doznawana wówczas. Wyszedł rozkaz, zalecający zwalczanie komunistów w prasie i na wykładach przez wyraźne uświadomienie o doznanych w ciągu wieków "dobrodziejstwach" białych i czerwonych carów i drugi, nakazujący walkę z bandytami, teraz (początek 1943 r.) nierzadko występującymi pod dowództwem zrzutków sowieckich, specjalnie do tej roli przygotowanych.

Było kilka spotkań naszej A.S. z oddziałami komunistycznymi, wykorzystanych do rozpętania burzy inwektyw przeciwko N.S.Z. "Szlachecka reakcja we krwi ludu pracującego chce utopić nowy ład...", rozpoczynały się obiecujące pomstę artykuły. Tymczasem "nowy ład" polegał na starym obrabowywaniu wsi, teraz już usprawiedliwionym ideologicznie.

Akcja A. S. zarówno Nr 1 jak i 2 zadanie wykonała. Oprócz celu głównego — ochrony ludności, pozyskała również pewną ilość pieniędzy i materiałów, które wsparły pusty beznadziejnie C. W.

Finansowy. Była również zaprawą bojową dla adeptów podchorążówek, których przydzielono do oddziałów z centrali.

Organizacja rozrośnięta faktycznie na cały obszar Państwa z wyjątkiem wschodu, sięgająca placówkami wywiadu zagranicę — na Litwę, do Berlina, na Węgry i do Rumunii — przedstawiała problem zwiększających się trudności dowodzenia. Komunikacja kolejowa, wobec wzrastającej ilości łapanek, była coraz mniej pewna, choć powszechnie używana. Pociągi chodziły coraz mniej dokładnie. Trudno było ustalić z góry kiedy się wyjeżdża, a jeszcze trudniej wiedzieć gdzie się dojedzie. Całe pociągi nieraz po przejrzeniu dokumentów i rewizji w Dęblinie kierowano na Majdanek. Oświęcim również często był punktem końcowym rozpoczętej podróży służbowej. Przejazdy ciężarowymi wozami, których pewną ilość miał w ręku handel polski, były bardziej bezpieczne, ale jeszcze trudniejsze do uchwycenia niż pociąg.

Poczta i telegraf działały dość dobrze i przy umówionych kodach można było przekazać krótkie wiadomości.

W tych warunkach inspekcje ciągnęły się długo, kurierów trzeba było dublować, a odprawy w centrali urządzić jak najrzadziej. Jednak co kilka miesięcy trzeba było zbierać komszefów okręgów i ich Szefów Sztabów. Szefowie Oddziałów Sztabów musieli również przeprowadzać odprawy resortowe, lub zwywać imiennie oficerów.

Odprawa, na której bywało do trzydziestu panów, była imprezą poważną. Znalezienie odpowiedniego lokalu, ubezpieczenie, zapewnienie kwater — przy zasadzie, by ten sam przyjezdny nie spał więcej niż jedną noc w tym samym miejscu — pochłaniało moc pracy i starań.

Wiktor i Benedykt (znany architekt Warszawy) cudów dokonywali, by wszystko było na czas i w odpowiednich warunkach. Wszystkie odprawy przebiegały spokojnie, tak dobrze były konspirowane.

W ogóle aresztowania były nieliczne i nie mogły dojść do Dowództwa N.S.Z. Wspaniały materiał ludzki, ideowy, zupełnie pewny, po aresztowaniach nie sypał, kończył się w więzieniu lub w obozie, ale nie rozpowszechniał klęski, która dotknęła jednostkę. Zawsze jednak trzeba było przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności — likwidować kwatery, przenosić biura, lub punkty przekazywania poczty. Aresztowania wprowadzały pewną krótkotrwałą komplikację prac. Było to nagłe zahamowanie biegu jednego z wielu prądów tej samej rzeki. Po kilku dniach szedł bez zmiany energii nowym łożyskiem.

Ofiarność w pracy, w przygotowaniu i prowadzeniu walki jest obowiązkiem i elementarną cechą mężczyzny. O ilez bardziej należy podnieść dzielność, wytrwałość i przytomność łączniczek i maszynistek w sztabach i sanitariuszek w polu. Ich służba ocaliła życie niejednemu i utrzymała dobry nastrój w najcięższych dniach.

Walka w ciągu trzyletniego okresu, przy dopływie ludzi wciąż

nowych, ale zawsze z tych samych, ideologicznie pewnych, sieci organizacyjnych, wykluczała infiltrację wywiadu niemieckiego i komunistycznego. Ten ostatni walczył z przeciwnikiem bez pardonu — donosem do Gestapo likwidował wroga.

Minimalne zaopatrzenie w pieniądze, udzielane zazwyczaj jako zwrot kosztów (lub części) podróży, rzadziej jako gaża wypłacana personelowi zajętemu wyłącznie pracą w organizacji, bez możliwości zarobkowania, nie pociągało jako źródło dobrobytu. N.S.Z. nie przyznawało żadnych odznaczeń nawet za najbardziej ofiarną i bohaterską pracę. Nie było również awansów, poza podoficerskimi.

Wszystkie te dane pozwalają mi stwierdzić bardzo wysokie morale ludzi w walce, od A.S. do Sztabów, nie mniej zagrożonych, a zawsze mniej lub wcale nie uzbrojonych.

VI. Próby porozumienia z A.K.

Władze polityczne organizacji, częściowo pod naciskiem P. Czesława, oprócz rozmów z przedstawicielami Delegatury i członkami Rady Jedności, próbowały porozumieć się z dowództwem A. K. Nie posuwano się jednak ani na krok.

Pan Czesław kilkakrotnie rozmawiał z gen. Korczakiem, wówczas zastępcą Dowódcy A.K. — po powrocie z każdego kontaktu Pan Czesław dokładnie opowiadał mi przebieg. Rozmowy te były jałowe, choć przyjazne, dość częste, ale bez rezultatów. Kiedy dochodzono, jak się P. Czesławowi zdawało, do pewnej zgody, kiedy chciał to ująć w formę pisemną, gen. Korczak uchylał się tłumacząc brakiem pełnomocnictw i rozstawał się w celu odwołania do gen. Grota, jako swego mocodawcy.

Pan Czesław stał na stanowisku radiogramu Naczelnego Wodza, który został mu pokazany przez generała Korczaka w pierwszej rozmowie.

Radiogram, wysłany przez Generała Sikorskiego, miał treść następującą, nie à la lettre, gdyż cytuję z pamięci. "Ze względu na konieczność jednolitego kierownictwa wojskowego w Kraju i stworzenia, ze względów wojskowych i propagandowych, jednej siły, co ułatwi mi rozmowy z Anglosasami, żądam od Pana Generała:

- a) podporządkowania sobie wszystkich organizacji zbrojnych na terenie Rzeczypospolitej;
- b) nawiązania współpracy wojskowej z tymi organizacjami, które nie dałyby się inkorporować ze względów politycznych lub innych;
- c) wykluczam od a) i b) organizacje o charakterze komunistycznym lub komunistycznym".

W późniejszych rozmowach Dtwo A.K. nie wspominało o istnieniu tego radiogramu, odwrotnie, starało się podkreślić, iż rozkazy z Londynu idą w kierunku bezwzględnej inkorporacji i usuwać zupełnie treść punktu b), co stworzyło zupełnie inne

podstawy rozmów. Byłoby rzeczą ciekawą stwierdzić teraz w archiwum jaką dosłownie treść miał ten dokument, kiedy był datowany i w ogóle oświetlić zagadnienie stosunku N.S.Z. i A.K. od strony dyrektyw N. Wodza.

Pan Czesław wielokrotnie rozmawiał z "Obserwatorium" z A.K., wyznaczonym na oficera łącznikowego dla spraw N.S.Z. "Obserwatorium" podkreślał, iż nie widzi żadnych uzasadnionych powodów do nieosiągnięcia jedności wojskowej. Rozumiał je jako trudności natury politycznej i personalnej i bardzo ostro przeciwko nim występował.

Chcąc rozszerzyć płaszczyznę rozmów, dążących do porozumienia, uzyskałem zgodę Dowódcy N.S.Z. na stosowanie dróg własnych. Przez mjr. dypl., Bohdana Zielińskiego, mego koleżę z promocji W. S. Woj. starałem się o rozmowę z płk. dypl. Tatarem, wówczas zastępcą Szefa Sztabu A.K. i z płk. dypl. Rzepeckim, Szefem Biura Informacyjno Prasowego (BIP). Pomimo rocznych prób nie uzyskałem widzenia tych panów, którzy jako moi wykładowcy z W. S. Woj. mogli ułatwić nam osiągnięcie zamierzonego celu.

Kontakt z "Obserwatorium" przekazany mi przez Pana Czesława nie mógł nic dać. Był to żołnierz, jak i my, myślał po prostu i kulisy spraw były dlań ciemne, a one decydowały.

Przez sekretarkę, czy adiutantkę (tak ładniej brzmiało w tamtym czasie) P. Zofii Kossak, będącej wówczas czołową lub jedną z czołowych postaci w organizacji "Front Modlitwy i Pracy" starałem się o rozmowę z Szefem Sztabu A.K. Mecenas, ojciec wspomnianej panienki, zawiadomił mnie, że na spotkanie stawi się oficer, zajmujący wysokie stanowisko w Sztabie A.K. w stopniu pułkownika, o pseudonimie "Doktór".

Na spotkanie zostałem zaproszony w marcu 1943 do małej kawiarenki przy ul. Puławskiej w pobliżu ul. Odyńca. Było wyznaczone na g. 12.00, mecenas gwarantował, że w tym czasie lokal jest zupełnie pusty. Po wejściu stwierdziłem, że przy stoliku siedzi 4-ch ludzi w sile wieku, wszyscy z pałkami. Zwróciłem na to uwagę mecenasa, który powiedział, że to zupełnie przypadkowe, że nie należy się niczego obawiać. Wkrótce przyszedł mój rozmówca, tytułujący się pułkownikiem, również z pałą w rękę wraz z młodym człowiekiem podobnie uzbrojonym. Kiedy zwróciłem uwagę mojemu rozmówcy na tło i otoczenie i wyraziłem przypuszczenie, że cztorej przy stoliku mogą być agentami Gestapo, chwilowo ściszył głos, by potem mówić zupełnie głośno. Stało się oczywiste, iż była to koncentracja szcściu na jednego, gdyż mecenasa mającego ponad 60 lat nie można było uwzględnić w zestawieniu sił. Przybyły był wzrostu raczej wysokiego, postawy wojskowej, choć trzymał się pochyło. Twarz ze śladami ospy. Był to gen. Pełczyński, Szef Sztabu A.K.

Na konkretnie rozpoczętą rozmowę, w której starałem się przedstawić dyspozycyjne siły N.S.Z., ich zasięg i korzyści zjed-

noczenia na terenie Polski, generał chwycił mnie w pewnym momencie za ramię, nachylił się przyjacielsko i powiedział: "Niech Pan, Panie kapitanie, złapie co się da, kilka batalionów i do nas przyciągnie, a na pewno Pan będzie za to awansowany i w ten sposób osiągniemy porozumienie". Odpowiedziałem, że to nie jest solidna i właściwa dla mnie propozycja. Rozmowę traktuję poważnie i chodzi mi o scalenie, na pewnych logicznych warunkach całości, a nie rwanie tego, co się już dokonało. Na zakończenie mój rozmówca podał punkt i telefon, z którym mogłem się komunikować dla przygotowania dalszych spotkań.

Kiedy po rozmowie zameldowałem jej treść Panu Czesławowi, rozkazał mi kategorycznie zerwanie nawiązanego kontaktu, wyrażając się bardzo niepochlebnie o tak zorganizowanej rozmowie między oficerami.

Pan Czesław zniechęcony przewlekającymi się pertraktacjami z gen. Korczakiem (Borem-Komorowskim) dążył do kontaktu bezpośredniego z Dcą A.K. Udało się to wreszcie w maju. Rozmowa miała przebieg pozytywny. Gen. Grot interesował się przede wszystkim osiągnięciami N.S.Z. na terenach Ziemi Zachodnich, gdzie możliwości A.K. były raczej niewielkie. Kończąc gen. Grot wyraził chęć zachowania dorobku oddziałów narodowych i obiecał w następnym spotkaniu zaproponować warunki układu do omówienia. — Pan Czesław, po powrocie z rozmowy, określił ją, jako pierwszą konkretną, dającą duże prawdopodobieństwo ugody. Wypadki tragiczne przerwały te rozmowy. W końcu czerwca gen. Grot-Roweckij został zaaresztowany i wywieziony do Berlina. W kilka dni później miałem meldunek z "dwójki" o adresie, gdzie był więziony. Przekazałem to A.K.

Pan Czesław, który nie miał powodów do narzekań na uregulowanie bezpieczeństwa organizacyjnego — nie mieliśmy większych aresztowań — nie chciał powierzyć swej osoby fachowej opiece. Choć pod moim naciskiem przeniósł się od ks. prałata Trzeciaka, gdzie zbyt wiele ludzi bywało, choć rozstał się z rodziną — zamieszkał u prof. Sołowjowa (podobno wykładowcy Politechniki Warszawskiej) na Bielanach. Żona jego, o wiele od profesora młodsza i energiczniejsza, miała gwarantować bezpieczeństwo pułkownika. Profesor był starcem, mało się udzielał. Zawsze u nich było pusto. Adres znany był mnie i łączniczkom pułkownika.

W pierwszej połowie lipca 1943 roku Gestapo zaaresztowało Pana Czesława w mieszkaniu Sołowjowa. Podejrzanie padło na żonę profesora. Dochodzenie prowadziła "dwójka". Do mojego wyjazdu z Kraju nie nabrano pewności kto doniósł.

Byłem wówczas na wsi. Przyjechała łączniczka, by mnie o tym zawiadomić. Byłem pierwszym zastępcą Dcy N.S.Z. i teraz powinienem był objąć automatycznie dowodzenie.

Rolę swą pojmowałem poważnie. Widziałem coraz bliżej moż-

liwość wybuchu powstania, powstania wywołanego przez A.K. Wobec braku porozumienia cała masa pracy włożonej, cała siła organizacji — mogły pójść na marne, nie włączyć się do wysiłku oswobodzenia, co było celem zasadniczym. Oprócz trudności czynionych przez A.K. widzieliśmy z Panem Czesławem trudności czynione przez własnych, organizacyjnych polityków. Mieli oni swe uzasadnione obawy przed bezwarunkowym oddaniem się w dyspozycję A.K., ale czy były one jeszcze nie spreeczowane, czy Panu Czesławowi nie przemawiały do przekonania, dość że z "Rady Sześciu" wynosił i mnie przekazywał niezadowolone z obstrukcyjnego stanowiska cywilnych panów. Szczerze chcę wyrazić uczucia, które często nurtując wojskowych i cywilnych przy wspólnej pracy, nie były i nam obce. W głębi naszych umysłów istniało przekonanie, że gdyby polityczne trudności usunąć, my oficerowie stron obu, nie widzielibyśmy żadnych przegród między sobą. To uproszczone pojmowanie zagadnień politycznych długo mi jeszcze będzie towarzyszyć, by dopiero później, w Londynie, zrozumieć istotne powody zastrzeżeń "Rady Sześciu" przeciwko połączeniu.

Wówczas jednak, gdy zastanawiałem się nad tym, co czynić widziałem wśród polityków organizacji przeszkodę w unifikacji elementów siły i wzorem wszystkich wojskowych chciałem wolnej ręki w ważnych pertraktacjach.

Próbując wykorzystać tę trudną sytuację, w którą wepchnęło nas aresztowanie Pana Czesława pragnąłem przyspieszyć porozumienie z A.K., a na wewnątrz uzyskać mocniejsze stanowisko Dowódcy N.S.Z. wobec politycznego ciała "Rady Sześciu". Nie wyjeżdżając więc do Warszawy wysłałem przez łączniczkę pismo, w którym podkreślając trudności przedpowstaniowe, płynące z rozdzielenia sił organizowanych, żądałem podporządkowania się "Rady Sześciu" moim posunięciom, które będą dążyć do stworzenia jednej siły zbrojnej z A.K. Po otrzymaniu takiego zobowiązania — oświadczyłem — natychmiast przyjadę i obejmę dowodzenie.

Zdawałem sobie sprawę, że było mało szans na przyjęcie mej propozycji przez polityków. Ultymatywny jej ton, żądanie rezygnacji z decyzji o dalszym niezależnym istnieniu N.S.Z., próba zamachu stanu — jeśliby ktoś chciał używać słów większych — ale nie poparta siłą, wszystko to przesądzało o niepowodzeniu. Zmęczony jednak przedłużającą się, nierealną sytuacją dwóch wojsk w jednym Kraju chciałem ją zakończyć, lub przynajmniej próbować to uczynić.

Odpowiedź nie nadchodziła. Starałem się w tym czasie doprowadzić na terenie lubelszczyzny do miejscowego porozumienia dowódców okręgów obu stron na wypadek powstania. Doszło do spotkania w Lublinie, w którym brałem udział jako przedstawiciel Dłta N.S.Z. Ustaliliśmy wzajemne ostrzeżenie się przed zamierzonymi uderzeniami okupanta, a na wypadek powstania

działanie wspólne siłami, będącymi wówczas w dyspozycji obu organizacji.

W pierwszych dniach sierpnia udałem się do Warszawy, ponieważ "Rada Sześciu" milczała. Poinformowano mnie, że "Rada Sześciu" mianowała Dowódcą N.S.Z. płk. dypl. Kurcyusza. Wiedziałem o nim, że przez pewien czas był w Dowództwie Z.W.Z., a potem, po bliżej nieznanym mi nieporozumieniu, z organizacji tej wystąpił. Wszedł w kontakt ze Związkiem Jaszczurczym jeszcze w 1941 roku. Zagrożony aresztowaniem, ukrywał się dość dokładnie. Oddał swą pracę do dyspozycji N.S.Z. i nie widząc go nigdy osobiście wykorzystałem pułkownika, jako szefa Oddz. Komunikacji. Moje wytyczne, jako Szefa Sztabu i jego elaboraty były dostarczane obustronnie przez jego współpracowników-oficerów.

Pułkownik Kurcysz używał w tym czasie pseudonimu gen. Morski i gen. Mars. Leżał w szpitalu przy ul. Nowogrodzkiej, po operacji. Zajmował oddzielny pokój i mimo dużego osłabienia przyjmował w najważniejszych sprawach. Zameldowałem się u Dowódcy. — Powiedział mi, że będzie pracował ze swym przyjacielem, który obejmie obowiązki Szefa Sztabu. Mnie, jako młodszemu chce powierzyć stanowisko oficera sztabu do specjalnych poruczeń, z zasadniczym przeznaczeniem inspekcjonowania terenu. Zapytał — czy mi to odpowiada. — Przed decyzją pragnąłem dowiedzieć się, jak w planach pułkownika przedstawia się unifikacja wysiłków podziemnych w Polsce, zwłaszcza w okresie powstania. Dowiedziałem się wówczas, że przedstawiciel Dcy A.K., wyznaczony do rozmów z nami, zerwał kontakty, a sam płk. Kurcysz (prawdopodobnie w związku z objęciem Dtw N.S.Z. - ?) został skazany na karę śmierci przez A.K. za dezercję. — Uniósłszy się na łóżku, błdy zapytał mnie — czy widzę jakieś dalsze możliwości porozumienia?

Nie widziałem ich w Kraju. Uważałem, a dawno mi ta myśl spokoju nie dawała, że tylko Naczelny Wódz swoim autorytetem może scalić obie organizacje. Nie byliśmy nawet pewni czy Londyn wie o istnieniu N.S.Z. (jak się okazało wiedział bardzo mało).

Zameldowałem ten punkt widzenia Dowódcy i zaproponowałem siebie na oficera łącznikowego.

Pułkownik przystał na moją propozycję i kazał mi rozpocząć przygotowania do podróży.

Warszawa w tym czasie — październik 1943 roku — robiła wrażenie nawet na ludzi zahartowanych podziemną walką. Terror sięgał szczytu. Co kilka dni Niemcy publicznie rozstrzelali po 20 więźniów politycznych. Pierwsza egzekucja odbyła się w Al. Niepodległości. Kiedy wczesna ciemność nadciągała a światła były zabronione przez obronę przeciwlotniczą, tłumy zbierały się na placach i z głośników podawano nazwiska następnej dwudziestki, która będzie niezwłocznie rozstrzelana, jeśli w stolicy nastąpi jakiś akt zabójstwa Niemców lub agentów.

Godziną policyjną była ósma wieczorem. Przy szeregu łapanek, nieregularnych i często zatrzymywanych tramwajach trudno było szybko przebywać Warszawę.

Hubert, kiedy mu powiedziałem o rozkazie wyjazdu do Londynu zaproponował mi kilka tras. Do Odessy z organizacją Todt'a, stamtąd do Istambułu statkiem tureckim, który miał tam co tydzień zawijać. Do Rygi bez trudności, po czym pod węglem, frachtowcem do Szwecji. Przez Niemcy, Francję, Hiszpanię do Lizbony. — Odrzuciłem wszystkie, bo nie wierzyłem w ten turecki statek, nie chciałem się zadusić pod węglem i nie znałem dość dobrze niemieckiego, by jechać przez okupowaną Europę jako oficer Todta. — Co Pan myśli o drodze przez Bałkany do Turcji? — "Do Budapesztu pewna, a potem nie ma szans". Zdecydowałem właśnie przez Węgry!

3 listopada odmeldowuję się u Dowódcy i żegnam się ze Sztabem. Nazajutrz wieczorem, gdy dzielny Wiktor z pustej kasy wytłoczył 100 dol., a Rysio, wywiadowca, resztę doniósł na Dworzec Główny — ruszyłem do Krakowa, by przez Tarnów i Sącz w Szczawnicy raz jeszcze szczęścia próbować. Idę z P. Mieczysławem z S.N., który ma dotrzeć tylko na Węgry. Bez większych trudności 11-go jesteśmy w Budapeszcie. Depesza doszła. Nasza placówka spotyka mnie na dworcu. — Kłopoty rozpoczynają się dopiero teraz. Jak ruszyć dalej. W Budapeszcie od 30 lipca przebywali: wysłannik Delegata na kraj i delegat S.N. i nie mogli się stamtąd ruszyć. P. Fietowicz, nieoficjalny konsul Rządu z Londynu, recte persona zaufania prem. Mikołajczyka, siedział jak korek w Budapeszcie i zamiast pomagać, utrudniał ruch wszystkim wysłannikom, oprócz "ludowi" miłym. Wspomniani delegaci mieli obietnice paszportów, ale nigdy z Węgier na południe nie ruszyli.

Nasza placówka, inż "Piotr" i "Czesław" powiedzieli mi bez ogródek, że sytuacja jest beznadziejna.

Jeszcze w Kraju wierzyłem, że pomóc mi może tylko wojsko węgierskie. Pytałem o kontakty. "Apolinary", którego poznałem nieco później, miał znajomości wśród najwyższych osobistości wojskowych i cywilnych Węgier. Prosiłem go o natychmiastową interwencję. — Jednocześnie obawiając się zachować jak obaj delegaci i biernie czekać, poleciłem rozpoznać kierunek na Vараzdin, myśląc o dotarciu do gen. Draży-Michajłowicza. Nasz porucznik, sierżant policji i kapitan, Francuz, który zwiózł z obozu jeńców w Niemczech ruszyli na południe.

22-go listopada z Apolinarym byliśmy przyjęci przez pułk. Szt. Gen., który otrzymał polecenie ułatwienia mi dalszej drogi. Pułkownik kurtuazyjnie tłumaczył swego przełożonego, który miałby trudności z przyjęciem mnie, bo był obserwowany (w tym czasie "zaprzyjaźniona" armia niemiecka była w trakcie ujmowania coraz dokładniejszej kontroli nad Węgrami!). Paszport miał mi przygotować mjr. Szt. Gen. K. z którym miałem utrzymywać kontakt. Co dwa, trzy dni nachodziłem mjr. K. i

dowiadywałem się, że jeszcze muszę czekać. Wręczyłem mu fotografię. Przy ich wykonaniu, Żydówka, właścicielka zakładu, orientując się, że jestem Polakiem zabawnie prosiła mnie o nazwisko: "Sagen Sie Ihre falsche Name!" Nikt prawie z rodaków w tym czasie nie używał własnego nazwiska w Budapeszcie.

Trudności polegały na otrzymaniu wizy docelowej. Turcy nie chcieli jej dać, zrażeni gotowością "baczyszu". Wreszcie K. wziął dla mnie wizę do Aten od władz niemieckich, które rzecz prosta były najbardziej w tym celu odpowiednie. P. Oswald Walter — tak się miałem nazywać — dostał "Grenzüberschritt-karte". Wizy chorwacka i bułgarska były zwykłą formalnością. Paszport w komplecie 19 grudnia.

Wróciło rozpoznanie. Wyszli się biedacy kilka dni w areszcie chorwackim, obleźli we wszy, nabrali przekonania, że naprawdę bardzo trudno przeleźć na Zagrzeb i przyjechali z powrotem szczęśliwie wypuszczeni.

Zegnam przyjaciół węgierskich i polskich. Z Apolinarem wykonujemy jeszcze wypad na poselstwo tureckie. Rozmawiałem z attaché militaire, opowiedziałem szczerze o mojej wyprawie i prosiłem o pomoc w otrzymaniu wizy. Po porozumieniu z ministrem — czekamy u niego — powiedział, że bez zgody Ankary nie może tego uczynić. Da odpowiedź za trzy tygodnie. — Dziękujemy. Decyduję jechać zaraz.

22-go grudnia ruszyłem z Budapesztu. Na dworcu łąmiemy się opłatkami. Wóz sypialny drugiej klasy. W moim przedziale znalazłem majora S.S., który uprzejmie się przedstawił i wyraził ubolewanie, że zmuszony będzie obudzić "alianta", bo na granicy wysiada. W klapie marynarki miałem małą tarczę węgierską.

Podróż odbywała się bez kłopotów. Sprawdzenie dokumentów w "niezawisłej" Chorwacji i w Serbii odbywało się przy asyście cywilnych gestapowców. Pod Zemuniem, wzdłuż toru kolejowego, na szubienicach wisieli serbscy chłopcy. W Beogradzie krótka przerwa podróży. Miasto spowite w druty kolczaste. Bunkry na ulicach, Dworzec umocniony. Wieczorem opuściłem stolicę walczącego wciąż kraju. Nisz przejechałem śpiąc. W Sofii byłem w Wigilię przed południem. Zatrzymałem się w "Bulgarii" i natychmiast poszedłem do poselstwa węgierskiego. Mjr. K. dał mi list do attaché z prośbą o uzyskanie dla mnie wizy tureckiej. Ale Oswald nie umiał ani słowa po węgiersku. Wywołałem tym konsternację w poselstwie. Po niemiecku informują mnie, że attaché minął się ze mną i wczoraj wyjechał na urlop świąteczny do Budapesztu. Poznaję drugiego sekretarza poselstwa, miłego człowieka, który radzi mi spokojnie czekać w Sofii na powrót attaché, który ma nastąpić 7 stycznia. — Pech! — Wróciłem do hotelu. W pierwszy dzień świąt byłem na nabożeństwie w małym kościółku OO. Franciszkanów. Po południu przeniosłem się do tańszego hotelu "Słowenska Beseda". Wkrót-

ce potem otrzymałem telefon. Dzwonił jakiś typ, który po niemiecku, a potem po rosyjsku proponował mi spotkanie w bardzo ważnej sprawie. Odpowiedziałem, że to nieporozumienie. Ale od tej pory telefon nękał mnie co pewien czas, a telefonujący zmieniał język niemiecki na polski. Denerwowało mnie to bardzo i widziałem idąc po mieście anioła-stróża, który mnie nie odstępował. Nazajutrz wieczorem, gdy w poselstwie odbywał się raut, a przeziębiony drugi sekretarz, był w domu — odwiedziłem go, mówiąc o możliwości zaareztowania, o całej wyprawie i zaangażowaniu się w jej podróży wysokich osobistości Węgier. Prosiłem o pomoc. Obiecał mówić z postem.

Nieporównani Węgrzy! — Kiedy przyszedłem do poselstwa p. H. oświadczył mi, że jego minister wystosował notę werbalną do konsulatu tureckiego o wizę dla mnie.

Poprzedzony telefonem zjawiam się u konsula Barras. Nota podkreśla mój charakter handlowca i przedstawiciela ciężkiego przemysłu. P. Barras siedzi między dwoma urzędnikami. Rozmowa toczy się po niemiecku. Chce wiedzieć prospekty, cenniki. Dają do zrozumienia, że oferty mogą być požądane dla obrony Turcji. — "Nie zamierzamy brać udziału w wojnie! — mówi konsul — "ale gdzie ma Pan to, co Węgry mogą nam ofiarować?" — Upewniam go, że dość niebezpiecznie wieść szkice i rysunki techniczne poprzez rewizje i granice — wszystkie potrzebne opisy i katalogi poszły drogą dyplomatyczną i już są w Istambule. — Nieruchoma, pełna twarz Turka nic nie zdradza. Rozmowę przerywa oświadczeniem, że dostanę wizę wjazdową na dwa tygodnie. Dla utrzymania się w legendzie proszę o miesiąc. Zgoda.

Z konsulatu wychodzę na skrzydłach radości. Robię fotografie do wiz, zwiedzam miasto, a nawet — niefrasobliwy turysta — udaję się na operę, by siedząc wśród niemieckich oficerów i bułgarskich podchorążych podziwiać narodową "Malinarkę".

Papłery są gotowe. Nie wiem dotąd — czy węgiersko-tureckie porozumienie odsłoniło właściwy cel mej podróży, czy moje dzielne reprezentowanie przemysłu dało właściwy rezultat. Ale o to mniejsza! — Już 28-go wieczorem ruszam dalej.

W południe Swilingrad — granica. Podstawiają pociąg turecki. Graenzschutz, Gestapo i Feldgendarmie obszukują dokładnie przedziały i bagaże. Filmy, które mam ze sobą przechodzą szczęśliwie przez wszystkie rewizje nietknięte. Ukochanie orły z munduru polowego w 1939 roku tkwią wciśnięte w jabłka.

Koło Edirne przeszedłem jeszcze mistrzowską rewizję turecką. 30-go grudnia rano wjechałem do Istambulu. Z dworca wprost do naszego Konsulatu Generalnego. Poznaję ppłk. Sulimę, który nie chce wprost wierzyć, że jestem z Kraju. Mówi, że od dwóch niemal lat jestem pierwszym, który odbył tę drogę.

Kiedy depeche radiowe donoszą do Londynu przez Kair o moim przyjeździe, a różne sztaby w skomplikowany sposób ukła-

dają prostą już teraz moją drogę, oddycham pełną piersią i korzystając z uprzejmości pułkownika i dyspozycyjnego samochodu wiedziam miasto z bajki i okolicę.

Dopiero po dwóch tygodniach mogę ruszyć przez Ankarę - Adan - Aleppo - Tripoli - Beyruth - Haifę, by 18 stycznia osiągnąć Kair.

Znów oczekiwanie na miejsce w samolocie. Przesłuchiwanie przez kilku angielskich oficerów, którym klaruję, że Niemcy to już mniej ważny wróg niż Rosja. Uśmiechają się z uprzejmą wyższością, znakomicie poinformowanych.

Po latach znów wkładam mundur, a rozmaicie chowane orły triumfalnie wjeżdżają na kołnierze. Niewiele mam w życiu tak wzruszających wspomnień, jak to wieczorne, własnoręczne przyszywanie dystynkcji do bluzy battle-dressu.

Wreszcie odlot. Przez Algier i Marakesch, skąd łukiem nad Atlantykiem na lotnisko pod Glasgow. Tu biorą mnie pod opiekę oficerowie z Intelligence Service. Policjant — proszę się nie dziwić! — wiezie mnie nazajutrz do Londynu i tu przez trzy dni jestem w tzw. Patriotic School. Piękne to miejsce odosobnienia wszystkich cudzoziemców, którzy przybywają do swych rządów z niewolnej Europy. Kpt. Scott przesłuchuje mnie, a choć mnie oburza ten nadrzędny stosunek "aliancia", który oficera dawno (jeszcze miesiąc temu!) zidentyfikowanego nie oddaje narodowym władzom wojskowym, staram się dać maksimum z mojej wiedzy o nieprzyjaciela. Jeszcze więcej mnie oburza naciskanie Scotta o adres mej rodziny. Odmawiam. Z triumfem mówi nazwę majątku, którą odnalazł w pamiętniku, zaczętem w Istambulu, gdyż rzeczy mi zabrano do rewizji. Dokładniejszego adresu nie dałem.

Spośród tłumu przymusowych pensjonariuszy różnych narodowości podszedł do mnie wysoki, niedbale ubrany drałgal. Czytałem właśnie Meisnera "Eskadrę 303". Palcem dotknął podpisu gen. Sikorskiego — "Kak dumajecie, kto ubił genierała?" — Myślę, że Moskale! — "Uwieraju was — eto Angliczany" — zapytany o tę rozmowę przez kpt. Scotta powtórzyłem jej treść. Moskale już nie widziałem więcej.

Wreszcie po trzech dniach zawiadomiono Sztab N. W., że mogą mnie oddać.

4 lutego 1944 roku, równo po trzech miesiącach podróży, mogłem zameldować się Szefowi Sztabu N. W. gen. Kopańskiemu. Długi, wyczerpujący meldunek, który później powtórzyłem piśmiennie. Generał, gdy wyjaśniałem powody odrębności organizacyjnej, oparcie o członków ONR, częściowo S.N. — powiedział mi: — To są sprawy drugorzędne. Każdy nam jest bliski, kto walczy z Niemcami". Kiedy prosiłem Szefa Sztabu o pomoc w broni i pieniądzech, odrzekł, że uważa to za konieczne, a sprawa ta będzie uregulowana przez Nacz. Wodza.

Wszedłem w skład Sztabu N. W. Znalazłem moc znajomych i przyjaciół, a wśród nich P. Salskiego, członka "Rady Sześciu"

N.S.Z., który jako wysłannik polityczny ruszył do Londynu nieco przede mną, a już od miesiąca chodził po "Rubensie". Jechał przez Francję i Iberię. W Pirenejach musiał bronią otwierać sobie drogę. Dzielnym i energicznym, młodym jeszcze człowiekiem ten skarżył się, że niewiele dotąd mógł osiągnąć.

Sztab tamtych czasów była to wraz z MON-em maszyna ciężka, z wielu oficerów złożona, liczebnością przerastająca ograniczone potrzeby centrali niekierującej własnymi operacjami. Gros oficerów to panowie, którzy zaczęli drogę na zachód w drugiej połowie pamiętnego września. — Nastrój powszechnej wygody, zasiedzenia w pokrytych kurzem fotelach, obrony zajmowanego stołka, oderwania od Kraju i jego spraw, a często nawet bezkrytycznego poddania się szerokiej fali niemieckiej propagandy. Zmieniał się ten stan w czasie kiedy przybyłem — dochodzili oficerowie z Italii, oficerowie po rocznej W. S. Woj. ze Szkocji. Sztab stanowił jednak szereg koterii i paczek, towarzystw wzajemnej adoracji i zawziętej korespondencji służbowej, którą przesyłano z piętra na piętro do wielu oddzielnych kancelarii w tym samym hotelu.

Po odczycie moim o Kraju w "Rubensie" gen. Dembiński, Szef Kancelarii Wojskowej zaprosił mnie do Prezydenta R.P. Ponad pięć godzin wypytywał mnie Prezydent Raczkiewicz o życie w Kraju, nastroje i terror. Widziałem przed sobą człowieka głęboko przejętego i dobrze poinformowanego, a smutnego tym, że tak mało może w czasie, gdy tak wiele trzeba.

14 lutego meldowałem się u Naczelnego Wodza. Oddałem pismo płk. Kurcyusza, podporządkowujące Naczelnemu Wodzowi N.S.Z. i upoważniające mnie do złożenia wyczerpujących meldunków o całości spraw organizacyjnych. Kilkominitowa rozmowa z zapowiedzią dokładniejszej. Czas gorący — Rada Ministrów rozważała propozycje Churchilla w sprawie mediacji z Sowietami.

W tydzień później wieczorem byłem u gen. Sosnkowskiego w jego mieszkaniu — przez dwie i pół godziny. W długiej, spokojnej rozmowie poznałem główną cechę Naczelnego Wodza, która przesądziła o niezałatwieniu sprawy N.S.Z., a co gorsza, pozwoliła później na zniszczenie Warszawy. Naczelnym Wódz był pod przynębiającym wrażeniem, że los zmusił go do dowodzenia bez osobistego zagrożenia. Uważał, że nie ma moralnego prawa do bezwzględności ustawiania spraw w Kraju, gdy sam jest bezpieczny w Londynie.

Po przedstawieniu Generałowi całości spraw N.S.Z. przez dłuższy czas charakteryzowałem stosunki z Armią Krajową i prosiłem o wydanie rozkazów regulujących stworzenie jednej siły w Kraju, ale z zachowaniem odrębności oddziałów i połączenie sztabów i dowództw terenowych. Uporządkowanie tego zagadnienia było jedynym powodem mego przyjazdu. Rozkazy Naczelnego Wodza muszą — mówiłem — definitywnie rozstrzygnąć

sprawę połączenia, bo na miejscu, w Kraju, nie ma szans na znalezienie formuły przy niezwalczonej niechęci Dcy A.K.

Generał, który dotąd siedząc spokojnie słuchał i od czasu do czasu zadawał pytania, wstał, zaczął przechadzać się i kilka razy powtórzył: "Nie mogę rozkazywać generałowi, który jest pod kulami. Dam tylko dyrektywy w jaki sposób uważam, że powinno być przeprowadzone połączenie". Było to zakończenie rozmowy.

Po kilku tygodniach Szef Oddziału Specjalnego pokazał mi treść depeesz wysłanych już do Kraju w sprawie N.S.Z. Był to szereg zaleceń nie wiążących Dcy A.K., nie respektujących odrębności N.S.Z. Konkretna była tylko decyzja połączenia.

Dca A.K. odpowiedział depeszą, domagając się odesłania mnie do jego dyspozycji. To żądanie nie zostało spełnione.

Na początku czerwca sprawa N.S.Z. jeszcze nie była załatwiona. Depesze krążyły między Londynem a Warszawą.

Spotykając się z Tadeuszem Salskim informowaliśmy się nawzajem o nierychłych postępach naszej misji. Omówiliśmy jeden problem, który nasuwał się nam obu przy wygłaszanych odczytach. Jak i co mówić o N.S.Z.?

Słuchacze nasi byli to głównie żołnierze. Sprawy polityczne były im najczęściej obce. Narzekając na niesnaski partyjne wśród nielicznej wówczas emigracji, patrzyli na Kraj z odległości marzenia, jak na twierdzę polskiej jedności i wspaniałego, jednego oporu. Zgodziliśmy się obaj, że byłoby działaniem na szkodę Polski mówić słuchaczom o krajowej wojnie z A.K. Na pytanie o N.S.Z., dawaliśmy informacje krótkie, podkreślając połączenie, które właśnie się dokonywało.

Byliśmy wówczas z Salskim w Londynie sensacją polskich środowisk, przynosząc szerokie informacje nie tylko o terrorze i walce, ale i o niezależnej myśli krajowej, o przewidywaniach politycznego rozwoju sytuacji wewnętrznej i biegnącej ze Wschodu zmiennymi falami wojny.

Szala spraw polskich, istniejąca tylko bohaterstwem żołnierza ogromnie wówczas traciła na wadze. Rosja była na ustach i w sercach aliantów zachodnich. Wiara w Stalina stawała się kanonem posunięć wielkiej polityki, a nasz ówczesny premier popychany niecierpliwie przez W. Churchilla zabierał się do przygotowania współpracy polsko-rosyjskiej pod dyktando potęg.

Wiele razy słyszałem przekonywujące rozprawy o konieczności przystosowania się. Przyjęcie barwy socjalistyczno-ludowej miało przyoblec nas w kolor tak zbliżony do krwawej czerwieni komunizmu, że bolszewicy nas muszą wziąć niemal za swoich, wystarczająco jak na ich gust przemalowanych, a... tymczasem Kraj w ten sposób uratowany od terroru, gwałtownego nawracania, będzie mógł bez zmiany ideologii zabrać się do odbudowy.

Te naiwne planowania, które zapomniały o wyduszeniu trockizmu, o nienawiści komunistów do socjalizmu zachodniego,

były nie tylko ciężkim klinem w głowie polskiego Londynu. Były przekazane do Kraju, który w pismach wszystkich stronnictw politycznych, uznanych przez Delegaturę powtarzał o "porozumieniu szerokiego wachlarza politycznego". Armia Krajowa obejmowała nawet komunizujące częściowo Baony Chłopskie.

Teraz dopiero stawało mi się jasne odrzucenie porozumienia z N.S.Z., który w Kraju głosił wyraźnie o wrogim stosunku do Polski zarówno Niemiec jak i Rosji i w miarę swych skromnych możliwości walczył tak z bandami bolszewickimi, jak i z niemieckimi oddziałami.

Połączyć się z N.S.Z. to było utracić w Kraju tak niefrasobliwie ulepioną koncepcję, to pokazać zęby zbliżającej się coraz bardziej armii rosyjskiej.

Dlatego wykonanie dyrektyw Naczelnego Wodza zostało przeprowadzone w ten sposób, by oddziały NSZ nie połączyły się z A.K.

O ile pamiętam, w maju 1944 roku, przyleciał z Kraju Zca Szefa Sztabu A.K. gen. Tabor (Tatar). Objął stanowisko Z-cy Szefa Sztabu N. W. dla spraw Kraju i po kilku tygodniach wezwał mnie do siebie. Wystąpił z szeregiem napaści na N.S.Z., utrzymywanych w stylu prasy A. K., po czym zapytał dlaczego N.S.Z. dokonuje mało akcji terrorystycznych. Kiedy wyjaśniałem nasze przekonanie, że akcja ta nie opłaca się wobec odwetów niemieckich, które zadają ogromne straty polskiej ludności — gen. Tabor zaczął krzyżeć — "Krw! nigdy nie za dużo! — tylko krwią możemy zdobyć niepodległość!" — Miałem zupełnie inne zdanie, co do tych nieprzemyślanych wyścigów terroru, w którym Niemcy zawsze mieli górę, ale nie widziałem celu w przekonywaniu. — Po chwili generał zażądał, bym napisał oświadczenie, że będąc oficerem Sztabu N. W. nie uważam się już za oficera N.S.Z. Ponieważ to było zgodne ze stanem faktycznym i ponieważ — wierzyłem w to wtedy, że N.S.Z. przestało już istnieć — łącząc się z A.K., podpisałem żądane oświadczenie.

Była jeszcze jedna nuta działalności Tatara-Tabora, świadcząca o jego "sympatii" w stosunku do N.S.Z. Naczelnny Wódz odznaczył mnie Krzyżem Walecznych. Miała się odbyć dekoracja wspólna wszystkich oficerów ostatnio przybyłych z Kraju. Tatar zaprotestował, bym jako przedstawiciel N.S.Z. był dekorowany razem z nim. Odznaczenie dla mnie zostało wstydliwie przesłane przez Gabinet N. W. Teraz mogę być dumny, mimo woli czynników decydujących, że nie byłem na tej uroczystości, a wtedy musiałem walczyć z sobą, by tego Krzyża nie odesłać z powrotem.

Na tym kończę moje osobiste wspomnienie. Wiem teraz świetnie, że dyrektywy N. Wodza o wykonaniu scalenia przez Dcy A.K. stworzyły wiele stanów zapalnych w Kraju, wiem z rozmów z politykami i wyższymi oficerami N.S.Z., a głównie z nie-

dawno zmarłym ostatnim Dowódcą, iż dokonał się rozłam. Część N. S.Z. weszła w skład A.K., część pozostała niezależna, nie wzięła udziału w samopaleniu Powstania, część wreszcie dokonała w składzie Brygady Świętokrzyskiej brawurowego odejścia z Kraju w walce z bolszewikami i równoległe do zdezorientowanych kolumn niemieckich do Czech, by razem z V Korpusem wojsk amerykańskich bić znów Niemców pod Hradistovy i pod Bischofsteinitz.

Te sprawy, zarówno jak i zaledwie przeze mnie naszkicowane dzieje N.S.Z., muszą się doczekać opracowania dokładnego, w oparciu o dokumenty.

Mjr. dypl. ZOCHOWSKI.

(Bohdan).

"Sławna uczelnia wileńska... brutalną przemocą despoty rosyjskiego bezprawnie w swych czynnościach zawieszona, powołuje... do wznowienia wiekopomnej działalności, żeby w imię prawdziwej swobody nawiązać odwieczną zlotą nić zgody, wiedzy i kultury, zerwaną dzikim gwałtem... nazwa odradzającej się wszechnicy po wieczne czasy brzmi: 'Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie'." (Z dekretu Naczelnego Wodza Wojsk Polskich z 28 sierpnia 1919 roku).

"Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie... zmuszony przemocą w grudniu 1939 roku do przerwania swej normalnej pracy naukowo-wychowawczej, trwa nadal, jako społeczność akademicka, jednocząca profesorów, docentów, asystentów i wychowanków Almae Matris Vilnensis..." (Ze statutu Społeczności Akademickiej U.S.B.).

ALMA MATER VILNENSIS

PRACE SPOŁECZNOŚCI AKADEMICKIEJ UNIwersYTETU
STEFANA BATOREGO NA OBCYZNI

Ukazał się zeszyt pierwszy pt.

**W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
PRZERWANIA NORMALNEJ PRACY U.S.B.**

SPRAWOZDANIA i DOKUMENTY

Zeszyt zawiera:

Część I. Społeczność Akademicka U.S.B.

Część II. Inauguracje Październikowe z lat 1947-1949.

Część III. Dokumenty sprzed 10 lat (i późniejsze).

Część IV. Skład Uniwersytetu Stefana Batorego oraz późniejsze losy profesorów,

oraz 9 oryginalnych rysunków Mariana Bohusza Szyszko.

Do nabycia w księgarniach i kioskach polskich.

Na składzie w "Ognisku Polskim", 55, Princess Gate, Londyn S.W.7.

Problem młodego pokolenia

Sami musimy znaleźć rozwiązanie

„Jaką wizję daje moja generacja emigracyjna tej polskiej młodzieży, która chce wiedzieć dlaczego warto jest nie tylko ginąć, ale i żyć” — zapytuje Czapski czytelnika „Kultury” w konkluzji swej „Spowiedzi dziecięcia wieku”? Cóż więcej my, starzy, starsi i średniacy, coż my wykolejeńcy, wyrwani z gleby własnej, coż tamci w domu, ci wszyscy inni na świecie zbudowali dla narastającego pokolenia? Czy wizja, którą oni mają od nas przejąć ograniczyć się ma do cynizmu, płaskiego szacunku dla wieku, kpin ze swarów potępieńczych emigracyjnego podwórka?

Sąd ten wydaje mi się surowy. Tak samo jak surowy jest sąd o samej młodzieży, jak myśli autora, porwane, bez powiązań i jak gdyby stojące w dalekich kątach wielkiej izby, nie umiające się wzajemnie znaleźć, wydają się strzępkami owych miedunków, które mózg w czasie pisania nadsyłał pod pióro. Któż bowiem i kiedy tę wizję miał dla owych młodych przygotować? Któż i kiedy miał, wśród nich krzewić mickiewiczowskie wizje wszechprzytomności prawdy? Któż miał na to siły, czas i wizjonerską szerokość spojrzenia, by upadającym, by tonącym w kanałach warszawskich, bijącym się na przedpolach Monte Cassino, a dzisiaj w kraju broniącym się przed wpełchnięciem w tunel więziennej oświaty, przypominać słowa Asnyka?

*Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele
Przyszłości podnieście gmach...*

*Ale nie depreczcie przeszłości otłarzy
Choć macie sami doskonalsze wznieść
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy im winniście cześć!*

*) Por. *Kultura* Nr 1/18 z kwietnia 1949 r.

Wyszły z Polski roku 1939-tego dwa pokolenia. Jedno, to, które przeżyło wiele, stworzyło wiele, błądziło wiele i miało wielkie szczęście czerpania pełnym dzbanem nektaru niepodległości. Wyszło w sile wieku politycznego, jeszcze pełne planów, projektów, energii i możliwości. Drugie to było pokolenie moje. Byliśmy wtedy takimi samymi dziećmi, jakimi są dzisiaj owi Szreterzy, czy Drewnowscy z ponurej baśni Andrzeja Jędrzejewskiego. Tylko zamiast podziemia, walk, pogardy dla życia ludzkiego mieliśmy za sobą normalne lata młodego życia. Życie to otwierało się szerokim gościńcem wielkich zamiarów, marzeń i poczynań. Kiedy przyszła wojna, kiedy pierwsze bomby rujnować poczęły stabilizację porządku społecznego w jakim myśmy wyrosli, serca tego pokolenia kołatały nie tylko niespokojnie. Było w tym kołataniu wiele podniecenia, emocji, czegoś co określić by można mianem przygody. Do tego dochodziło głęboko w krwi zakorzenione, przekazywane z pokolenia na pokolenie, przywiązanie do walki o wolność. „Nie może stać się nic złego, wynik nie może być inny — wołał przy mnie na dworcu głównym w Warszawie młodzieńcki rekrut żegnający się z rodziną — skoro słuszność i sprawiedliwość jest tak bez reszty po naszej stronie”. Romantyzm? Może. Ale prócz romantyzmu jeszcze także głębokość korzeni. Toż to właśnie byliśmy apostołami tej mickiewiczowskiej myśli, tej definicji człowieka współczesnego, co to musi przeżyć pierwsze wieki chrześcijaństwa, rewolucję francuską i wojny krzyżowe! Myśmy je przeżyli! Powiem więcej. Pokolenie moje, to samo które dzisiaj zajmuje wysokie i średnie stanowiska w czerwonym polskim rządzie, to samo, które na komitetach zagranicznych w Londynie dyskutuje w obłokach dymu tytoniowego takie czy inne personalne przesunięcia, wyżywa się w siuchtach, obsadzeniach stanowisk i gierkach wewnętrzno-podwórkowych, postarzało się na emigracji, wyginęło w kraju, posunęło się w kraju niemal na równi z pokoleniem naszych ojców. Związani z nimi, przesunięci na plan dalszy biegiem wypadków, odrzuceni od nurtu normalnego rozwoju, skazani zostaliśmy na przetrwanie w nicości lat najlepszych, przeskoczenie ich w cieniu pokolenia starszego.

Te dwa pokolenia wyszły w świat, gdy Polska, dzieło rąk pokolenia pierwszego, upadła w proch rozbita niemieckimi czołgami. Pierwsze zaraz poczęło kontynuować pracę, jaką przedtem ich rówieśnicy robili w kraju. Drugie entuzjastycznie, bez reszty i pytania oddało się w tryby wojskowej maszyny, poszło na francuskie pagórki ćwiczyć chwyt karabinem, spać po stodołach i wybijać sobie z głowy myśli o intelektualnym zajęciu, o pracy innej aniżeli wynoszenie gnoju z tejże stodoły, myśli innej aniżeli dobrego skoku w czasie ćwiczeń, pragnień innych aniżeli dobra butelka wina na wieczór przy boku mizdrzącej się Francuzki. Zainteresowania te, płaszczyznę działania, myśli, podtrzymywali skrzętnie dowódcy, starszczyzna, oficerowie i podoficerowie, politycy i dzia-

łacze społeczni. Na dobrze bijącej się polskiej armii miała wszak z powrotem wyrosnąć legenda romantycznego rycerza polskiego. Nic to, że wielu tego świata słabość naszą rozpoznałi szybko, nic to, że słodkie, sentymentalne słowa wpłynęły ku nam i z Białego Domu i Buckingham Palace i z Downing Street. Byliśmy natchnieniem narodów i z nami, tylko z nami miało być wspólne zwycięstwo lub wspólna klęska. Jak niedźwiedź co łapą zaściana sobie oczy, by nie widzieć roju pszczoł lecących w jego kierunku, by żądała swe w jego ciele zapuścić, lizaliśmy obficie płynący miód zamykając z lubością niewidzące oczy. Kiedyśmy je otworzyli — miodu już nie było. Były tylko pszczoły silne, mało romantyczne i o ostrych i jadowitych żądłach. Słodki smak miodu wysechł nam w ustach a na jego miejsce wpakowały się bezceremonialnie ból i gorycz.

Czy tutaj także nie zostaje mussetowskie „okropne morze czynu bezcelowego?”

Pokolenie naszych ojców weszło w fazę rekonstrukcji państwowości polskiej na emigracji. Wojskiem, nami, posługiwało się tylko wtedy, gdy do poczynań londyńskich potrzebne było szkockie tło. W jakimś zaślepieniu przedziwnym zamykało drogę tym młodym, którym nie wystarczała vegetacja stodołowa i pragnienie zapchania żołądka. Naukowcy, pisarze, ba profesorowie uniwersytetów wgramoliwszy się na wysokie stołki ministerialnej władzy zapominali o potrzebie tej wizji, której Czapski nie widzi, stawali się krwiożerczy, przecigali się w ekshibicjonizmie chamstwa i promotorstwie analfabetyzmu, zazdroszcząc w tej branży laurów zawodowym kapralom i sierżantom i dumnie, rejtanowali w wrót uniwersytetów, wołając wielkim głosem, że po ich trupie chyba jeden żołnierz polski opuści szkockie pustelnie, szkockie bezmyślne dni i wejdzie w progi instytucji dającej wiedzę.

W kraju tymczasem dojrzewało pokolenie następne, to które jeszcze nie liczyło się w ogóle w latach ostatnich trzydziestolecia. Przed sobą miało walkę z okupantem, podziemną naukę, walkę o byt prowadzoną środkami wszelkimi, w której utrzymanie się przy życiu jako cel ostateczny przesłaniało względy moralne. Za sobą właściwie nie miało nic. Dzień wybuchu wojny zastał ich w pełnej nieświadomości dziecięcego wieku. Rozstanie z ojcami i starszymi braćmi, którzy bądź gnili w obozach jenieckich, na Syberii, lub z karabinem w ręku przechadzali się poważnym krokiem po szkockich plażach, przyćmione było czasem, lecz jednocześnie wyidealizowane tęsknotą matki i atmosferą polskiego romantyzmu walki. Koniec wojny to miało być nie tylko pobicie Niemiec, ale także i defilada zwycięskich wojsk polskich w Alejach Ujazdowskich i w pierwszej czwórce, koniecznie w pierwszej, maszerować miał ów umiłowany brat, ojciec czy kuzyn. Zamykał się horyzont myślowy owego dziecka-młodzieńca w kręgu tych marzeń i zadań. Wizji dla siebie nie miał, nie czekał na nią. Koniec wojny ~~nie~~ przecież rozwiązać wszystko — dać wolność, z nią

powrót tamtych, z nimi przewodnictwo duchowe, zlurowanie z posterunków pracy jakże często mało wdzięcznej, jakże często uczącej owego cynizmu, który dzisiaj tak się rozbujał, rozchwaścił, tak zarósł marginesy dusz młodych. Czekał więc tego końca, ucząc się, zabijając, dyskutując, wydając podziemne gazetki i ginąc, ginąc i jeszcze raz ginąc na szanłach zwanych burzą, Warszawą, ghettem, Wołyniem, Wilnem i wszystkim co mogło zamieniać się na chwilową fortecę, na chwilowy ołtarz poświęcenia sprawie.

Ten koniec wojny przyszedł i nie przyniósł nic. Co tam, że nie przyniósł, co tam, że zawiódł nadzieje, że w proch rozszarpał legendy, że błotem oblepił najpiękniejsze wizje! Wraz z pokojem na świecie pod polskie strzechy zawitała nowa doba zwana erą marksistowską. Szkoły stały się siedzibą politycznej myśli. Podręczniki strona po stronie krzyczały świadomym fałszem dziejów, religii, wszystkiego co dotychczas było niepokałane i święte, co było własne i co było prawdziwe. Z uniwersytetów znikły znajome twarze profesorskie, a te co zostały recytowały na pamięć wyuczoną lekcję nowego ładu. W ciągu jednego roku, roku zwycięstw Rosji, roku ustępstw Zachodu, zawalił się świat wizyjny tego młodego chłopca, który ucząc się, walcząc i dorosłe już myśląc, pragnął zlurowania z posterunku odpowiedzialności, na który wyrzuciły go losy, który mu ciążył mimowoli, nasycając tylko w chwilach radosnego upojenia poczuciem dumy własnej dojrzałości. Wszystko co było jego wewnętrznym życiem przestało nagle istnieć. Została pustka i straszliwa, bezprzykładna w dziejach rzeczywistość zewnętrznego istnienia. Powoli, lecz systematycznie pustkę tę wypełniał cynizm. Jeden — ten z listu Czapskiego — stał się stalinowcem. Inny poszedł na drogę wątpliwej wartości transakcji handlowych. Jeszcze inny drogą bohaterów Andrzejewskiego w podziemia nieorganizowane. Trzeci, zaszczyt i zagoniony przez bierutowe sołdactwo szedł na wygnanie w niemieckim obozie znajdując najwyższą rozkosz ucieczki od wiecznego strachu. Wszyscy, cały ten tłum, całe to pokolenie dojrzewającej Polski stoi dzisiaj przed dylematem jutra. Pełne cynizmu, gotowe do najskrajniejszych wyborów, ci nowocześni aktywiści, często wbrew sobie i ludziom, pokolenie to ma skarby niewygasłych pragnień, ambicji, wartości których szlachetność dźwięku współzawodniczyć może tylko z najlepszymi okresami twórczej młodzieży polskiej. Bez wczoraj, które się nie liczy, jak nie liczyło się życie współtowarzysza zabaw i walk, który musiał umierać, gdy pocisk doń zawitał, bez jutra którego samo nie jest w stanie sobie stworzyć, a wizja którego namalowana pędzłami Strzeszewskiego jest im niemożliwa i obca, idzie ten bezładny tłum przed siebie, mija się z przeznaczeniem, potyka się, upada, upada, szlachetnieje, cierpi niosąc stale w sercach nadzieję, podsycaną sentymentalną tradycją słowiańskiego chowu, że oto ta wojna wymodlona i wymarzona przyjdzie któregoś dnia, że zmiecie z po-

wierzchni ziemi jakimś atomowym podmuchem Bierutów i Minców, Stalinów i im, tym młodym, tym najmłodszym przyniesie w darze ogromnym, ułoży pod choinką w ślicznie opakowanym pudełku ową wizję nowego, lepszego jutra, owe zwolnienie z tej samej straszliwej, ciężkiej, nieznosnej do udźwignięcia odpowiedzialności, którą już miało przynieść zakończenie tej ich pierwszej wojny.

Czy oni mogli, czy mieli warunki, czy mieli i mają teraz siły na to, by stwarzać sobie swój własny wyraz? Czy można ich oskarżać o to, że treścią ich życia jest negacja, że celem wiecznym zdaje się być zmiana i że zapewne, gdyby ta zmiana nagle jutro przysza, dokonała się i spełniła, to znowu w dążności swojej, w rozpędzie niezatrzymanym negacja tej nowej rzeczywistości wkraślaby się w te młode głowy? Czy mamy prawo my, emigranci, dalecy, pewno w dużej mierze zapomniani, stukać w ich opancerzone sumienia i wzywać do dalszej ofiarności, do pozytywizmu, wyrażonego w twórczym podejściu do zjawisk życiowych? Wątpię. Mamy to prawo natomiast w stosunku do nas samych. Mamy to prawo wobec masy emigranckiej młodzieży, która powoli wsiąkając w obcą glebę przybranych ojczyzn, tworzy jeszcze dzisiaj szeregi o dużej chłonności patriotycznej, głębokich więzach wspólnoty narodowej i wspólnoty rodzinnej.

Tutaj znajduję wiele wspólnego, wiele słuszności w wywodach Czapskiego. Widzę wielkie bankructwo i wielkie osamotnienie pokolenia, które dogoniło nas, dzisiejszych średniaków, w procesie dojrzewania i procesie dorosłości. Tutaj bym raczej stosował swe ostrzeżenie, że rozpacz tych ludzi może ich pchnąć na drogi najgorsze. Tamci w kraju, wyci z wielu złudzeń, ogołoceni ze wszystkiego romantyzmu jaki wiek ich normalnie ze sobą niesie, jakiego pełne były nasze głowy i serca w chwili rozpoczęcia naszej wędrówki, są podświadomie spokojnie pewni normalnego jutra. Hart przejść działa i w dziedzinie ducha. Rozpacz jednostek rzuca ich na ścieżki zbrodni, rozpacz pokolenia przykuwa je mocniej do na chwilę zapomnianej wizji, którą żyli przez wojenne lata. Na emigracji, w obozach, odludziach, w obcości innego świata tylko jednostki znalazły pełną satysfakcję normalnego rozwoju. Rozpacz tych innych, tych tkwiących w obozach, tych gonionych po fabrykach amerykańskich, ranczach brazylijskich, kopalniach francuskich i szkockich jest chwilami rozpaczą dziekiego zwierzęcia, które nagle odczuwa przebłysk świadomości, że klatka ogrodu zoologicznego zabiera mu życie.

Konwentykle londyńskie już dawno przestały kogokolwiek poza ich bezpośrednimi udziałowcami interesować. Młodzi, ci których los spotyka się dzisiaj na uniwersytetach amerykańskich, ci których los rzucił do australijskich fabryk i kanadyjskich farm, wruszają tylko ramionami na dźwięk nazwy rzędu w Londynie. Cóż oni — powiadają — lata mijają, czasy się zmieniają, świat idzie naprzód a tam ciągle ten sam generał

Haller firmuje czcigodną, starą, spleśniałą polityczną partię! Cóż oni, zdają się krzyczyć spracowane dłonie, dali mnie, jemu, trzeciemu? Tkwiłiśmy w ich cieniu, poza ich plecami dorabiając do ich melodii cały potrzebny, niezbędny dla niej akompaniament. Myśmy byli basami i altami w tej orkiestrze w której oni dzierżyli kornety. Oni dalej grają, chociaż nas nie ma. Słyszą tylko swoje pienie, nie widzą ich śmieszności, nie rozumieją, że zespół orkiestrowy musi być pełny! Że nie może pracować motor, gdy bak benzynowy rozbity!

Wizji jutra, dynamizmu działania, kregosłupa wiedzy nie daliśmy naszym młodszym braciom emigracyjnym, jak nam nie dali nasi emigracyjni wodzowie. Nie ich wina, nie wina tych najmłodszych, że cynizm, że zwątpienie, że eskapizm opanował ich serca. „Każda epoka ma swe własne cele” — powiada Asnyk. Jakie cele mają oni, te emigracyjne dzieci, te dwudziestolatki chętnie widziani w fabrykach i kopalniach, mniej chętniej na uniwersytetach, jeszcze mniej we własnych, dobrych warsztatach pracy, które wszak jutro będą chcieli budować? Czy mają tutaj, na obczyźnie zapuszczać korzenie? Czy lgnąć do polskości? Czy uczyć się mickiewiczowskiego romantyzmu, czy też amerykańskiego pozytywizmu doby mechanicznej? Co im zostało, gdy my, wyrwani z domów w ich wieku, przetkwiliśmy najlepsze lata w mundurach, a ci starsi, ci dzisiaj tak bardzo pełnoletni politycznie, zapatrzeni we własne sprawy o naszym także zapomnieli istnieniu?

Nie stworzyliśmy wizji i nie daliśmy dorastającej młodzieży odpowiedzi na pytanie po co warto jest żyć. To prawda. Tak samo jak prawdą są niepokoje nurtujące duszę autora „Spowiedzi dziecięcego wieku” o tamte pokolenie krajowe. Niepokój ten zapewne wynika jeszcze ze świadomości procesu jaki idzie, procesu sowietyzacji myśli, szkoły, odrywania od domu i wprowadzenie w umysł zaledwie pączkujący idei odegrania roli wodza nowej fali, przywódcy nowej epoki. Tym mniej sąd jego oceniam za surowy, za bezwzględny w stosunku do tych młodych. Sąd ten jest równie surowy w stosunku do pokolenia naszego, pokolenia ludzi trzydziestoletnich. Wykuwanie wizji nie przychodzi samo. Tworzenie własnej rzeczywistości nie przychodzi równie łatwo jak nakładanie śrubki na pasie transmisyjnym nowoczesnej fabryki samochodowej. To nie proces automatyczny. Potrzebna ku temu jest atmosfera, gleba i poczucie historycznej ciągłości. Jedni i tylko jedni ludzie mogą w dzisiejszej naszej rzeczywistości być za wartości twórczych winieni. Są to ci sami, którzy tworzyli w roku 1905 kadry strajków uniwersyteckich, w latach 1914 — 1918 armie polskie, a latach niepodległości rząd i do tego rządu opozycję, a w latach emigracyjnych i wojennych rząd dusz i kierownictwo armij — w kraju i na obczyźnie. Nikt inny nie był w stanie, nie umiał, nie miał elementów do stworzenia piętna epoki, jak tylko oni. Za długo jednak stali u steru. Ręce im ścierpły, twarze pokryły się siwym zarostem,

mięśnie nóg odmówiły posłuszeństwa. Nie czuli i nie widzieli tego. Dalej kurczowo trzymali i trzymają ster naszego zabłąkanego okrętu. Nie zauważają jak nie zauważyli dawniej pragnienia swych synów i wnuków ulżenia im w pracy. Nie zauważyli, że ci młodzi, skazani na zamknięty żywot w kadłubie okrętu pozbawieni zostali wielokrotnie perspektyw, szerszego spojrzenia, właściwej oceny odległości. Dzisiaj obok tych sterników grupki następnego pokolenia, pokolenia mojego, pławią się w tym samym urojonym świecie maleńkich rozgrywek, emocjonują się tą czy inną wizytą u przedstawicieli partii i deklaracjami ideowymi chcą zastąpić istotę politycznego działania.

To nie jest oskarżenie, lecz tylko stwierdzenie faktu. To nie jest polemika, lecz raczej uzupełnienie myśli Czapskiego. To nie jest wreszcie teoretyzowanie, lecz analiza przeszłości, na której dzień dzisiejszy musi być oparty.

Warto jest żyć dla tej zuchwałej przyszłości jaką niesie za sobą burzliwy dzień przeżywany dzisiaj. Wie o tym młodzież w kraju, puszczone samopas, tęskniąca ku opiece. Wie o tym młodzież emigracyjna, której porywy i wzloty, upadki i zachwiania regulowane są instynktem własnym, a nie kierownictwem starszych. Wie o tym wreszcie pokolenie moje, to może najbardziej dotknięte, bo zasmakowawszy słodkości domu i pracy, normalnego rozwoju i walki o postęp, wyrzucone zostało brutalnie na margines, któremu na imię emigracja, lub któremu na imię konspiracja. Dziecięcy wiek został skrócony wojną i jej następstwami. Trwa jednak, cicho i cierpliwie w zakamarkach dusz tych niby to bardzo dorosłych, niby to bardzo cynicznych, brutalnych i nie wierzących, o błędnych twarzach wielkomięskich wyrostków, żołnierzy podziemia, rycerzy podświatka. Trzeba ciepłej fali ludzkiego uczucia, by je z powrotem na powierzchnię przynęcić. Trzeba autorytetu zapomnianego ojca, czy brata, by nagle z tego cynika zrobił się z powrotem dzieciak, który zapomni o naganie leżącym w kieszeni, o własnych decyzjach jakie musiał sam podejmować i o własnym cyniźmie z którego tak był dumny.

Nie dajemy, my „starczy” niczego im dzisiaj. Myślę, że nawet gdybyśmy dali to ręka nasza byłaby odtrącona. Dola bowiem nasza jest inna, aniżeli pokoleń o normalnych korzeniach i zwykłej ciągłości lat. W chwili powrotu, czy jakiejś stabilizacji innej, trzeba nam będzie, pokoleniu średniemu, razem z tymi młodymi wykuwać nowe drogi. Tylko że na nasze barki wtedy spadnie pełna odpowiedzialność planowania i tworzenia, przygotowywania jutra i zarysowywania wizji. Oni, ci młodzi i ci najmłodszy natychmiast w chwili rozpoczęcia tego wspólnego działania złożą tę odpowiedzialność z radością na nasze ramiona.

Czy podołamy? Chyba tak. Bo to dla nas wtedy będzie cel, dla którego warto nie tylko ginąć, ale także i żyć.

Zygmunt NAGÓRSKI jr.

Książki

Dysonans zachodu

Wydaje mi się, że rozczarowanie daje ostrość widzenia. Po tamtej wojnie szary przyziemny, pozbawiony romantycznego blasku wysiłek walki podyktował Erichowi Marii Remarque "Na zachodzie bez zmian", ta wojna zaś napisała ręką Bernanosa gorzkie i bolesne uwagi o Francji, popchnęła Camusa do podjęcia próby rozwiązywania męczących kompleksów w "Lettre à un ami allemand", pociągnęła cały szereg młodych pisarzy do nakreślenia rachunku tego czym była Resistance i jakie wartości przedstawiała. U podłoża tego wszystkiego leżało rozczarowanie.

Obraz podyktowany rozczarowaniem może być przesadny, jednostronny, czasami świadomie i tendencyjnie utrzymany w jednej, monotonnej tonacji, lecz zawsze tkwić w nim będzie uparte dążenie do zerwania maski z faktów i wydarzeń, chęć wynurzenia realnych sprężyn, poruszających otaczającą rzeczywistość, zamiar wydobycia na wierzch nieklamanych i istotnych przyczyn, decydujących o biegu wypadków. Dlatego też książki podyktowane rozczarowaniem i bez względu na ich wartość artystyczną — są prawie zawsze odkrywcze. W tej odkrywczości leży ich główne znaczenie.

Wyszła nie dawno we Francji książka młodego pisarza belgijskiego, José André Lacour — ogromna, dwutomowa rzecz pod tytułem "Le châtement des victimes"*) O talencie Lacoura, formie artystycznej jego utworu, jego zdumiewającej odwadze w rysowaniu scen pełnych emocjonalnego napięcia, jego technice pisarskiej, umiejętności wiązania odrębnie biegnących rzeczywistości, jego zdolnościach do precyzyjnego szkicowania sylwetek psychologicznych można by powiedzieć dużo.

*) LACOUR, José André: *Châtiments des victimes*. Vol. I. — *L'avenir n'est à personne*, 480 p. in-jesus, prix 480 frs; Vol. II. — 416 p. in 16 jesus; prix 480 frs. Édition: René Juliard, Paris 1949.

Lecz nie chciałbym zatrzymywać się nad formalnymi wartościami jego książki, chciałbym kilka uwag poświęcić jej stronie ideologicznej.

Powieść Lacoura rozpoczyna się jesienią 1939 roku, rozgrywa się w Belgii i tylko przez krótki okres czasu razem z falą uciekinierów przenosi się do Francji. Bohaterowie tej książki — to młodzi chłopcy i dziewczęta, studenci uniwersytetu brukselskiego. Ci młodzi ludzie jesienią 39 roku, zimą 40 o wojnie nie myślą zupełnie. Belgia jest neutralna i za pancerzem tej neutralności bezpieczna. Myślą oni natomiast trochę o swych studiach, trochę o swych karierach i przyszłości, znacznie więcej o flirtach i przyjemnościach, głównie jednak i przede wszystkim o miłości. W problemach związanych z miłością, w tęsknocie za nią, wyżywają się ci młodzi studenci belgijscy. Starsze pokolenie — bo i starsze pokolenie występuje w powieści Lacoura — zaczyna się kłopotać pewnymi powstającymi trudnościami gospodarczymi, lecz niczym poza komplikacjami o charakterze gospodarczym się nie interesuje, nic nie przeczuwa, żyje spokojnie, wsparte na trwałych — jak się wydaje — uregulowanych i mocnych podstawach swego istnienia.

I nagle wylewa się na ten świat zamknięty w sobie, hermetycznie wyizolowany i niechętny w stosunku do wszystkich zmian i przeobrażeń, fala najazdu hitlerowskiego, porywa go ze sobą, niesie ku niewiadomej, rzuca w wir przerażających wypadków ten tłum bezbronnych i nic nie rozumiejących ludzi. Stronice powieści Lacoura poświęcone opisowi exodusu belgijskiego i rozgrywającym się scenom porwanych panicznym strachem ludzi, są chyba najlepsze z całej jego książki. Kilku z bohaterów książki Lacoura w wypadkach tej fazy wojny ginie, większość jednak, po mniej lub bardziej tragicznych przeżyciach do swych domów powraca. I tutaj każdy z nich myśli tylko o jednym: a tym by jak najszybciej o koszmarze swej ucieczki zapomnieć, by od razu — jak by się nic nie stało — do swego poprzedniego świata powrócić, w nim się zamknąć, pozostać z dala od wszystkiego, co zmieniona sytuacja wnosi. Młodzież zagłębia się w swych problemach miłości i flirtów, starsze pokolenie rozpacza nad utratą samochodów i mebli, z odcieniem pewnego niepokoju myśli o przeszkodach, które utrudniają teraz mogą rozwijanie materialnej aktywności. Ci, którzy utracili swych najbliższych, zamykają się w swej boleści i od życia odsuwają się tym bardziej.

Ciężki i bezlitosny walec hitlerowskiego najazdu z ludzi tych nie wydobywa nic. Jeszcze bardziej utwierdza ich w swym przywiązaniu do ich wąskiego świata, własnego pola zainteresowań i przeżyć, jeszcze mocniej z nim ich łączy. W świecie tym pragną żyć oni za wszelką cenę.

W jednym tylko z bohaterów książki Lacoura nieoczekiwane wypadki wojenne wydobywają rzeczy nowe. Jest nim Raoul Sirquin. Ten młody człowiek, którego zżera ambicja kariery, sła-

wy i powodzenia u kobiet, lecz który, gdyby nie wojna, przez życie przeszedłby zapewne stosunkowo spokojnie, w czasie exodusu płami się podwójnym morderstwem nad bezbronnymi kobietami z powodu nietolerowanego przez niego ich braku zainteresowania, szacunku i oddania dla niego, a teraz po powrocie do Belgii, węsząc możliwości wybicia się, rzuca się w wir machlojek, kombinacji, nieuczciwego wykorzystywania sytuacji. W Sirquinie wychodzą na wierzch niskie i podłe instynkty, nieuczciwe a zakonspirowane dotychczas strony charakteru.

W Belgii, pod okupacją niemiecką toczy się dalej to na chwilę przerwane najazdem i ucieczką życie bohaterów książki Lacoura. Okupacja w to życie chwilowo się nie wdziera, pozwala mu się zamknąć w sobie, odsunąć, oddzielić. Jest tak, jakby nie było nic nowego. Młoda dziewczyna Renée i André-Jean przeżywają bolesne konsekwencje rozczarowania miłosnego, nad którym zaciążył głupi i niewytłumaczalny przypadek, cierpią i tęsknią za tą miłością, a potem rozgoryczeni do siebie, zawiedzeni, na przekór sobie rozchodzą się i każdy z nich żeni się niepotrzebnie i głupio. A starsze pokolenie powraca do swych trosk materialnych i z zadowoleniem widzi, że można gospodarczo współpracować z Niemcami.

Ale powoli i stopniowo nieubłagane tryby tej wojny i jej totalnego charakteru zaczynają wciągać wbrew ich woli i wbrew ich nasilniejszym pragnieniom, tych ludzi, którzy za wszelką cenę stać chcą na uboczu. Sirquin zdaje sobie sprawę z tego, że, aby móc zrobić karierę należy z Niemcami współpracować i na tę współpracę się rzuca; w Żyda Sondermana biją pierwsze zarządzenia antysemityczne, Cecilie zakochuje się w oficerze niemieckim (może dlatego, że szuka mocnych i dramatycznych wzruszeń w miłości), André-Jean dzięki przypadkowi i swej zawiedzionej miłości styka się z Resistance. Ta Resistance belgijska, widziana oczami Lacoura — to zlepek ludzi nieobliczalnych, chorych psychicznie, lub tępych matoleń, wyzywających się w bzdurze hasel patriotycznych. Główny jej przedstawiciel niejaki Bourgin — to zboczeniec seksualny, dla którego ruch oporu jest doskonałą sposobnością do rozprawienia się ze zniechęconym przez niego burżuazyjnym społeczeństwem, potępiającym jego wybryki erotyczne. A akcja Resistance, opierając się na przypadku, jest chaotyczna i poza ułatwieniem poszczególnym ludziom rozwiązywania ich kompleksów do niczego nie prowadzi. W tym widzeniu zagadnienia Resistance Lacour przypomina Romain Gary, J. L. Curtisa i wielu innych. I w tym odbronzowaniu ruchu oporu jest pasja ludzi zawiedzionych.

Z czasem bezlitosne tryby totalnej wojny, które poszczególnych bohaterów książki Lacoura wciągnęły w ogólną walkę, bohaterów tych miażdżą i likwidują. Niektórzy z nich giną z ręki Niemców, inni tak jak Sirquin od bombardowania, z innymi wreszcie rozprawia się pod pretekstem kolaboracji Resistance.

Nie pozostaje z nich nikt. Wszyscy oni w tej piekielnej machinie wojennej rozplynie się i roztopili jak garść śniegu.

Powieść Lacoura genialnie wstrząsająca w swych ostatnich stronach, na których to nieubłagany los zmiata po kolei wszystkich bohaterów jego książki, jest nie tylko próbą odmalowania bezlitosnych praw obecnej wojny, lecz i dokumentem epoki. I w tym jest świetna.

Tak słusznie i prawdziwie odmalowana grupa studentów i studentek belgijskich i ich rodziców — to w miniaturze społeczeństwo zachodu. Z całym jego przywiązaniem do własnego świata przeżyć, z całą jego nieumiejętnością wydostania się poza świat ten, z całą jego biernością i brakiem siły. I siłą tylko w marzeniach i tęsknotach za integralną miłością. Miłością nie abstrakcyjną do hasel i ideologii, lecz konkretną, dotykającą, bliską dwu istot do siebie. W tej dziedzinie gotowi są do oddania, poświęceń, ofiar. Wszystko inne jest abstrakcją.

Lecz świetność książki Lacoura polega nie tylko na tych stwierdzeniach. Głównie i przede wszystkim polega ona na odmalowaniu tego co można by nazwać "niedopasowaniem" ludzi tych do epoki. Tragedia bohaterów powieści Lacoura wywołana jest nie tylko tym, że starają się, wbrew wszelkiej oczywistości, oddzielić się nieprzebytym murem od tego, co czasy dzisiejsze niosą, lecz że czasów tych nie rozumieją. Nie rozumieją oni, że czasy dzisiejsze nie uznają absenteizmu, stania na uboczu, że obecnie niemożliwe jest pragnienie odsunięcia się i przyglądania się wydarzeniom z dala. Czasy dzisiejsze wymagają zaangażowania się. A zaangażowanie sprawia, że otaczająca rzeczywistość przestaje być niezrozumiałym losem, przypadkiem, abstrakcją.

Zaangażowanie nie usunie cierpień i tragedii, lecz da im jakiś sens. A bohaterowie powieści Lacoura cierpią i giną, nie umiając sobie wytłumaczyć ani swych nieszczęść, ani swej śmierci. I w tym tkwi dysonans między nimi a epoką w której żyją. Jest to dysonans zachodu.

Tę tak prawdziwą książkę Lacoura powinni przeczytać wszyscy.

Józef URSYN.

Wojna zachodu ze wschodem nie jest tylko rewolucją

„La vingt-cinquième heure” C. Virgil Gheorghiu*) jest książką, która we Francji cieszy się dużym powodzeniem. Książka ta jest debiutem na terenie międzynarodowym młodego pisarza rumuńskiego, jest jego wejściem na szeroką arenę świata. I od razu to wejście jego ma wszystkie cechy wielkiego sukcesu — w ciągu ostatnich miesięcy 49 roku i pierwszych miesięcy roku 50 „La vingt-cinquième heure” znajduje się na czele najlepiej sprzedawanych książek na tym terenie, jej nakład osiąga już około 100 tys. egzemplarzy, została przetłumaczona na niemiecki, angielski, hiszpański, a tłumaczenia na inne języki są w przygotowaniu. Do wydania francuskiego przedmowę napisał znany pisarz Gabriel Marcel, który dla Gheorghiu zrobił wyjątek, dla niego i tylko dla niego odstąpił od swej zasady, bowiem jeszcze nigdy nie napisał przedmowy do książki wychodzącej w serii „Feux Croisés” Plonu, serii, na czele której stoi on sam.

Oto kilka faktów, które, że się tak wyrażę, lokalizują zewnętrzna pozycję powieści Gheorghiu.

Po przeczytaniu tego zestawienia nasuwa się niewątpliwie każdemu z nas kilka pytań: czym książka Gheorghiu zasłużyła sobie na tego rodzaju powodzenie i czy powodzenie to jest uzasadnione, jakimi przyczynami tłumaczyć należy jej sukces, czym się ona różni i wyróżnia od setek innych powieści, ukazujących się codziennie na całym świecie? Spróbuję nakreślić chociażby pobieżnie odpowiedzi na te pytania i pragnę zaznaczyć jednocześnie, że w odpowiedziach tych nie pretenduję absolutnie ani do całkowitego naświetlenia poruszanych problemów, ani do ich wyczerpania.

Zacznijmy najpierw od pewnego stwierdzenia. Powieść Gheorghiu jest aktem oskarżenia, który różni się od spotykanych po ostatniej wojnie tym, że jest skierowany do całego świata. Zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło nam falę książek, które były wybuchem protestu i oburzenia rzuconym Niemcom. Potem od roku 1947 przez tak zwany świat zachodni przeszedł podmuch niepokoju, gniewu i buntu, który wznicił napływ książek, świadectw i pamiętników poświęconych Rosji sowieckiej. W ten sposób powstała i została określona geografia protestów w obronie nienaruszalnych praw człowieka. Geografia ta ustalała podział świata na tych, którzy mogą i mają prawo występować w obronie praw człowieka i tych, którzy prawa te gwałcą. Ten geograficzny schemat, który wydawał się logiczny, uzasadniony i przekonywujący, nie zadawalnia Gheorghiu.

Jego zdaniem jest to fałsz i nieporozumienie. Jego zdaniem cały świat ogarnięty został tą samą chorobą, tym samym niebezpieczeństwem, tą samą groźbą. Niebezpieczeństwo to ma na imię — cywilizacja zachodnia, której symbolem jest maszyna. Tę zasadniczą tezę swej książki Gheorghiu ujmuje od samego początku, od pierwszych prawie stronic. Oto w skrócie przebieg jego rozumowania: Rzym i Grecja stworzyły instytucje żywych niewolników, świat współczesny stworzył instytucję martwych niewolników. Ci martwi niewolnicy — to maszyny. W każdym momencie, w każdej chwili i każdy z nas ma do dyspozycji tyśiące niewolników technicznych, którzy przenoszą nas z miejsca na miejsce, dostarczają nam światła i ciepła, zabawiają nas dowcipami i muzyką, gdy przekreścimy kontakt radia, zastępują nas w pracy, przedłużają nam życie lub je skracają nieubłagannie. Niewolnicy techniczni — jak wszystkie maszyny są doskonali, bezbłądnie, precyzyjni, niezawodni i nieubłagani. Światem niewolników technicznych rządzą ich własne, tak samo precyzyjne i tak samo bezlitosne prawa, które są odrębne od praw ludzi żywych. Świat ten do świata ludzi żywych dostosować się nie może. Do maszyny dostosować się może tylko człowiek. W ten sposób powstaje panowanie maszyny. Ze stopniowego i powolnego podporządkowania się maszynie zaczyna wyrastać nowy typ człowieka, który jest skrzyżowaniem człowieka żywego z maszyną. Ten nowy typ człowieka Gheorghiu nazywa „obywatelem”. „Obywatel” staje się coraz bardziej podobny do maszyny. Tak samo jak ona myśli precyzyjnie i dokładnie, tak samo jak ona myśli abstrakcjami i kategoriami, tak samo jak ona staje się bezdusznym automatem, wykonywującym bezbłądnie swe funkcje i nic nie czującym. „Obywatel” nie rozumie człowieka — który jest żywą istotą. Dla niego człowiek ma tylko jeden wymiar — wymiar społeczny. Inne wymiary nie istnieją. A dalej nieprawdą jest by obywatel zlokalizował się tylko w niektórych punktach świata. Obywatel opanował cały świat. Inaczej też być nie mogło. I dlatego podział świata na zachód i wschód jest błędem. Wschód — Rosja sowiecka — jest tylko pewnym odgałęzieniem tego samego pnia, którym jest cywilizacja zachodnia, z tą tylko drobną różnicą, że te same zasady i pryncypy cywilizacji zachodniej — tam, w Rosji sowieckiej, zostały wprowadzone w życie i zrealizowane przez większych barbarzyńców. Nic więcej. Lecz zarówno na wschodzie jak i na zachodzie bezduszny „obywatel” — produkt skrzyżowania maszyny i człowieka panuje wszechwładnie. Tak wyglądają w skrócie tezy książki Gheorghiu.

Właściwie w tych punktach wyjścia nie ma nic nowego. Znajdziemy je w książkach Keyserlinga, Berdiaewa, Huxleya, Spenglera, Ortegi y Grassetta, Burnhama i wielu innych. Ze smutnym pesymizmem tych też pogodziliśmy się już od dawna, nieomal zrosiliśmy się z bezradnością, którą one w nas wywołują. I boję się, że innego uczucia poza tą bezradnością

*) GHEORGHIU (C. V.) *La vingt-cinquième heure*, „Feux croisés” — Plon. Str. 402 + IX + 12 nlb.

nie potrafią w nas wywołać. Ale w książce Gheorghiu jest coś nowego. Jest zastosowanie ich do ostatnich wydarzeń wojennych i powojennych, jest przypieczętowanie ich stemplem aktualności, wypadków, które rozgrywały się przed oczami nas wszystkich, jest zestawieniem ich z obecną sytuacją polityczną świata. I w tym ujęciu nabierają one dla nas nowych barw i nowych znaczeń.

Jak Gheorghiu w powieści swojej podane powyżej tezy obrazuje, jak je uruchamia, jakimi dziejami i wypadkami udowadnia? Robi to — że się tak wyrażę — klinicznie. Książka jego jest historią naiwnego, prostego, niezmiernie prostego i uczciwego chłopca rumuńskiego, Johana Moritza, który przez trzynaście lat, dzięki piekielnym i tragicznym pomyłkom, wędruje z jednego więzienia do drugiego, z jednego obozu koncentracyjnego do drugiego. Johan Moritz nie popełnił żadnego przestępstwa, nie splamił się żadną zbrodnią. Nim został aresztowany marzył tylko o tym by wraz z żoną i dziećmi spędzić spokojnie życie pracując na własnym kawałku ziemi w zapadłej wsi rumuńskiej. Tymczasem Johan Moritz pod zarzutem, że jest Żydem, mimo, że nim nie jest, zesłany zostaje do obozu koncentracyjnego dla Żydów w Rumunii. I od tej chwili zaczyna się łańcuch tragicznych omyłek. Johan Moritz wędruje z obozu do obozu najpierw za to, że jest Żydem, potem na Węgrzech za to, że jest Rumunem, potem w Niemczech za to, że jest Węgrem i wreszcie Niemcy odkrywają w nim Niemca. Johan Moritz dostaje mundur SS i pilnuje jeńców. Lecz jest to już koniec wojny. Ucieka więc z kilkoma Francuzami i przedostaje się do Amerykanów. Tutaj zostaje wsadzony do więzienia przez Amerykanów i przez trzy lata odsyłany jest z jednego obozu koncentracyjnego do drugiego za to, że jest obywatelem rumuńskim i byłym SS-manem. A przecież Johan Moritz nie popełnił żadnego przestępstwa, nikogo nie zabił i zawsze i wszystkim mówił tylko prawdę. Lecz to, że jest on niewinny i prawdomówny nikogo nie obchodzi. W Johanie Moritzu wszyscy widzą tylko etykiety, które mu fałszywie przyklejono i które pociągają za sobą nieublagane konsekwencje, jest on uosobieniem raz tej a raz tamtej kategorii ludzi i według kategorii tej dzieli on losy, które ustalone zostały z góry i bezapelacyjnie. Życie Johana Moritza wciągnięte zostało w jakąś bezlitosną maszynę, której on nie rozumie i której nie potrafi zrozumieć, i w maszynie tej jest zmiażdżone.

Obok życia Johana Moritza Gheorghiu opisuje dzieje popa prawosławnego, Korugi i jego syna Traiana, poety i powieściopisarza. Traian Koruga wraz z żoną ucieka od Rosjan, przedostaje się w Niemczech do strefy okupacyjnej amerykańskiej, do której szedł dwieście kilometrów pieszo, jak do zbawienia. Amerykanie aresztują Traiana i jego żonę i osadzają ich w więzieniu, gdyż są oni obywatelami państwa, które było w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. Traian i jego żona rozpo-

czynają wędrowkę po amerykańskich obozach koncentracyjnych w Niemczech. Traian protestuje, robi głodówki, w końcu w dowód protestu tego popełnia samobójstwo. Traian tak jak jego żona, jego ojciec pop i Johan Moritz nie popełnili nigdy żadnego przestępstwa. Ich przestępstwo polegało na tym, że byli Rumunami.

Oto skrót opisywanych przez Gheorghiu wypadków i akcja, ilustrująca wysunięte przez niego tezy. Obozy koncentracyjne po tej stronie i obozy koncentracyjne po tamtej, bezlitosna maszyna, która szufladkuje ludzi i tu i tam, pogarda dla żywej istoty ludzkiej i tam i tutaj, bezduszna racjonalizacja, rządy i panowanie "Obywatela". Jaka jest różnica między obozami koncentracyjnymi amerykańskimi, rosyjskimi, niemieckimi? Czyż znalazł się człowiek, który by zainteresował się ofiarami tragicznych pomyłek: Johanem Moritzem i Traianem Korugą, stwierdził, że są oni niewinni i niesłusznie prześladowani i wyciągnął z tego odpowiednie konsekwencje? Nie, taki człowiek się nie znalazł. Taki człowiek nie mógł się znaleźć — bo światem rządzi "obywatele".

Ilustrację swej tragicznej i efektownej tezy Gheorghiu przeprowadza w sposób mało przekonujący. Wydaje mi się, że ciężar poruszonego przez niego zagadnienia tkwi w pytaniu — w jakim stopniu i w jakich rozmiarach zdolni jesteśmy podjąć walkę z wszechwładnym człowiekiem-maszyną, jakimi możliwościami obrony dysponujemy, gdy stara się on rozciągnąć nad nami swe panowanie? Istnienia produktu skrzyżowania maszyny i człowieka nikt chyba nie poddaje w wątpliwość. Historia tragicznych pomyłek, która jest życiem Johana Moritza, mimo swej kosztownej absurdalności jest możliwa. Jej prawdopodobieństwo nie jest wykluczone. Ale jej prawdopodobieństwo zmalałoby poważnie, gdyby Johan Moritz nie był bezgranicznie naiwnym i prostodusznym chłopem, gdyby tkwiły w nim jakiegokolwiek elementy, które by umożliwiły mu podjęcie samoobrony. Johan Moritz w rękach człowieka-maszyny jest jak miękka glina, która za każdym razem przybiera kształt, jemu narzucony. Traian Koruga nie ma także instynktu walki. Traian jest pewnym siebie poetą-jasnowidzem, napuszonym apostołem, który wszystko potrafi przewidzieć i wszystko wytłumaczyć, lecz który nie umie walczyć. Szlachetnie protestuje przeciwko niesprawiedliwościom — ale to wszystko. Ludzie powieści Gheorghiu nie umieją się bronić i nie umieją walczyć. I w tym tkwi zasadniczy błąd jego książki.

Gdyby Gheorghiu dla zilustrowania swej tezy wybrał ludzi umięających się bronić dzieje ich tragicznych pomyłek stałyby się mniej prawdopodobne. Tezy jego by się zachwiały. Wybrał więc ludzi bezbronnych. I pozornie teza jego się nie zachwiała. Ale tylko pozornie.

Różnica między obozem koncentracyjnym amerykańskim, a obozem koncentracyjnym sowieckim polega na istnieniu moż-

liwości obrony. W Rosji sowieckiej możliwości obrony przed człowiekiem-maszyną nie istnieją. W obozach koncentracyjnych amerykańskich możliwości te istnieją. I to jest decydujące. Znak równania tutaj zawodzi. Znak równania nie zawodzi tylko w stosunku do tych, którzy nie mogą lub nie chcą z tych możliwości obrony skorzystać. Przy tej kategorii ludzi zwycięstwo tezy Gheorghiu może być przekonywujące. Jest jednak tylko pozorne i ograniczone. Przy innych zaś przekonywuje nas niedostatecznie.

Książka Gheorghiu, gdyby ograniczyła się do opisu tragicznych losów ludzi cierpiących za niepopelnione winy — byłaby świetna. Gdyby książka ta była okrzykiem protestu i oburzenia przeciwko obozom koncentracyjnym i krzywdom wyrządzonym ludziom niesplamionym żadną zbrodnią, gdyby była tylko obroną praw człowieka i ludzkości — byłaby w najwyższym stopniu wzruszająca. Lecz powieść Gheorghiu ma ambicje wykrycia i ustalenia sprężyn poruszających całym światem. I ambicja ta prowadzi go do postawienia znaku równości między Ameryką a Rosją sowiecką. Ten znak równości wydaje mi się wątpliwy.

Ktoś może mi powiedzieć, że zasada obozów koncentracyjnych jest na całym świecie taka sama, że człowiek niewinny, skazany niesprawiedliwie, na całym świecie cierpi tak samo. Odpowiem — między krajem, w którym pozostawiono możliwości obrony przed obozem i niesprawiedliwym zesłaniem, a krajem, w którym możliwości te przekreślono i wykreślono jest jednak różnica. I dlatego amerykański produkt skrzyżowania maszyny i człowieka różni się od skrzyżowania sowieckiego. I dlatego konflikt między Ameryką a Rosją nie jest tylko — jak to mówi Gheorghiu — rewolucją, lecz jest wojną. Wojną o pewne prawa. Czy resztki praw.

Gabriel Marcel w swej przedmowie do francuskiego wydania książki "La vingt-cinquième heure" napisał, że siła Gheorghiu polega na tym, że nie należy on do żadnego obozu. Nikt Gheorghiu nie może zarzucić, iż uprawia propagandę na rzecz jakiegoś ugrupowania. Nikt nie powie mu, że pracuje na rzecz czy to Rosji, czy to Ameryki. Gheorghiu jest ponad tym. Mnie się wydaje, że siła Gheorghiu tkwi poza tym w czymś innym.

Gdyby mnie zapytano co myślę o "La vingt-cinquième heure" — powiedziałbym — jest to książka zadziwiająco bogata w swym przerażającym ubóstwie. Ubóstwo jej polega na tym, że od pierwszych stron aż do ostatnich z uporem nakreślonej maszyny wraca w niej jedna i ta sama myśl. Myśl o końcu epoki, ostatniej jej fazie, w której prawa istoty żywej — człowieka — deptane są bezlitosnymi rękami ludzi-maszyn. Myśl ta nie opuszcza ani jednej strony powieści Gheorghiu, nie rozstaje się nieomal z ani jednym jej wierszem. Wszystko, od początku do końca napisane zostało by ją udowodnić. A w tym udowodnianiu z kolei jest bogactwo. Zdumiewające bogactwo scen,

wariantów, niuansów, możliwości. Czytając książkę Gheorghiu nie możemy nie podziwiać jego szerokiego wachlarza w doborze sytuacji, obrazów, wypadków, wydarzeń i zetknięć, jego mistrzostwa w ich ugrupowaniu, kumulowaniu, jego rozrzutności w gromadzeniu wszystkiego, każdego najmniejszego szczegółu, który służy do poparcia jego tezy. I czytając książkę Gheorghiu nie możemy nie podziwiać jego uporczywości z jakim powraca ciągle i nieustannie do swej tezy.

Myślę, że tego rodzaju książkę może napisać tylko człowiek, który owładnięty został pewną obsesją. Tego rodzaju książki piszą fanatycy. I w tym tkwi siła takich książek.

Książka Gheorghiu jest jak afisz, jaskrawy, mocny, demagogiczny afisz namalowany w obronie praw człowieka. Afisz ten jest jednolity i zwarty jak głaz. Jest totalny. W tym także tkwi jego siła.

Gheorghiu jest fanatycznym wyznawcą religii praw człowieka. Jego książka jest nie tylko buntem i protestem, jest wyznaniem. Że jego wyznanie zostało wyróżnione, że skupia naokoło siebie szeregi ludzi czyż nie jest to symptomatyczne? Czyż to, że książka taka powstała i że cieszy się powodzeniem nie jest dowodem odradzania się na naszych oczach religii, która wydawała się skazana na zagładę? Czyż za Gheorghiu nie pójda inni apostołowie?

Józef URSYN.

Włoszka w służbie polskiego podziemia

Wspomnienia Włoszki, Luciany Frassati, z pierwszych lat drugiej wojny światowej pt.: *Il destino passa per Varsavia* — «Los przechodzi przez Warszawę» — są opracowane jak gdyby w kilku płaszczyznach. Książka jest jednocześnie *pa-miętnikiem* żony ostatniego posła R. P. w Wiedniu w obliczu narastającej wojny, *diariuszem* podróży do Polski okupowanej, odbytych wprawdzie za włoskim paszportem dyplomatycznym i dających autorce dostęp do najważniejszych dygnitarzy hitlerowskich w Berlinie, Krakowie i Warszawie, ale z poleceniami od gen. Sikorskiego do Podziemia, *sprawozdaniem* z misji mającej za zadanie uzgodnienie ze stronnictwami w kraju osoby delegata rządu; wreszcie w *Il destino*

FRASSATI Luciana *Il destino passa per Varsavia*, Capelli Editore, Bologna 1950, Testimoni per la storia del nostro tempo, Collana di memorie diari documenti N. VIII., str. 307 oraz 16 fotografii nadliczbowych. W tejże kolekcji ukażą się w najbliższym czasie wspomnienia gen. ANDERSA pt. *Un' armata in esilio* (Bez ostatniego rozdziału).

passa per Varsavia próbuje p. Frassati usystematyzować na użytek cudzoziemców — historię pierwszych trzech lat okupacji sowieckiej i niemieckiej w Polsce. Ta ostatnia próba, mimo że autorka dysponuje własnymi obserwacjami, rozmowami zarówno z przywódcami Podziemia jak i z wykonawcami polityki hitlerowskiej w Polsce oraz raportami stronnictw do Rządu w Londynie ma charakter przypadkowo, choć nieraz bardzo interesująco, dobranych faktów. Ta część książki pozostaje więc niekompletna i chaotyczna, często wyolbrzymia rolę pewnych instytucji, jak RGO, lub osób, jak Księcia Janusza Radziwiła, i jest mniej interesująca dla polskiego czytelnika. Pomimo tych braków wspomnienia p. Frassati rzucają wiele światła na polskie podziemie, a jeżeli mimo obfitego materiału dokumentacyjnego nie staną się encyklopedią życia w Polsce okupowanej, to niewątpliwie, sądząc po recenzjach w prasie włoskiej, staną się encyklopedią tego co przeciętny Włoch myślał i myśli o «povera Polonia». Wiele rozdziałów zasługiwałoby na przetłumaczenie na polski, tym bardziej, że są w przygotowaniu wydania angielskie, niemieckie i francuskie.

Charakterystyka arystokracji polskiej, podana przez p. Frassati, mogłaby uzupełnić antologię zabranych niedawno w «Wiadomościach» — bodajże przez Weintrauba — sądów cudzoziemców o tej klasie, reprezentującej zbyt często we własnych oczach cały naród.

“W roku 1938, kiedy osiedliłam się w Warszawie, spotkała mnie pozornie wylewna i serdeczna, ale w istocie nieufna i nieprzystępna atmosfera równin słowiańskich. Nie istniała tam wielka burżuazja, z którą by można było zbliżyć się duchowo, a arystokracja umiała jedynie zdobić historyczne tarcze herbowe w wykaz dochodów z folwarków, w dumę ze wspaniałych terenów łowieckich i w wystawne bale o średniowiecznym przepychu. Ale wszystko to było za mało, aby przełamać nudę, przygniatającą przybysza z Zachodu i zwisającą nad nami jak szare niebo i niekończące się noce. Chciwość i zachłanność ukrywa się pod maską doskonałej pańskości. Od czasu do czasu tę powszechną monotonię przerywało jakieś małżeństwo. Dwoje szlachetnie urodzonych pobierało się w rodzinie, pomiędzy kuzynami, i spraszało na swe wesele stare arystokratyczne ciotki, zawsze czarno ubrane, o twarzach szarych i wynaturzonych. Staruszki, o powolnym chodzie, namaszczone w mowie i mające ciągle na ustach wzniosłe słowa: Biblia, Polska, Wojsko, Ojczyzna, Honor, kroczyły rozsypując po francusku skarby swego partyotycznego wychowania zawarte w tradycyjnych frazesach heroicznej literatury popularnej”. “Wojna była na ustach wszystkich, lecz nie jako groza, ale jako pragnienie jako entuzjazm nerwowy i nieświadomiony. Na przyjęciach stare damy, bogate glorią przodków, zjawiały się, niby uroczyście widma, na progach olbrzymich salonów, zapowiadając z wizjonerskim podniesieniem oczu: *Enfin la guerre avec l'Allemagne*. Razem z nimi wielu polskich polityków przygotowywało się do wojny, jak do wyrwania zęba, jak do czynności przykrej względnie nawet przyjemnej, ale zawsze łatwej, niezwykle łatwej”.

Interesująca nas treść książki zaczyna się od rozdziału IX pt.: «Czwarty rozbiór Polski». Od tego rozdziału wspomnienia

łączą się z usystematyzowaną kroniką polityki niemieckiej i sowieckiej w Polsce od pierwszych dni okupacji aż do początków 1943. Kronika ta próbuje odnaleźć w polityce okupacyjnej jakieś logiczne okresy, ustalone nie tylko według fal wznoszącego lub malejącego terroru i eksploatacji gospodarczej, lecz i według różnych planów militarynych niemieckich czy rozgrywek pomiędzy gubernatorem Frankiem a ministrem Ribbentropem i Gestapo. Niestety autorka dysponuje jedynie przypadkowo zebranymi informacjami.

Wiele jednak z tych informacji jest bardzo interesujących i to nie tylko dla czytelnika cudzoziemskiego. A więc początkowa sympatia chłopów kresowych dla kolchozów, pozwalających w pierwszym chaosie na olbrzymią spekulację między Lwowem a Odessą; względność sowieckiego określenia przynależności do stanu średniego, likwidowanego pospiesznie przez NKWD: np. w większym mieście fryzjerzy byli uważani za proletariuszy, zaś na wsiach i w miasteczkach zaliczano ich do inteligencji i wywożono w pierwszych transportach w głąb ZSSR; kolejność grup podlegających deportacji: zawodowi wojskowi, osadnicy wojskowi, prywatna i państwowa służba leśna, mogąca ułatwiać konspiracje, drobna inteligencja z prowincji (nauczyciele ludowi, kierownicy spółdzielni, fryzjerzy itd.).

Każda podróż pani Frassati do kraju połączona była z ułatwieniem wyjazdu zagranicę różnym Polakom oraz z coraz ważniejszymi misjami od rządu polskiego w Angers i w Londynie do kraju.

Pierwszy pobyt w Warszawie w listopadzie i grudniu 1939 wprowadza czytelnika w kulisy administracji i policji niemieckiej w Polsce poprzez opisy spotkań z szefem Gestapo w Warszawie Meinsingerem i z dobrym Niemcem Krausem. Między innymi udaje się wówczas pani Frassati wywieźć z Polski generałową Sikorską.

Polakom i Żydom spokrewnionym z obywatelami włoskimi wielką pomoc okazywały dyplomatyczne i konsularne placówki włoskie w Warszawie, Krakowie, Katowicach, Lwowie. Chargé d'affaires Di Stefano, który wbrew zakazom Auswärtiges Amt'u potrafił przetrwać w Warszawie do końca marca 1940 r., a później nowoutworzone przedstawicielstwo dyplomatyczne włoskie przy generalnym Gubernatorze w Krakowie (minister pełnomocny Cesare Vernacci di Frossombrone od stycznia 1942 do 9 września 1943) udzielają poparcia różnym inicjatywom pani Frassati.

Druga podróż do Polski, w lutym 1940, jest poprzedzona wizytą w Angers u gen. Sikorskiego. Sikorski dał p. Frassati do przewiezienia walizkę z blisko milionem złotych dla rodzajęcego się Podziemia. Złote te trzeba było przestemplować. Tymczasem autorka przyjechała do Krakowa po upływie termi-

nu tej operacji. Młynarski, dyrektor Banku Emisyjnego Generalnej Gubernii, uczynił to pokryjomi i pieniądze za pośrednictwem zięcia premiera p. Leśniewskiego dotarły do celu. Po powrocie z tej podróży gen. Sikorski i gen. Sosnkowski powierzyli pani Frassati organizowanie kół przyjaciół Polski we Włoszech, które wtedy jeszcze nie weszły do wojny.

Trzecią podróż skraca ryzykowne i przygnębiające psychicznie zetknięcie się z młodą arystokratką polską na służbie Gestapo.

Czwartą podróż do Polski, w styczniu 1941, stanowi — obok 6 rozmów z Mussolinim — najciekawsze rozdziały książki. Z końcem 1940 r. przyjechał do Włoch z Londynu Watys (Stanisław Starczewski) z misją przedostania się do kraju celem nawiązania kontaktu ze stronnictwami i z ZWZ (Związek Walki Zbrojnej — związek przyszłej AK), doprowadzenia do ich współpracy i przedstawienia kandydatów na stanowisko delegata rządu na kraj. Gestapo jednak wpadło na trop Starczewskiego, a szef policji włoskiej Bocchini uprzedził o tym p. Frassati, która wówczas pojechała do kraju, aby choć w części misję wykonać.

W kraju był już poprzednik Starczewskiego - Watysa płk. Skorobohaty-Jakubowski, działający pod pseudonimami Vogla, Skupienia i Karczmarka. Pułkownik Jakubowski na skutek intryg i utraty zaufania gen. Sikorskiego misji nie potrafił wykonać. W trzech długich rozdziałach «Misja», «Kraków» i «Warszawa Podziemna» znajduje się sprawozdanie autorki z układu stosunków w budującej się Polsce podziemnej i z dziesiątek rozmów z przywódcami Podziemia, a wśród nich z anonimowym «kierownikiem PSL», z «R. przywódcą S.N. w Krakowie», z Żuławskim, z kierownikami organizacji wojskowej, z prof. Szaferem, Rudolfem Jędrzejewskim, dyrektorem Młynarskim w Krakowie, Tadeuszem Krzyżanowskim, Romanem Knollem, Alfredem Wysockim, Ossowieckim, Januszem Radziwiłłem, gen. Piotrem Robotnikiem, płk. Vogel-Jakubowskim, Janem Kwiecińskim ze Str. Pracy, Dembskim i Trajdosem z S. N., prof. Rybarskim, Stanisławem Osieckim, adwokatem Korbońskim z S.L., i z innymi w Warszawie. Nie ma tu miejsca na streszczenie tych rozmów, z których każda usiłuje dać obraz całości życia w kraju i jego stosunków podziemnych. Rozmowy te zasługują na jak najszybsze przetłumaczenie i zainteresowania się nimi ze strony stronnictw, które są dziś na emigracji. Dają one obszerny opis wytycznych politycznych poszczególnych stronnictw, ich stosunku do Londynu i do ZWZ. Jako wynik tych rozmów pani Frassati przesłała rządowi nazwiska Jerzego Gościckiego, byłego ministra Rolnictwa, Władysława Mieczkowskiego, byłego dyrektora naczelnego Banku Polskiego i Cyryla Ratajskiego, byłego Prezydenta Poznania, jako kandydatów Podziemia na delegata rządu. Ostatni z nich został przez premiera Sikorskiego mianowany.

Z piątej podróży w sierpniu 1941 specjalnie interesujące są spostrzeżenia na temat zmiany nastawienia kraju do gen. Sikorskiego w związku z układem Stalin—Sikorski oraz rozwoju PPR. W czasie tej podróży p. Frassati miała możliwość zetknięcia się w Berlinie z admirałem Canaridem, legendarnym szefem kontrwywiadu niemieckiego i z ambasadorem von Papen.

Szóstą i ostatnią podróż w grudniu 1942 przynosi przypomnienie dwóch artykułów z 18 i 19 lutego w gadzinowym «Nowym Kurjerze Warszawskim» o gen. Sikorskim i rządzie londyńskim. Politycy i wojskowi niemieccy próbowali zjednać Polaków do wojny przeciw Sowiетom i usłuźni redaktorzy zaczęli raptem kłaniać się uniżenie pod adresem Londynu i nazywać generała «niezłym żołnierzem i człowiekiem o kryształowym charakterze, który bez granic poświęcił się sprawie ojczyzny» itd. Jednocześnie b. ambasador niemiecki w Warszawie, von Moltke, rozstrzygał plany przekazania administracji w Generalnej Gubernii Polakom. Plany te wiązały się z pewną akcją włoską na rzecz kompromisowego pokoju, której nie obca była i osoba p. Frassati.

W głowach włoskich polityków kiełkowała przez pierwsze lata wojny nadzieja najpierw zlokalizowania konfliktu, a potem przejścia z Niemcami do aliantów zachodnich celem wspólnej wojny przeciw ZSSR. Już w październiku 1939 ambasador włoski w Berlinie Attolico proponował von Ribbentropowi odbudowanie suwerenności polskiej w granicach Generalnej Gubernii. Miało to być warunkiem rokowań pokojowych z Francją i Anglią. Później pod wpływem przedstawiciela Włoch w Krakowie, Frossombrone, gen. gubernator Frank wysuwa fantastyczny projekt spotkania się z papieżem i zaproponowania mu pośrednictwa w rokowaniach pokojowych. Depesza von Ribbentropa w kwietniu 1943 wstrzymała w ostatniej chwili akcję Franka, na którego już oczekiwał na dworcu krakowskim specjalny wagon, mający zawieźć go do Modeny, na ceremonię udzielenia mu doktoratu z prawa honoris causa. A z Modeny do Watykanu był już tylko krok — łudziła się p. Frassati.

Wyjaśnienia osób kompetentnych wymaga sprawa oswobodzenia profesorów krakowskich z Oranienburga. P. Frassati rewindykuje tę zasługę dla Mussoliniego. W jednym ze swych spotkań z Duce zainteresowała ona dyktatora włoskiego Iosem uczonym i on miał spowodować ich wypuszczenie. Kiedy profesorowie zostali wyzwoleni p. Frassati ofiarowała Mussolinie-mu z własnej inicjatywy wspaniałe wydanie dzieł malarskich Wyspiańskiego, jako wyraz wdzięczności oswobodzonych. Wiadomo, że również prezydent Roosevelt interweniował u Hitlera w sprawie profesorów krakowskich.

(Tytułem anegdoty można dodać, że ten egzemplarz reprodukcji Wyspiańskiego został znaleziony przez oddziały polskie, które zdobyły zamek Mussoliniego w Rocca delle Cami-

nate. Dostał się on później w ręce gen. Andersa i p. Frassati dopomina się żartobliwie w swej książce o zwrot.

We wspomnieniach *Il destino passa per Varsavia* znajdujemy ponadto bogaty materiał z codziennego życia Warszawy pod okupacją, terroru niemieckiego i wiele obserwacji psychologicznych.

Pomimo braków i usterek, wspomnienia p. Luciany Frassati są jedną z najbarwniejszych pozycji w literaturze włoskiej o Polsce i drugiej wojnie światowej.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI.

Pamięci Bernanosa

We wrześniu 1918 roku, z rowów strzeleckich nad Sommą czy Marną, gdzie się Bernanos dosłużył stopnia kaprała, pisał do przyjaciela:

„... przed tym ostatnim skokiem chciałbym pozostawić ślad po sobie w czyimś sercu, chociażby w jednym, jedynym sercu.”

Umrzeć miał dopiero w trzydzieści lat później w pełni sił twórczych, zostawiając po sobie ślad głęboki.

“Towarzystwo Przyjaciół Georges Bernanosa”, zawiązane wkrótce po śmierci wielkiego pisarza, wzięło pod opiekę jego niewydane utwory, gromadzi korespondencję, skupia wspomnienia oraz prace krytyczne, dotyczące życia i dzieła zmarłego.

Książka niniejsza nie miała być jego apologią, nie dano jej nawet tytułu *Hommage à...* (Ku czci...). Wyszła zwyczajnie pod jego imieniem i nazwiskiem, które mówi samo za siebie. Redakcja nie chciała niczym kępować współautorów tej pracy, nie dała im żadnych dyrektyw, nie rozdzieliła pomiędzy nich “głosów”, zaprosiła do współpracy zarówno przyjaciół i stronników pisarza jak również tych co byli w stosunku do niego w opozycji.

“Bernanos jako człowiek wolny — pisze Béguin w przedmowie — nie zniósłby aby mówiono o nim inaczej jak zupełnie swobodnie.”

Niniejsze wydawnictwo obejmuje naprzód 39 listów pisarza, od 1904, czyli od jego 16-tu lat, do 1947-go, ostatniego roku życia. Następnie idą wspomnienia i prace krytyczne. Występuje tu dwudziestu pięciu autorów francuskich najróżniejszych orientacji, filozofów, teologów katolickich i protestanckich, powieściopisarzy i krytyków literackich ze starszego i młodszego po-

Georges Bernanos, *Essais et Témoignages réunis par Albert Béguin* (Ed. de la Baconnière, Neuchâtel, Ed. du Seuil, Paris. Collection des Cahiers du Rhône). 1949 r. Str. 375 + 9 nlb. + 25 str. fotografii i reprodukcji manuskryptów.

kolenia, pięciu cudzoziemców Europejczyków (Anglia, Italia, Niemcy), i dziewięć głosów pisarzy brazylijskich. Na zakończenie podano notę biograficzną, ujętą chronologicznie, nieskompletowaną jeszcze bibliografię prac wydanych i zestawienie prac niewydanych. Z tego ostatniego dowiadujemy się że poza *Dialogues des Carmélites*, które już się ukazały, pozostaje jeszcze do wydania powieść pt. *Le mauvais Rêve*, napisana w 1936 r., dwie przedmowy do *Chemin de la Croix-des-Ames* (zbiór artykułów z lat wojennych, wydanych w 1948, przed samą śmiercią pisarza), *Premier Manifeste*, (pisany w 1948), *Conférences* (z lat 1946-48) i *Correspondence* (1904-1948). Następnie idzie wykaz tłumaczeń, spis głównych czasopism z którymi Bernanos sporadycznie współpracował i zestawienie, także niekompletne, prac o nim, oraz artykułów krytycznych i polemicznych wywoływanych pojawieniem się każdej jego nowej książki, wreszcie wykaz listów otwartych wydanych pod jego adresem. Wydawnictwo jest ponadto bogato ilustrowane fotografiami pisarza (z różnych okresów jego życia) i miejscowości w których przebywał, oraz licznymi *fac simile* jego rękopisów: listów, brulionów i notatek.

Wybór listów do wychowawcy, narzeczonej i przyjaciół oddaje niepowtarzalny ton głosu pisarza, tego samego natężenia i gwałtowności, tej samej tkliwej wierności i oddania co ton jego dzieła; bo Bernanos był zawsze i nieodmiennie sobą, w pracy i w życiu, które stanowiły jedność nierozłączną.

W liczbie współautorów tego wydawnictwa kilku już nie żyje, jak Charles Du Bos, Antonin Artaud, Pierre Bourdan, oraz zmarły ostatnio redaktor “Esprit” Emmanuel Mounier.

Wartość zebranych tutaj prac jest różna, niektóre nasświetlają pod pewnym kątem całą twórczość Bernanosa jak np. świetny *essay* Em. Mounier pt. *Un Surnaturalisme Historique*, gdzie autor śledzi krok za krokiem bieg pierwiastku nadprzyrodzonego w twórczości Bernanosa, obficie przy tym go cytując.

Jedną bowiem z cech stylu i ekspresji tego wielkiego wizjonera jakim był Bernanos, jest ich dosadność i przejmująca trafność określeń.

W kilku stronach, wyjętych z Dziennika Charles Du Bos (*Pages de Journal*, Sept.-1938) przytacza autor urywki z *Curé de Campagne* i *Cimetières sous la Lune*, po czym dodaje: wszelki komentarz byłby świętokradztwem.”

“Kiedyś, pisze dalej Du Bos, określiłem Byrona jako ludzkie zwierzę wielkiego gatunku. W Bernanosie nie człowiek, ale samorodny geniusz jest z gatunku wielkich drapieżników, wyróżniających się nagłością zwrotów i skokiem wydłużonym”.

A. Béguin zatytułował swoje głęboko religijne rozważania “Świadek Świętej Agonii”. Znamienna jest reakcja “synów Reformy” na głos wielkiego katolika pióra André Dumas pt. “Le Message à nous autres Protestants”. Robert Speaight odpowiada na *Lettres aux Anglais* (wydana w 1942 r.). Ch. Plisnier i inni

zastanawiają się nad zagadnieniem jego rzemiosła literackiego, które było formą zastępczą życia aktywnego, do którego Bernanos zdawał się być powołany. Sam zresztą wyznawał, że widok białej karty papieru napełniał go odrazą, długotrwałe skupienie myśli było przeciwne jego naturze. Ciężki wypadek motocyklowy w 1933 r., który go przyprawił o kalectwo (mógł odtąd chodzić tylko o dwóch laskach), przyjął jako zrzucenie Opatrzności. Odtąd inne drogi były mu zamknięte, musiał zostać pisarzem. W ostatnim dziesięcioleciu swojego życia i twórczości porzucił literaturę piękną dla polityki. „Krzyknął: Obecny! — i odtąd już do końca upominał, gromił, groził, zapowiadał... Podwójne powołanie... I, mimo, że rozdarty, Bernanos pozostaje wierny obu wezwaniom, nigdy nie szczędząc swego życia”. (Ch. Plisnier).

Przejmujący szczerością samooskarżenia jest essay André Rousseaux pt. „Bernanos et la démission de la France”. *Démission* w znaczeniu uchylenia się od odpowiedzialności, od *misji* swojej i powinności. Rousseaux porusza tu sprawę zasadniczą tj. bezkompromisową postawę Bernanosa w stosunku do własnej ojczyzny i społeczeństwa, osąd na tyle kategoriyczny że skłonił go do emigracji nawet przed Monachium. Wróciwszy do kraju w 1946 r., zawiedziony w jego odrodzeniu, nosił się nawet z myślą zmiany obywatelstwa. Bernanos w głębi Brazylii zaufał Ruchowi Oporu, oczekiwał z żarliwą niecierpliwością tej *rewolucji ducha*, która miała oczyścić Francję z hańby jej małoduszności i kompromisów, a nie doczekawszy się jej zwątpił w siły żywotne i ładunek moralny współczesnego pokolenia Francuzów. Osiadł w Tuńisie nie tracąc jednak nadziei na tę rewolucję przyszłości:

«...największą i jedyną rewolucję wszystkich historii, tę której inne były jedynie bladą i na ogół nierozpoznaną zapowiedzią, rewolucję człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, przeciwko materii, która podstępnie z wieku na wiek bierze zwolna nad nim górę, wtenczas gdy jemu się zdaje, że ją zniewala».

Bernanos ufał, że ta rewolucja będzie miała głowę i serce we Francji odrodzonej.

W końcu mamy świadectwo księdza, Daniela Pezeril, który towarzyszył pisarzowi w jego ostatniej walce, śmiertelnej chorobie i konaniu pt. *Sur la fin de Georges Bernanos* i poemat Jean Cayrola: *Requiem*.

Noblesse — co oznacza szlachectwo i szlachetność najściślej określa tego zapamiętałego rojalistę, żarliwego obrońcę tradycji dawnej rycerskiej Francji a zarazem wiecznego rewolucjonistę, a także słowo, które tak często pojawiała się pod jego piórem *face à face* (twarzą w twarz), albo *corps à corps* (walka wręcz) — zawsze to stawianie czoła przeciwnikowi, jak w turnieju, nie uchylenie się, ale szczerze, bezpośrednie natarcie.

W jednym z listów z frontu (1915 r.) pisał Bernanos do przyjaciela: „Ustaliłem moje epitafium, będzie się składało z dwóch tylko wierszy:

«Tu leży człowiek, który się bił i umarł dla swojej osobistej satysfakcji i aby się wściekali ci co się nie biją ani nie umierają».

Tym zuchwałym, przekornym, nieustępliwym żołnierzem, który się bił o swoją własną sprawę pozostał Bernanos do ostatka: „wielki drapieżnik, wyróżniający się nagłością zwrotów i skokiem wydłużonym”.

Maria CZAPSKA.

Dwie powieści o ziemi

Dwie powieści autora libańskiego Farjallaha Haïka, „Abou Nassif” i „Fille d'Allah”), są dziełem autora o kulturze prawdziwie europejskiej, ale który zarówno z pochodzenia jak i z ducha był i pozostał człowiekiem Wschodu. I stąd może ich autentyczność i... urok. Farjallah Haïk znany jest i ceniony na terenie Libanu jako autor zbiorów poezji „Larmes et sourires” i „Le paradis du Satan”, powieści „Barjoute”, „Helena”, „Al Ghariba” i „Gofril”, a zwłaszcza „studium” politycznego „Dieu est Libanais”, które dało mu wielki rozgłos w jego ojczyźnie.

Nie jest to przypadek, że powieści autora libańskiego są powieściami o ziemi. Ziemia Libanu, wciśniętego między kamienistą Palestynę, a pustynny Irak, jest nie tylko jego urokiem ale bogactwem. Na tle jałowych krajów bliskiego Wschodu zielony Liban jest oazą ziemi, ziemi żyznej i urodzajnej, która pokrywa równinę Bekaa i szerokimi płatami przyklejona jest do zboczy gór. Dzięki umiarkowanemu klimatowi wieśniacy libańscy uprawiają wszystkie zboża, jarzyny i owoce, rosnące w klimacie europejskim (jabłonie i winorośl, o których mowa jest w powieściach Farjallaha Haïka).

Nie jest również przypadkiem, że bohaterami powieści Farjallaha Haïka są chłopci, „ludzie z gór” jak ich nazywają mieszkańcy miast wybrzeża, Bejrutu czy Tripolisu. Są oni bowiem na prawdę solą tej ziemi.

Górale libańscy są dalekimi potomkami plemienia górskiego, które przyjęło chrzest w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Lud libański jest patriarchalny (odnosi się to zresztą rów-

*) HAIK, Farjallah: *Les enfants de la terre*; I. — Abou Nassif, 242 p., prix 180 frs; II. — *La fille d'Allah*, 240 p., prix 210 frs. Librairie Plon, collection Feux Croisés, Paris 1949.

niez i do elity. Szczegół charakterystyczny: tak w najprostszej jak i w najkulturalniejszej rodzinie libańskiej wnuk nosi imię chrzestne dziadka dla podkreślenia węzłów i ciągłości rodziny), odznacza się surowością obyczajów i przywiązaniem do obrzędów swojej wiary. Nie przeszkadza mu to zresztą być zabo-
bonnym, jak wszystkie ludy Wschodu. Życie jego owiane jest tajemniczym urokiem wierzeń w czary i klątwy, ciężące na po-
koleniach i odzégnywane za pomocą magicznych zaklęć, w świę-
tość ognia i w tajemnicze zioła, które odurzają, dają zapomnie-
nie i przynoszą szczęście albo śmierć. Nie zapominajmy, że Li-
ban jest ojczyzną haszyszu i biblijnej madragory (którą według
wierzeń starodawnych zrywać należy przy pełni księżyca i któ-
ra przynosi bogactwo i powodzenie. Madragora jest skandynaw-
ską Alraune).

W "Abou Nassifie" i w "Fille d'Allah" dużą rolę odgrywa ta-
jemnicza trawa, którą kochanek odurza pożądaną dziewczyn-
ną, żeby wymóc jej miłość, a później jej ziemię. Kobieta przy-
wiązana jest do tej dziwnej trawy (haszyszu?), będącej przy-
czyną jej wyniszczenia i choroby i przywiązanie to przekazu-
je córce. I dla niej z kolei staje się ona nałogiem i przekleń-
stwem.

Te dwie powieści o kraju arabskim, opierającym się o Zie-
mię Świętą, mają urok bajki wschodu i prostotę przypowieści
ewangelicznej [nie należy zapominać, że język syriacki, ko-
ścielny język libański (obrazu maronickiego) zbliżony jest
bardzo do języka Ewangelii]. Wątek powieściowy "Abou Nas-
sif" i "Fille d'Allah" jest prosty i surowy. Jest to historia grze-
chu i kary, a jednocześnie konflikt między namiętnościami
ludzkimi i miłością do ziemi.

Jednak zetknięcie z ziemią uszlachetnia. Ten kto uprawiał
ziemię jest "człowiekiem sprawiedliwym", "spełnił swój obowią-
zek wobec Boga i wobec ludzi".

Ta wiara w ziemię, którą tchną powieści Haïka sprawia, że
mimo ponurej treści i tragedii opisywanych postaci, są one w
swoim najgłębszym nurcie pogodne. Czuje się, że te "dzieci
ziemi", choć tak złamane i zranione, odzyskać mogą spokój,
zwróciwszy się do ziemi.

I. S.

Nowości francuskie

HISTORIA

- HODEN (M.). *Chronique des évé-
nements internationaux*. Vol. 1.
— *Le miracle britannique*. Pp.
159 (Calmann-Lévy, frs. 150);
V. II. — *Les trois dernières
agressions*. Pp. 195 (Calmann-
Lévy, frs. 150); V. III. — *De
Pearl Harbour à Stalingrad*. *Le
miracle russe*. Pp. 264 (Calmann-
Lévy, frs. 150); V. IV. — *Du
débarquement en Afrique du
Nord à la capitulation de l'Ita-
lie*. *Du Caucase au Dniepr*. Pp.
333 (Calmann-Lévy, frs. 270);
Vol. V. — *Des conférences de
Moscou et de Téhéran à l'as-
saut de la forteresse européen-
ne*. *La libération en marche*.
Pp. 404 (Calmann-Lévy, frs.
360).

KOSTRZEWSKI (J.), professeur
à l'Université de Poznań. *Les
origines de la civilisation polo-
naise*. Préhistoire-protostoire.
Traduction de M. Bernard Ham-
mel. 261 gravures. Pp. 669. (Edi-
tion Presses Universitaires de
France, 1949. No 1 de Publica-
tions de l'Institut Occidental).

DOKUMENTY CHWILI

- KOESTLER (A.). *La tour d'Ezra*
(Thieves en the night). Pp. 412
(Calmann-Lévy, frs. 360).
KOVACS (I.). *D'une occupation
à l'autre*. Pp. 297. (Calmann-Lé-
vy, 1949, fr. 500).

FILozOFIA

- SCHWARZSCHILD (L.). *Karl
Marx*. Pp. 400. (Editions du
Pavois, 1950, fr. 495).

Nowości angielskie

HISTORIA I BIOGRAFIE

- CHURCHILL (Winston S.). *Europe
Unite*. *Speeches 1947-1948*.
Pp. 64. 18s. (Cassell).
CRUIKSHANK (R. J.). *Charles
Dickens and Early Victorian
England*. Illus. Pp. 308. (Pit-
man, 20s.).
HALECKI (Oscar). *The Limits
and Divisions of European His-
tory*. Pp. 242. 10s. 6d. (Sheed
& W.).
HARDY (Robert Gathorne-). *Re-
collections of Logan Pearsall
Smith. The Story of a Friend-
ship*. Pp. 259. (Constable, 18s.).
LENCZOWSKI (George). *Russia
and the West in Iran 1918-
1948. A Study in Big Power Ri-
valry*. Pp. 383. 36s. (Cornell
Univ. P.). O.U.P.
QUENNELL (Peter). *A self por-
trait*. Letters and diaries 1798-
1824. With hitherto unpublished
letters in two volumes. Illus.
Pp. 358. Vol. I. Pp. 803. Vol. II.
42s. set. (Murray).

BELETRYSTYKA I LITERATURA

- LINKLATER (Eric). *A Spell for
Old Bones*. Pp. 223. (J. Cape,
9s.).
SITWELL (Sir Osbert). *Death of
a God*. Pp. 217. (Macmillan,
8s. 6d.).
HUXLEY (Aldous). *The Gioconda
Smile*. A play in three acts from
the short story by Aldous Hux-
ley. Pp. 76. 5s. (French).
READ (Herbert). *Phases of Eng-
lish Poetry*. Pp. 148. 10s. 6d.
Faber.
SAGITTARIUS AND VICKY. *Up
the Poll!* The sap's guide to the
general election. Illus. Pp. 64.
2s. 6d. (Turnstile P.).
COBBEN (Alfred). *The Debate
on the French Revolution, 1789-
1800*. Vol. II. The British Poli-
tical Tradition. Pp. 496. 12s 6d.
School edn. 10s. (Kaye).
SUMNER (B.H.). *Peter the Great
and the Ottoman Empire*. Pp.
80. 6s. (Blackwell).

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX 1939 do 31.XII. 1948 roku

GRZESIAK, JÓZEF. *Elementarz Kierowcy*. Wydała Polska Szkoła Kierowców Samochodowych im. Washingtona w Schwäbisch Gmünd. Nakładem Komisji Wydawn. Biura Rej. Specjalnego przy P.M.W. dla szkolenia zawodowego był. jeńc. wojennych. Na prawach rękopisu. Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. 1946. Str. 44 + 2 nlb. Wydanie II. (Nakł. 10.000 egz.).

Handel detaliczny. Tłumaczyli z niemieckiego STEFAN i HALINA OKUŁOWIE. Wydano na prawach rękopisu staraniem Kom. Wydawn. w oparciu o Wszechśw. Kom. Zw. Młodz. Chrześc. Frankfurt-Hoechst 1947. Str. 62 + 2 nlb.

HARRASSER, JERZY, Ks. TJ. *Katechizm sodalicyjny*. Podręcznik dla zarządów Sodalicyj Maryjańskich i do pouczenia kandydatów. Z 11-tego wydania niemieckiego tłumaczył Ks. Dobromir Ziarniak. Przedruk z III-go wydania krajowego w Innowrocławiu w 1948. Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyna Schwäbisch Gmünd-Lorch Württ. 1948. Str. 64 (Nakł. 2.000 egz.).

HARASOWSKI, JÓZEF. *Jeszcze Polska nie zginęła. Gaude Mater Poloniae. Rota*. Harmonizował ... Tekst pieśni wzięty ze «Skarbcza Pieśni Polskiej». Wydawn. St. Późniak-Poznańskie-go «Głos Ojczyzny». Brunświk 1946. Str. 4. (Nakł. 2.000 egz.).

HARDY, PAUL (BERNARD HAMEL). *Moja metoda języka francuskiego, szybko, łatwo i przyjemnie*. Słowniczek 1200 słów i zwrotów potocznych. Nakładem POKA. Hanower 1947. Str. 108. (Nakł. 1000 egz.).

HARTLEB, KAZIMIERZ. *Kultura polska od zarania dziejów po dni ostatnie*. Wyd. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 108 + 4 nlb.

Helden ohne Waffen. In der «Buchreihe für Jedermann», he-

rausgegeben vom Horizont-Verlag und Verlag des Druckhauses Tempelhof Berlin 1947. Auflage 1 - 1000 Tausend. Str. 159 + 1 nlb. (Str. 146 - 149: *Marie Curie* von ELISABETH LANGGÄSSER).

HELM-PIRGO, MARIAN. *W okowach i w walce*. Wiersze z lat 1939 - 1944. Z ilustracjami autora. Księgarnia Polska, Monachium-Rzym 1846. Str. 29 + 3 nlb.

Historia biblijna Starego i Nowego Testamentu dla szkoły i domu. Wydane z polecenia J. Eks. Ks. Józefa Gawliny, Bkpa Wojsk. i Uchodź. Polskich. Przedruk uzupełniony 103 ilustr. i 7 mapkami. Wydanie I. Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyna Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. 1946. (Nakł. 10.000 egz.).

Historia biblijna Starego i Nowego Testamentu dla szkoły i domu. Wydane z polecenia Jego Eks. Ks. Józefa Gawliny, Bkpa Wojsk. i Uchodź. Polskich. Przedruk uzupełniony 103 ilustr. i 7 mapkami. Wydanie II-gie. Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyna Schwäbisch-Gmünd-Lorch/Württ. 1947 (Nakł. 5000 egz.).

HOFFMANN, EMIL, Dr. *Neue Heimat Posen*. Band III. Volksdeutsche Heimkehr. Hrg. von Dr. Hans Krieg. Nibelungen Verlag Berlin-Leipzig 1940. Str. 77 + 1 nlb. 34 - 117 Tausend.

HOFMAŃSKI, BOGDAN. *Drzewa karłowe*. Wydawnictwo Obozu Polskiego Nro 9, Osnabrück 1946. Str. 64 (Powielacz).

HORSKI, JAROSŁAW. *Cyrkulik monachijski*. Wybór fraszek złośliwych. Nakładem autora. Wydrukowano 500 numerowanych egzemplarzy. Monachium 1946. Str. 47 + 1 nlb.

HORSKI, JAROSŁAW. *Wiersze pisane nocą*. Ilustracje R. Pieniążko. Nakładem «Irka». Monachium 1948. Str. 32.

Idee i dokumenty Nro. 1. Wydawn. Sekcji Wydawn. przy Polsk. Stowarzysz. b. Więżn. Polit. Niem. Oboz. Konc. w Monachium 1946. Str. 104.

Idee i dokumenty Nro 2. Wydawn. Sekcji Wydawn. przy Pols. Stow-arzysz. b. Więżn. Polit. Niem. Oboz. Konc. w Monachium 1947. Str. 108 + 4 nlb.

Informator o zawodach cywilnych. Tom. I. Główna Komisja Organizacyjna Związków Zawodowych. Wydawnictwo I Obozu Polskiego Osnabrück Nro 8. Osnabrück 1946. Str. 104 + 2 nlb. (Powielacz).

Informator polskiego wysiedleńca i emigranta. Kalendarzyk na rok 1948. Wydanie drugie, poprawione i rozszerzone. Zjednoczenie Polskie na terenie Okupacji Brytyjskiej Niemiec. 1948 r.

ILNICKA, RENATA. *Kolędy i pastoralki*. Opracowanie muzyczne... Wydawnictwo Chrypińskiego «Znaki», Hanower 1946. Str. 16.

(IWASZKIEWICZ, JERZY, Podchr.). *Utrzymanie i opieka*

nad amerykańskim wojskowym pojazdem mechanicznym w zakresie kierownicy. Wyd. Polsk. Szkoły Kierowców i Mechaników Samochodowych przy Trzeciej Armii Amerykańskiej. Mannheim-Käfertal 1946. Str. 39 + 5 nlb.

JAN, PIOTR. *Samouk języka angielskiego*. Wyd. J. Nierychło, Heidelberg 1946. Str. 112.

JANOWSKI, ALEKSANDER. *Warszawa*. Z cyklu «Cuda Polski». Z 244 ilustracjami. Wydawn. Polsk. R. Wegner w Norymberdze 1947. Wydanie II-gie. Str. 196

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Alleluja, Alleluja...* Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 4. (Nakł. 4000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Gorzkie żale i pieśni wielkopostne*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 8. (Nakł. 4000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Hej kołęda, kołęda*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1945. Str. 20. (Nakł. 2500 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Ja ciebie rozgrzeszam...* (Nauka i przygotowania do Spowiedzi i Komunii Św.). Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 36. (Nakład 5000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Królowo polska*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 8. (Nakł. 5000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Matko Najświętsza do serca Twego...* Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 4. (Nakł. 3000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Na pasterkę...* Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 8. «Nakł. 5000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Nie bój się spowiedzi...* Wydanie i nakład autora. Mannheim 1945. Str. 4. (Nakł. 2500 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Niechaj będzie pochwalony...* Wydanie i nakład autora. Mannheim 1948. Str. 6. (Nakł. 2000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Pamiętka rocznicy istnienia kompanii*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1947. Str. 2. (Nakł. 2000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Rozważ to dobrze*. Rozważania religijne. Zeszyt I. Str. 4. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1945. (Nakł. 2000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Rozważ to dobrze*. Rozważania religijne. Zeszyt II. Str. 4. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1945. (Nakł. 2000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Spiwajmy panu*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1945. Str. 8. (Nakł. 2500 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Święty Stanisławie Kostko*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1948. Str. 2. (Nakł. 2000 egz.).

JANUSZ, JULIUSZ, Ks. *Tobie serce moje*. Wydanie i nakład autora. Mannheim 1946. Str. 4. (Nakł. 4000 egz.).

JAROSSY, FRYDERYK. *Mein Kampf*. Walka z doktorem Goebbelsem. Wyd. na prawach rękopisu. Okładkę projektował i rysunki wykonał H. Gecow. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Hanower 1945. Str. 64.

JASIEK, PAWEŁ. *Zbiór pieśni dla dzieci i młodzieży*. Melodie w układzie jednogłosowym. Nakładem Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Westfalii. Regensburg 1947. Str. 68. Odbito w drukarni artystycznej Gustawa Seibta, Regensburg 3000 egzemplarzy. (Rotaprint).

JASIEK - SZCZEPAŃSKI-LISOWSKI. *Elementarz i czytanka dla I i II klasy szkół powszechnych*. Ilustracje M. Biliński, K. Mackiewicz. Opracowano w Obozie Polskim w Ansbach. Wyd. Polskie R. Wegnera w Norymberdze 1945. Str. 119 + 1 nlb.

Jezu ufam Tobie. Wydanie czwarte. Nakładem Duszpasterstwa Polskiego w Strefie Brytyjskiej Hanower. Księgarnia Augusta Laxa, Hildesheim 1947. Str. 495.

JO & WID. *Gdzie ludzie żyją lat 25*. Wydawn. Polskie R. Wegnera w Norymberdze 1947. Str. 185 + 1 nlb.

JODŁOWSKI, ST. i TASZYCKI, W. *Zasady Pisowni Polskiej i Interpunkcji ze Słownikiem Ortograficznym*. (Według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z 21 kwietnia 1936 r. zatwierdzonych przez M. W. R. i O. P. z 24 czerwca 1936 r.). Wyd. Książek Polskich. Hamburg 1945. Str. 2 nlb. + 180. (Przedruk z wydania angielskiego).

KABOS, KARL. *Die Stellungnahme*. Verlag: «Ostoya» Institut für Kultur und Arbeit. Vienenburg/Goslar 1948. Str. 24 + 4 nlb.

KACZKOWSKI, LECH. *Z własnej zagrody*. Poezje. (Z linorytami Prof. Z. Introwskiego i I. Ryszki). Biblioteka «Polak w Waldeck» Nro 2, Arolsen-Landau 1946. Str. 62. (Powielacz).

Kalendarz «Gońca» na rok 1949. Wydawca Jerzy Klukowski. Dillingen 1948. Str. 64 + 16 nlb.

Kalendarz kieszonkowy na rok 1946. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1946. Str. 16. (Nakł. 75.000 egz.).

Kalendarz kieszonkowy na rok 1949/50. Dom Książki Polskiej, Stuttgart 1948. Str. 126.

Kalendarz na rok 1947. Wydany przez Fr. Gawrycha w Regensburgu 1946. Str. 64.

Kalendarz na rok 1948. Nakładem Wydawnictwa «Nowiny», Quakenbrück 1947. Str. 143 + 1 nlb. (Nakł. 15.000 egz.).

Kalendarz zegarowy 1948. Wydawn. Ks. Ignacego Rabsztyna, Schwäbisch Gmünd 1947. Str. 12. (Nakł. 5000 egz.).

Kalendarz kieszonkowy na rok 1947. Strefa Ameryk. Niemiec, 1946. Str. 12.

Kalendarzyk na rok 1947 dla żołnierzy polskich w Niemczech. Relief Society for Poles, Hanower 1946. Str. 12 + 4 nlb.

Kalendarzyk kieszonkowy na rok 1947. Dom Książki Polskiej, Stuttgart 1946. Str. 96. (Nakł. 600 egz.).

Kalendarzyk kieszonkowy 1948. (Krótkie życiorysy świętych Polских. Kalendarzyk Imion słowiańskich. Historyczny kalendarz Polski. Wiadomości statystyczne o świecie. Złote myśli i przysłowia). Wydawn. Ks. Ign. Rabsztyna Schwäbisch Gmünd Lorch/Württ. 1947. Str. 64. (Nakł. 5000 egz.).

Kalendarzyk na rok 1948. Dom Książki Polskiej, Stuttgart 1948. Str. 128. (Nakł. 10.500 egz.).

Kalendarzyk na rok 1948. Informator Polskiego Wysiedleńca i Emigranta. Wydało Zjednoczenie Polskie na terenie Okupacji Brytyjskiej Niemiec. Str. 77 + 3 nlb.

(D.c.n.)

Jan KOWALIK.

„POLSKA WIERNA”

Jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Listy do Redakcji

Argentyna, 10. 1. 50 r.

Do Redakcji „Kultury”

Na wezwanie „Kultury” o uzupełnienie bibliografii druków podziemnych, podaję szczegóły o „Wiadomościach Tygodniowych”. Piśmisko pod tym tytułem wychodziło w Warszawie, zwykle jeden raz w tygodniu, czasami — częściej (Wawer, pierwsza łapanka, wojna Sow.-Fińska). Drukowane było na powielaczu ręcznym, płaskim, a później rotacyjnym, na bibułkach, w układzie dwuszpaltowym, ilustrowane wykresami, mapkami itd.

Pierwszy Nr wyszedł w połowie października 1939 r. Daty ostatniego — nie pamiętam, było to w połowie 1940 r. Weszliśmy wówczas w fuzję z „Wartą” grupy „Gr”. Połączone pisma wychodziły nadal pod tytułem „Warta”. O „Warcie” nie piszę, bo jej redaktor jest na emigracji i zapewne już skontaktował się z „Kulturą”. Nakład „Wiadomości” wynosił od 60 egz. (X. 1939) do 300 (połowa 1940).

Piśmisko nie miało z zewnątrz pomocy pieniężnej i nie pobierało opłat za prenumeratę, często jednak sieć kolportażu dostarczała dary, jak papier, farba i inne. Korzystaliśmy często z zaoferowanych lokali. Personel redakcji i techników pracował bez wynagrodzenia, koszty — pokrywałem osobiście. Piśmo obsługiwało szereg punktów w Warszawie (Śródmieście, Wola, Czerniaków, Mokotów, Żolibórz i Praga), w okolicach podstołecznych (linia Otwock, Żyrardów, Tuszcz) oraz na prowincji (linia W-wa — Zakopane, W-wa — Małkinia).

Sieć nasłuchu radiowego korzystała równocześnie lub kolejno z szeregu odbiorników własnych i „zaprzyjaźnionych”.

Jeden z „zaprzyjaźnionych” — aresztowany i stracony w Berlinie, drugi — zginął w Oświęcimiu. Aparaty własne: czynny w kotle centralnego ogrzewania jednego z domów czynszowych był używany przez cały czas okup. niemieckiej, drugi — w mieszkaniu redaktora, został zlikwidowany po 3-mies. pracy, trzeci — zmontowany wraz z wyposażeniem dla dyżurów nocnych i maszyną do pisania w niemieckiej fabryce, został wraz z tą fabryką wywieziony do Radomia (Z trudem odzyskano część sprzętu i przekazano miejscowej organizacji), czwarty — używany był tylko dorywczo — w mieszkaniu i biurze niemieckiego komisarza.

Piśmo nie miało ani jednej wyspy, ale zespół pracowników poniósł ciężkie straty osobowe. Po przejściu różnych faz organizacji konspiracyjnej prawie wszyscy współpracownicy „Wiad. Tyg.” wzięli czynny udział w Powstaniu.

Kolport. „Anna” — poległa, tłumaczka „Zofia” — poległa, czł. red. R. — wywieziony do Oświęcimia, nie wrócił, współprac. Bo. — aresztowany przez obecnych okupantów, nie wiadomo czy żyje, kolport. „Maria” i kolport. „Jadźka” — zmarli podczas obecnej okupacji.

Współpracownicy "S", "Kl", "Ka", "P" i maszynistki "B" i "L" podobno żyją. Ze względu na te żyjące osoby nie podaję ani nazwisk, ani pseudonimów, z wyjątkiem pseudonimów osób nieżyjących, bo te nie były w Kraju weryfikowane.

Skrytka-laboratorium konspiracyjne została rozbita pociskami artyleryjskimi i rozgrabiona przez osoby postronne. Zaledwie część ważniejszych materiałów udało się odzyskać i zabezpieczyć, przypuszczam więc, że numery redakcyjne "Wiadomości Tygodniowych" przepadły.

Łączę życzenia dalszej owocnej pracy

"Kol. Felek"

ówczesny redaktor i wydawca

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listowym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	39 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kal-lskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	2½ kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEIL-BRONN, Polish Camp Schwabenhof ..	2,50 DM	15 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław SANGO-WICZ, FRIBOURG 1, case 155	1,80 sfr.	10 sfr.	13 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave., BROOKLYN 15, N. Y. Przedstawiciel na Stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos Campan, DETROIT 11, Mich. Przedstawiciel na Stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Place, CHICAGO, 50 Ill. Przedstawiciel na pozostałe Stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 9, Oxford Street, CAMBRIDGE 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY		£ 1.00.3	£ 1.18.—
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia, BARCINSKA, RIO DE JANEIRO r. Erasmo Braga 227 s. 214	15 cruz	90 cruz	150 cruz
HISZPANIA: Jan STASZEWSKI, Goya 6, MADRID	15 pts	90 pts	160 pts

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Już się ukazała książka

JAMES BURNHAM'a pt.

Walka o świat

(w tłumaczeniu Józefa Ursyna)

(Tytuł oryginału **The Struggle for the World**)

Cena 1 egz.:

we Francji — 350 frs.

w W. Brytanii i na terenie bloku sterl. — 7 sh.

w St. Zjednoczonych i Kanadzie — dol. 1,35.

Książkę można nabyć w Redakcji **Kultury** (1, Av. Cornelle, Maisons-Laffitte (S.-et-O.) lub zamawiać w przedstawicielstwach, wykaz których podany jest na przedostatniej stronie każdego numeru **Kultury**.

PRZEDSTAWICIELEM *KULTURY*
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Cena 120 frs.